



Taternik

3-4
1964

<http://pza.org.pl>

SPIS TREŚCI

Na szczytach mongolskiego Altaju (<i>Andrzej Paulo</i>)	65	Taternicy w „Klubie Olimpijczyka”	100
Munch Chajrchan-uul, 4362 m (<i>Andrzej Skupiński</i>)	69	Jubileusz „Scolattoli” z Cortiny (<i>Ryszard Rodziński</i>)	101
Tłum czy organizacja? (<i>ape</i>)	71	Wspinajmy się bezpiecznie (<i>Józei Nyka</i>)	102
Pod Civetta i Tre Cime (<i>Józei Nyka</i>)	73	Zaginionemu (<i>Alfred Séquin</i>)	102
Letni sezon taternicki 1964	77	Z profesorem w Tatry (<i>Alfred Górny</i>)	106
John Hunt w Polsce (<i>jn</i>)	79	Echa z Alp (<i>Marta Kubalska-Paczkowska</i>)	107
W wielkim ścieku (<i>Andrzej Skłodowski</i>)	80	Drobiazgi historyczne	109
Bezingi, 1964 (<i>Jerzy Michalski i Piotr Młotecki</i>)	83	Nowe drogi w Tatrach	110
Miżirgi przez „Bałajkę” (<i>Eugeniusz Chrobak</i>)	87	Itineraria tatrzańskie	115
O nazwach Kaukazu (<i>Maciej Popko</i>)	88	Nowe drogi w Kaukazie	116
Frezarka i Mieguszowiecki (<i>Krzysztof Blauth</i>)	90	Z życia Klubu Wysokogórskiego	118
„Dębinizm” (<i>Andrzej Paczkowski</i>)	92	Sprawy UIAA	119
Śnieżna — najgłębsza jaskinia Polski (<i>Bernard Uchmański</i>)	94	Karta żałobna	121
		Film górski	123
		Wystawy	124
		Z piśmiennictwa	125
		Notatki	128
		Sprostowania i uzupełnienia	130

Na lodowcu Giganta. W głębi wschodnia ściana Mont Blanc. po lewej Tour Ronde.

Fot. Ryszard Zawadzki

Pod Stwolską Przełęczą w Tatrach

Fot. Andrzej Skupiński

Taternik

Organ Klubu Wysokogórskiego

Rocznik 40

Warszawa, 1964

nr 3-4 (184-185)

Na szczytach mongolskiego Ałtaju

Z odległą o parę tysięcy kilometrów Mongolską Republiką Ludową łączą Polskę coraz to ściślejsze więzi gospodarcze, naukowe i kulturalne. Współpraca między oboma krajami przejawia się m. in. w działalności polskich ekip naukowych, badających wnętrza rozległej i słabo zaludnionej krainy stepów, pustyni i gór. W pracach tych uczestniczą nierzadko i alpinisci, którzy bądź w trakcie swych zawodowych zajęć, bądź też poza nimi dokonują interesujących wejść na niezdołane dotąd szczyty trzy- i czterotysięczne, według starych mitów strzeżone przez gniewne bóstwa.

Z geografii

Góry systemu ałtajskiego obejmują szereg mniej więcej równoległych łańcuchów, ciągnących się pasem długości 2000 km od zachodniej Syberii aż po środkową Gobi. Są to góry stare, w erze paleozoicznej sfałdowane i usztywnione intruzjami skał magmowych, a w okresach późniejszych rozbite uskokiemi na poszczególne bloki. Badania geologiczne wykazują, że wypiętrzanie takich bloków-łańcuchów górskich było szczególnie silne pod koniec trzeciorzędu i w czwartorzędzie. Amplituda ich dochodziła do 4000 m. Dodajmy jako ciekawostkę, że ruchy tektoniczne są tutaj żywe jeszcze dziś. W r. 1905, podczas trzęsienia ziemi, utworzył się tu uskók długości blisko 400 km, zaś silne wstrząsy sejsmiczne w r. 1956 spowodowały według doniesień prasy powstanie uskoku kilkuset metrów wysokości.

Pasma Ałtaju jest niejednolite. Geografowie wydzielają w nim trzy części różniące się zarówno rzeźbą, jak i szatą roślinną, a mianowicie: Górny Ałtaj, Ałtaj Mongolski oraz Ałtaj Gobijski. Wspólna dla całości nazwa wywodzi się od mongolskiego słowa „ałtan” — złoty.

Górny Ałtaj, leżący całkowicie w granicach Związku Radzieckiego, tworzy skomplikowany system pasm górskich, dochodzących w masywie Bieluchy do 4506 m. Zimne wiatry wiejące z Syberii tu wytracają swą wilgoć, dając początek licznym rwącym potokom i zasilając śniegiem pola firnowe przeszło 700 lodowców. Alpejskie formy rzeźby krajobrazu, gęste lasy, wspaniała roślinność górskich łąk i stepów, obfitość zwierzyny, szum spienionych rzek — wszystko to czyni z Górnego Ałtaju jeden z najpiękniejszych regionów naturalnych ZSRR.

Ałtaj Mongolski (Ektag) rozpoczyna się na zachodzie kulminacją w masywie Tabun Bogdo („Pięciu Świętych”). Szczyt Chujten (4355 m), wznoszący się na radziecko-chińsko-mongolskiej granicy nosił do niedawna kotłę 4653 m i był uważany za najwyższy punkt Mongolii. Ałtaj Mongolski jest wysokim płaskowyżem, podzielonym szerokimi uskokowymi dolinami na równoległe stromoboczne orzbieity, ciągnące się setkami kilometrów na wysokości przeszło 3000 m. Na szczytach spotyka się nieraz zabagnione i pokryte jeziorkami spłaszczenia.

Liczne są ślady dawnego zlodowacenia: kotły lodowcowe, karowe jeziora, doliny o przekroju „U”, wreszcie materiały morenowe. Obecnie pola firnowe rozpoczynają się od wysokości 3500-3800 m a lodowce towarzyszą tylko najwyższemu częściom pasma. Największy z nich, lodowiec Potanina, spływający z masywu Tabun Bogdo, osiąga blisko 30 km długości. Ogólnie jednak biorąc, obecne zlodowacenie jest znacznie słabsze niż w Górnym Ałtaju. Tłumaczy się to suchością klimatu wywołaną otoczeniem ze wszystkich stron przez zatrzymujące opady wysokie pasma Sajonów, Changaju, Tian-Szaniu i Górnego Ałtaju. Dlatego też i roślinność jest tu uboższa. Niewielkie kępy modrzewio-

wych lasów występują w wąskim piętrze 2000—2400 m, większość obszaru pokrywają górskie stopy z krzewami karagany. Powyżej 3000 m panują łąki kobrezjowe i turzycowe, nieśmiało wdzierające się na pokryte złomi-skami zbocza. Potoki, w górnym biegu obite w wodę, wypłynąwszy w rozległe śródogórskie kotliny często zanikają nie osiągnąwszy nawet rzeki głównej czy jeziora.

Altaj Gobijski tworzy kilka rzędów poro-rywanych łańcuchów górskich, niekiedy wąskich i zębatych, oddzielonych płaskimi obniżeniami i przechodzących stopniowo w pustynny step Gobi. Krajobrazy są tu surowe, na stokach często odsłaniają się kruche i nagie skały. Ciągące się dziesiątkami kilometrów głębokie sajry (suche koryta potoków, małe kaniony), tylko podczas burzy wypełniają się gwałtowną spienioną wodą, znikającą równie szybko jak pustynna ulewa. Roślinność górsko-stepową spotkać można dopiero na najwyższych wyniosłościach.

Walory alpinistyczne Altaju

Znaczna wysokość, alpejski charakter rzeźby, lodowce, słabe poznanie i niezagospodarowanie szeregu partii stanowi o atrakcyjności Altaju dla eksploratora i alpinisty. Do najciekawszych grup górskich w granicach Mongolii należy zaliczyć grupę Tabun Bogdo, góry Turgeni oraz grupę Munch Chajrchana.

Grupa Tabun Bogdo („Pięć Świętych”) położona jest w najdalej na zachód wysuniętym zakątku Mongolii. Spod pięciu śmiałych wierzchołków (stąd nazwa), z których każdy przekracza 4200 m, spływa potężny lodowiec Potanina. Na szczyty główny i północny dokonano pierwszych wejść w r. 1956, pozostałe stanowią najtrudniejsze technicznie problemy wspinaczkowe w górach Mongolii i czekają jeszcze na zdobywców. Najbliższą siedzibą ludzką jest somon Ujgur, oddalony o ok. 25 km od czoła lodowca.

Góry Turgeni obejmują kilkanaście szczytów o wysokości przeszło 3500 m. Najwyższy z nich, bezimienny, osiąga wysokość 3978 m. Drugi z kolei, Turgeni II (3965 m), został zdobyty w r. 1963, jako jedyny w całej grupie. Wierzchołki te wskutek urozmaiconej rzeźby i silnego zalodzenia są trudno dostępne (najłatwiejsze drogi w skali II—III), dodatkowe utrudnienie stanowią nie najlepsze warunki atmosferyczne. Najbliżej gór, w odległości ok. 30 km, położona jest letnia siedziba somonu Turgen, do której można dotrzeć samochodem. Pojedyncze jurty koczowników spotyka się w lecie 10—15 km od czoła lodowca.

Munch Chajrchan (4362 m) stanowi kulminację wysokiego pasma Magistralnego Altaju i według najnowszych map jest najwyż-

szym szczytem wznoszącym się w całości na terytorium Mongolii. W języku kazachskim zwany jest *Muste-tau*, co znaczy „Lodowa Góra”. Pasma górskie, nad którym dominuje, przypomina sylwetką nasze Karkonosze. Najwyższą część grzbietu, 40-kilometrowej długości, pokryta jest polami firnowymi i obcietą od północnego wschodu, a szczególnie od południowego zachodu stromymi tysiącmetrowymi ścianami lodowcowych kotłów i dolin. One właśnie, obok dziewiczych wierzchołków, mogą stać się pięknymi obiektami ataków alpinistów. Na Munch Chajrchana dokonano w latach 1962 i 63 kilku wejść od północnego zachodu (grzędą) i północy (przez lodowiec). Drugie i trzecie wejście na szczyt było polskie — zob. s. 69. Pozostałe wybitniejsze wierzchołki, a szczególnie kota 4112 m z imponującym południowym filarem, są jeszcze nie tknięte stopą ludzką. Najbliższe siedliska ludności stanowią Chudźurta (ok. 50 km) i Bułgan (40—50 km), a w lecie — brygada mleczna w dolinie Dołoon-nuurn-goł (15—20 km). Niektóre jurty zbliżają się do lodowców na odległość 10 km.

Alpinizm w Mongolii

Ruch wysokogórski stawia w Mongolskiej Republice Ludowej dopiero pierwsze kroki, lecz już dziś imponuje on dojrzałością podejmowanych i realizowanych zadań. Miejscowych tradycji alpinistycznych brak zupełnie, jeśli oczywiście pominąć wejścia na łatwo dostępne wierzchołki, dokonywane przez pasterzy i myśliwych tropiących zwierzyznę. Naturalny pęd człowieka do poznawania tajemnic wysokich, kryjących się w chmurach gór hamowany był zakazami religii buddyjskiej. Niemal wszystkie wybitniejsze szczyty mają w nazwie składnik „bogdo”, tzn. boski, lub „chajrchan”, tzn. miłośniwy, potężny. Na przełęczach i tysiącach skalistych wierzchołków spotyka się „owo” — kopce z kamieni i szmatek, wzniesione niegdyś ku czci duchów gór. W legendach otaczających skalno-lodowe szczyty śmiałkowicie, którzy się na nie zapędzali zostają zawsze ukarani przez zazdrosne bóstwa. Ograniczenie wpływów lamaizmu oraz ogólny wzrost poziomu kulturalnego ludności odbiły się m. in. także na zainteresowaniu górami, szczególnie tymi niedostępnymi dotąd dla człowieka.

W listopadzie 1953 r. przy Komitecie Kultury Fizycznej i Sportu MRL powstała Federacja Alpinistów Mongolii. Zrzesza ona 7 członków, w większości wykładowców uniwersytetu w Ułan Bator. Jest to bez wątpienia najmniejsza centralna organizacja wysokogórska na świecie, ma już jednak na swym koncie szereg niemalych osiągnięć.

Późną jesienią 1953 r. jej członkowie dokonali pierwszej „wspinaczki” na szczyt Asraltu Chajrchan (2751 m), dominujący w



Niższy wierzchołek Munch Chajrchana (4165 m).

Fot. Andrzej Skupiński

paśmie Chentej, na północ od stolicy kraju. W sierpniu 1955 r. padł pierwszy czterotysięcznik — najwyższy szczyt Changaju, Otchon Tengri („Wrota Niebios”), liczący 4031 m wysokości. W wyprawie wziął udział instruktor radziecki. W lipcu 1956 zdobyto — także przy udziale instruktora z ZSRR — Tabun Bogdo, a w rok później dokonano pierwszego wejścia na Sutaj (4221 m), działając już zupełnie samodzielnie.

W r. 1958 odbyły się dwie wyprawy — latem i zimą — w skalisty masyw Chardil Sardag (3189 m), wznoszący się na zachód

od jeziora Kosogoi. W wyprawie zimowej, wobec grubej powłoki śnieżnej, użyto do transportu reniferów. W r. 1959 zdobyto Mały Otchon Tengri.

W r. 1961 alpinści mongolscy podjęli najtrudniejsze w dotychczasowej karierze zadanie: atak na urwisty szczyt Turgeni II (3965 m). Wyprawa zakończyła się nieszczęśliwie: w odległości kilkunastu metrów od wierzchołka oberwał się nawis śnieżny i cała siódemka wspinaczy stoczyła się ok. 900 m w dół, doznając poważnych obrażeń i złamań. Uczestniczący w wyprawie operator filmowy,

Juwuchu, zmarł. Był to chyba w historii alpinizmu jedyny wypadek górski, jakim uległa cała bez reszty organizacja alpinistyczna wielkiego kraju...

W lecie 1962 r. w uszczuplonym gronie dokonano wejść na Munch Chajrchana (w przekładzie na język polski „Wieczny Miłośnicy”) oraz na Castaj („Snieżny”). Z końcem sierpnia 1963 załatwiono porachunki z szczytem Turgeni II, zdobywając go po 6-dniowej akcji górskiej.

W Mongolii, kraju, gdzie jazda konna leży niejako we krwi mieszkańców, gdzie człowiek przywykł do pokonywania nawet małych dystansów na grzbiecie konia, eksploracja gór wysokich oznacza nie byle jaki przełom, wymaga ona bowiem opuszczenia siodła i rozpoczęcia marszu na własnych nogach. Obecne tendencje rozwojowe alpinizmu mongolskiego zmierzają do zespolenia tego ruchu z pracą ekip geologicznych, mówi się też o umasowieniu turystyki górskiej poprzez organizowanie zbiorowych wejść. Tak np. planowane jest zdobycie Otchon Tengri w r. 1965 przez kilkudziesięcioosobową grupę. Działalność Federacji cieszy się daleko idącym poparciem władz, dzięki któremu alpinści dysponują w razie potrzeby nawet rekonesansem lotniczym. Ogromna jest też popularność alpinistów wśród milionowego narodu. Przed i po wyprawie odbywają się lokalne uroczystości z pochodami, występami orkiestry, spotkaniami z ludnością itp. Wszyscy interesują się losami wyprawy, każdy zna nazwiska zdobywców. Ukazała się też w dużym nakładzie pierwsza książka o tematyce górskiej, zawierająca wspomnienia uczestników wypraw.

Polscy geolodzy w Altaju

W sezonach letnich 1962—64 pracowała w Mongolii kilkudziesięcioosobowa Polska Ekspedycja Geologiczna, kierowana przez dra Edmunda Rutkowskiego. Praca polegała na sporządzaniu map geologicznych wycinków łańcuchów górskich Chasachtu Chajrchan, Tajsziri, Dzuun Dżirgałantu, Chan Chuchej oraz przedgórzy Turgeni. W związku z tym geolodzy przebywali niejednokrotnie wysokie pasma górskie, pokrywając je gęstą siatką marszrut i dokonując szeregu wejść na szczyty nie wykazujące żadnych śladów uprzedniej bytności człowieka. Do najważniejszych należy zaliczyć.

1. Pierwsze wejście na główny wierzchołek Chasachtu zwany Bogdo-uul (3574 m) w dniu 5 VII 1962 (Jerzy Don i Jan Kirschke). Szczyt zdobyto północnym filarem o trudnościach II—III.

2. Pierwsze wejście na kopulasty wierzchołek Chuchu Chawczilin-nuru (3818 m) w Altaju Magistralnym dokonane latem 1962 przez Zygmunta Grzechnika i Ludomira Mączkę.

3. Kilka wejść (w tym również pierwsze) na Dżirgałantu Chajrchan (3796 m) dokonanych w lecie i jesieni 1963 przez Andrzeja Grocholskiego, Teodora Sztuka, Ludomira Mączkę, Stanisława Młodzianowskiego oraz Andrzeja Skupińskiego. Trudności w skali II.

4. Przecięcie południowej części łańcucha Cagan Szibetu przez jego główne wierzchołki Chuchu Ara-uul (3222 m, Jerzy Don z dwoma Mongołami) oraz Chan Chuchej-uul (3220 m, Marian Dumicz) — w lipcu 1964. W skalistej grzbietowej partii łańcucha trudności II.

Ponadto w dniach wolnych od zajęć dokonano wypraw na szczyty wznoszące się poza terenem prac.

27 VII 1963 grupa w składzie Jerzy Don, Marian Dumicz, Jerzy Mroczkowski, Bogdan Olszewski, Andrzej Paulo i Ludwik Wójcik zdobyła Munch Chajrchan (4362 m). Było to II wejście. Drogę obrano od północnego zachodu przez niższy wierzchołek (4165 m), do którego dotarł ponadto Sebastian Biernat. Ponieważ ostatnia edycja map mocno obniżyła wysokość szczytu Chujten w masywie Tabun Bogdo (z 4653 na 4355 m), jest prawdopodobne, iż Munch Chajrchan stanowi najwyższe wzniesienie całej Mongolii. III wejścia na ten szczyt dokonał 20 IX 1963 Andrzej Skupiński z Mongołem Sang-huu, obierając całkowicie nową drogę, przez lodowiec od północy. Oprócz tego w sierpniu 1963 zespół Stanisław Kościelniak i Ludomir Mączka osiągnął w trudnych warunkach atmosferycznych jeden z wierzchołków tego masywu, przypuszczalnie kotę 4165 m.

16 VIII 1964 grupa w składzie Jerzy Don, Marian Dumicz, Andrzej Grocholski, Bogdan Olszewski, Władysław Masłowski, Andrzej Paulo, Władysław Słowański i Stanisław Syrnik zaatakowała najwyższy wierzchołek pasma Turgeni (3978 m). Napotkawszy jednak znaczne trudności lodowe wycofano się z wysokości ok. 3750 m, nie dysponując czasem ani też wystarczającą ilością sprzętu do przedarcia się na wierzchołek.

Działalność wysokogórska polskich geologów w Altaju miała charakter uboczny, dorywczy, mimo to jednak jej wyniki są piękne. Altaj nadal obfituje w możliwości dokonywania pierwszych wejść na szczyty o wysokości ok. 4000 m, ma też liczne problemy ścianowe i graniowe, którymi mongolscy alpinści długo jeszcze nie będą się mieli czasu zainteresować. Warto by więc rozważyć możliwość zorganizowania przez Klub Wysokogórski wyprawy alpinistycznej w to interesujące pasmo. Nasi gościnni przyjaciele z Ułan Bator przyjęliby ją na pewno bardzo życzliwie.

Andrzej Paulo

Munch Chajrchan-uul (4362m)

Kilka razy widzieliśmy daleko na południu jego lśniąca od lodu sylwetkę. Mimo forsownych marszrut, które robiliśmy w naszym Dzuun Dżirgałantu-nuru i mimo odległości ponad 200 kilometrów — tamten daleki „Wieczny Miłościwy” intrygował nas, ilekroć nasze spojrzenia biegleły w jego stronę.

Pod koniec sierpnia wiadomo było, że kilku członkom naszej Polskiej Ekspedycji Geologicznej udało się osiągnąć jego szczyt od strony kazachskiej. Kiedyś wieczorem otrzymałem przez szofera kartkę od Andrzeja Paulo. Pisał o możliwości dotarcia samochodem pod szczyt również i od naszej strony. W połowie września, mimo nocnych mrozów, w dzień powietrze było gorące, wieczorem zaś chłodny wiatr toczył stępem okrągłe krzaczki przetaczników. Na pogodnym niebie klucze żurawi, pelikanów i dzikich gęsi odlatywały w stronę Chin.

*

Byłem wściekły i jednocześnie zdziwiony, gdy patrząc z naszego samochodu w dół stromego sąaju ujrzałem zawałoną olbrzymimi głazami dolinę, na której dnie huczała spieniona Dumda Cencher-goł. Było jasne, że tędy żaden samochód nie przejedzie. Wyjąłem z kieszeni kartkę Andrzeja. Pisał w niej: „Dojazd od Manchan — najlepiej doliną Dumda, puszcza pod samą górę (za jeziora)...” I pod spodem cenna uwaga: „Uważajcie — na szczycie jest nawis, pod nim stromy stok i zerwa (kilkaset metrów). Trzymajcie się. Bye so long.”

Teraz rozumiałem, że do stóp Munch Chajrchan prowadzi jakaś droga, lecz nie od ujścia Dumda Cencher-goł. Mapa „pięćsetka” również jest błędna. Droga wrysowana pewną ręką kartografa istnieje tylko na papierze. Niestety, tym razem musieliśmy zawrócić z powrotem do Manchan. Niepowodzenie przekonało mnie, że w warunkach altajskich jedynym niezawodnym środkiem lokomocji jest koń. Byłem mimo to zdecydowany przebyć tych sto kilkadziesiąt kilometrów choćby piechotą.

Parę dni później mój mongolski przyjaciel Sang-huu pomógł mi wynająć w somonie trzy dorodne bachmaty, ponadto obiecał mi towarzyszyć w wędrowce. Po objuczeniu koni wyruszyliśmy pogodnym rankiem znów w kierunku Altaju. 40 kilometrów równego stępu do ujścia Dumdy przejechaliśmy rażym klusem. Somon Manchan znikł za naszymi plecami w rozgrzanym powietrzu stepowych mirażów. Z trudem wpędziłem swego

konia w rwący nurt rzeki. Sang-huu z dużą dozą ostrożności popędzał jucznego, który również nie bez oporu wszedł w wodę. Strach mnie obleciał na myśl, co się stanie, gdy koń straci równowagę. Jednak pierwsza przeprawa przez Dumdę zakończyła się szczęśliwie i dnia tego jeszcze wiele razy musieliśmy się przeprawiać przez jej pienistą głębinę.

W kamiennej dolinie czułem się zagubiony i całkowicie zdany na własną siłę i przeczność. Sang-huu wyglądał nieswojo i robił wrażenie zakłopotanego, lecz nie pytałem go o powody braku humoru. Kręta rzeka tworzyła miejscami spokojne jeziora o przezroczystej zielonkawej wodzie. Były one pełne charlusów (ryby podobne do lipieni) mieniących się w słońcu malachitową łuską. Rzadko rosnące topole zrzuciły żółte liście, w powietrzu czuć było dostojny nastrój altajskiej jesieni. Wieczorem droga pięła się stromo w górę i koń juczny ledwo się mieścił między olbrzymimi głazami. W miejscu, gdzie droga osiągnęła swoją kulminację, stał obok niej usypany z kamieni czorten, tzw. „owo”. Zostawiłem na nim według tradycji daninę duchom gór, w postaci polskiej dziesięciotrójki z Kopernikiem. Później spotkaliśmy koczujących nomadów. Stary człowiek jadący na koniu bacznie przyglądał mi się swymi wąskimi oczami, lecz po zamienieniu kilku zdań z Sang-huu, oddalił się w swoją stronę.

Na niebie świeciły gwiazdy i był mróz, gdy rozpalaliśmy ognisko na biwaku. Po lekkiej kolacji ułożyliśmy się w śpiworach blisko ognia, kładąc pod głowy siodła zdjęte z koni. Topolowe gałęzie płonęły spokojnie,

W drodze ku górcom (dolina Dołon-nuurn-goł).
Po lewej A. Skupiński, po prawej Sang-huu.

Fot. Andrzej Skupiński





A. Skupiński na szczycie Munch Chajrchana (III wejście).

Fot. Sang-huu

nie dymiąc prawie. Nasze konie nie odchodziły daleko i słychać było, jak szczypią trawę. Aż mi dziwnie było, że cała ta egzotyka stała się dla mnie dniem powszednim, a konie, ognisko i siodła pod głową — rzeczami, bez których trudno się obejść. Ogień przygasł, odwrócony tyłem Sang-huu cicho chrapał. Następnego dnia ruszyliśmy w dalszą drogę.

Kilkudziesięciokilometrowa Dumda Cenchergo kończy się labiryntem głębokich kanionów, którymi wyjeżdża się na wierzchowinę altajską. Tutaj wysokości bezwzględne wynoszą ok. 3000 m n. p. m. i teren traci charakter stromościennych głębokich wąwozów. Na otwartych przestrzeniach o tej porze roku temperatura nawet w ciągu dnia nie przekracza zera, a silny wiatr ścina wodę licznych połodowcowych jeziorok. Po drodze spotykaliśmy stada pasących się jaków.

Na wierzchowinie trzeba było wybrać najbardziej wygodny sposób dotarcia do podnóża naszej góry. Mapa, którą mieliśmy, była zbyt mało szczegółowa, lecz korzystaliśmy z niej dla orientacji. Sang-huu radził trzymać się doliny z jeziorkami, i miał rację.

Według szkicu dostarczonego przez Andrzeja, najłatwiejsza droga ku szczytowi prowadzi granią przez niższy wierzchołek góry. Lecz ja miałem zamiar spenetrować dolinę od północy szczytu i dotrzeć nań właśnie od tej strony, dotąd nie zbadanej. Podobno Munch Chajrchan wysłała w kierunku północnym duży lodowiec — być może możliwy do przejścia. Zdawałem sobie sprawę, że nie powinienem podejmować zbyt trudnego technicznie wejścia w towarzystwie niewyszkolonego alpinistycznie Sang-huu. Lecz ciekawość i pasja odkrywczą nie pozwalały mi zrezygnować choćby z próby przebycia nowej drogi. Wiedziałem, że moralnie odpowiedzialny jestem za każdy wypadek, jaki mógł nas tutaj spotkać, i że pomocy nie udzieli nam nikt.

Wieczorem przejeżdżaliśmy przez pustą o tej porze roku dolinę Doolon-nuurn-goł. Na tle jaskrawo zielonej trawy świeciły różowym blaskiem zachodu lodowce niższego wierzchołka Muncha, za zakrętem doliny po raz pierwszy zobaczyłem jego główny wierzchołek. W końcu doliny, u podnóża moreny czołowej północnego lodowca rozstawiliśmy namiot. Od prawie trzech dni nie zsiadaliśmy z koni. Teraz na płaskiej trawie chwialiśmy się na nogach, jak pijani. Rozjuczone konie powieszały głowy i zmęczone nie szczypały nawet trawy. Przygotowaliśmy kolację na ognisku rozpalonym z uzbieranego argału. Mocna herbata z odrobiną soli dobrze gasiła pragnienie.

O 3.30 rano wyruszyliśmy na szczyt obladowani sprzętem alpinistycznym i fotograficznym. Za radą Sang-huu zabraliśmy z namiotu broń palną i schowaliśmy ją pod głazem na morenie, by wracając zabrać ją z powrotem.

Gdy stanęliśmy na morenie odsłonił się w całej okazałości północny lodowiec. U jego czoła lśniło w słońcu małe jeziorko z mlecznozieloną wodą. Osłepiający blask promieni słonecznych załamywał się na zielonkawym lodzie. Założyliśmy na nogi raki i po związaniu się liną wolno ruszyliśmy między olbrzymimi głazami granitognejśw leżących na lodowcu. Miejscami lodowiec był spękany i trzeba było uważnie kluczyć między szczelinami. Od szczytu, który wznosił się prawie półtora tysiąca metrów nad nami, spadała olbrzymia zerwa pokryta serakami. Z lewej jej strony po stromym lecz gładkim lodzie dotarliśmy szybko na wysokość 3800 m n.p.m. Sang-huu męczył się wyraźnie i widać było po nim brak aklimatyzacji. Prosił abym mu pozwolił zapalić papierosa, lecz nie zgodziłem się na to.

Powyżej 4000 m rozpościera się olbrzymie śnieżne plateau podszczytowe. Cienka skorupa lodu załamywała się pod naszym ciężarem i zapadała się po pas w sykim śniegu. Przebycie tego odcinka kosztowało nas wiele wysiłku, a Sang-huu narzekał na brak tchu i tytoniu. Obiecałem mu, że będzie mógł zapalić na szczycie. Mimo zmęczenia nie zapomniałem o fotografowaniu. Ciszę gór przerywał niekiedy łoskot spadającej z niższego wierzchołka kamiennej lawinki. Na ciemnoniebieskim niebie ponad szczytem kilka sępów majestatycznie zataczało koła. Ponad zerwą lodowca wiatr zwiewał z grani pióropusze śniegu.

Plateau śnieżne robi się u góry strome i przechodzi w grań. W pobliżu niej zachowywaliśmy szczególną ostrożność ze względu na nawisy, które zwisały się z niej nad kilkusetmetrową przepaścią po południowej stronie Muncha. Wyżej grań wznosi się ostro ku górze i wrasta w kopułę szczytu.

Gdy stanęliśmy na nim była godzina 13.05. Na samym wierzchołku na niskiej tyczce zwisła wmarznięta w lód biało-czerwona flaga, wniesiona tu dwa miesiące wcześniej przez naszych kolegów, którzy dokonali drugiego wejścia na Munch Chajrchana. Flaga odcinała się jasną czerwienią od bieli śniegów i było mi w jej towarzystwie po prostu... wesoło. Oczyszciliśmy ją dokładnie ze śniegu i zrobiłem kilka zdjęć. Pod śniegiem była w puszcze kartka naszych poprzedników — zapakowałem ją starannie do pudełka razem z naszą, na której napisałem na-

zwiska i szczegóły naszej trasy. Obok swojego nazwiska dopisałem w nawiasie „członek Polskiego Klubu Wysokogórskiego”. Przypomniałem sobie wtedy o zaległych składkach klubowych i miałem przez chwilę wyrzuty sumienia.

Dookoła rozciągała się wspaniała panorama Altaju Monqolskiego, a w odległości 500 kilometrów na południu lśniły w słońcu łańcuchy Tian Szań. Zamyślony Sang-huu namiętnie palił papierosa...

Andrzej Skupiński

Tłum czy organizacja?

(Artykuł dyskusyjny)

Znajduję się na pozycji outsidera wielkiego taternictwa i alpinizmu. Zabieram głos z nadzieją, że fakt ten raczej ułatwi mi niż utrudni naszkicowanie paru uwag o Klubie i jego adherentach. Byłem w Tatrach miesiąc. Rozmawiałem tam z wieloma kolegami, wysłuchałem wielu opowiadań, znam szereg ocen, plotek, dyskusji i kłótni posezonowych. Wiem nieco o pracy Zarządu Głównego, nie obce mi są sprawy warszawskiego środowiska. W sumie nie jest to z pewnością materiału upoważniającego do uogólnień, toteż z góry chciałbym się zastrzec przed ewentualnym zarzutem ich lansowania. To, co piszę, odnosi się tylko do lata 1964, być może jednak znajduje uzasadnienie i w innych sezonach. Wskazywałby na to charakter niektórych poruszonych spraw — nie personalnych, lecz grupowych, społecznych. Nie zamierzałbym jednak wstępować o to w szranki.

Uwaga pierwsza. Kompletny brak organizacji — i w instytucjonalnym, i w czynnościowym znaczeniu tego słowa. Nie będąc zwolennikiem ścisłej reglamentacji poruszania się po górach, daleki jestem od popierania zasady, że Klub istnieje tylko po to, żeby organizować zagraniczne wyjazdy i wyznaczać kierowników obozów krajowych. Przy takim ustawieniu zaczyna tracić rację bytu, zwłaszcza, że i alpejskich wojaży może urządzać coraz mniej. A to, moim zdaniem, jest już groźne. Cele statutowe — ułatwianie i popieranie działalności górskiej — w odniesieniu do Tatr mogą być z równym powodzeniem realizowane bez istnienia Klubu.

Kilka osób niemalym wysiłkiem skonstruowało siatkę regulaminów i statutów przeznaczonych do usystematyzowania i ułatwiania zbożnego dzieła nauczania i wychowywania elewów sportu wspinaczkowego. Wymyślono, przepisano, powielono, rozesłano. Od fajkowa-

ne. Zarząd Główny „ma to z głowy”. To trochę mało. Rozejrzyjmy się — kto ma to w głowie? Instruktor prowadzi „młodzież” pod ścianę, przez ścianę, sprowadza do schroniska. „Cześć. Do widzenia!” Wieczorem dowiaduje się, gdzie pójdzie następnego dnia. Rano — znowu prowadzi, po południu — sprowadza. „Cześć. Do widzenia!” Kierownik obozu: „Na Zabłą Turnię? Wpisz do książki. Cześć. do widzenia!”. A naprawdę nie jest wcale takie głupie, żeby elew wiedział, które to są Rysy, skąd się biorą żleby w górach i kto to był Stanisławski a kto Staniszewski. Czy nie zapominamy, że — poza wszystkim innym — każda z tych informacji może w jakichś tam okolicznościach uratować życie człowieka? Czy nie potrafimy już czerpać radości z tego, że u kogoś jeszcze jedna szara komórka zamieni się w złotą?

Uwaga druga. Życie towarzyskie kwitnie, i nic w tym złego. Ale nawet nie kiełkuje obok niego życie społeczne. Tworzymy przecież grupę o wyraźnie nakreślonych kryteriach przynależności. Naukowcy zaczynają się nawet zastanawiać, czy nie łączą nas jakieś wspólne cechy psychiczne. Jedna na pewno: szlachetna indolencja w organizowaniu wspólnego przeżycia. A gdyby tak w pewien deszczowy czy śnieżny wieczór ktoś opowiedział o swoich Himalajach? Gdyby spróbowano na gorąco ocenić incydent na filarze Mięgoszowieckiego Szczytu, od razu i publicznie? Dalej. Jest wśród nas sporo ludzi, którzy wiedzą dużo ciekawych rzeczy, nie tylko z podwórka ogradzonego płotkiem: hak — ausser — przewieszka. Trafia się jeden z wybitniejszych polskich socjologów, znajdzie się specjalista od cybernetyki, pisarz, fizyk, fotografik, lekarz. Nie chcemy czy nie potrafimy wyjść poza te nasze ogródki? A możemy już tak stępieli, że zapominamy o ich istnieniu?

Uwaga trzecia. Podczas grudniowej dyskusji o taternictwie w warszawskim „Klubie Olimpijczyka” padł pod naszym adresem zarzut egotyzmu. Moim zdaniem zarzut to ciężki, ale niestety słuszny. „Myśmy są solą Tatr!” Bardzo często wydaje mi się, że owszem, solą — ale w oku. Pewnie, że to nie łatwo pozbyć się kompleksu wyższości; może skuteczna by tu była jakaś forma zbiorowej psychoanalizy? Odlóżmy ją jednak przynajmniej do orwellowskiego „1974 roku”. Na razie spróbujmy zacząć od malutkich, indywidualnych ustępstw. Znajdźmy w sobie na przykład choć trochę tolerancji dla ludzi, którzy nie przyjeżdżają w Tatry dla „zrobienia” Mnicha czy Kazalnicy, którym wystarczy tam po prostu „wejść”. Samiśmy przecież kiedyś tylko z takimi zamierzeniami przyjeżdżali i pewnie będziemy za ileś tam lat przyjeżdżać.

Uwaga czwarta. Rzecz na pozór dziecinnie prosta, wielokrotnie omawiana, próbowano nawet kiedyś bodźców klasyfikacyjnych dla jej realizacji: Słowacja. Rozumiem. Przeszkody obiektywne, przepisy graniczne, papierki. Czy tylko? Nie sądzę. Może by kiedyś w sprawozdaniu do „Wierchów” napisać tak: „W rejonie Morskiego Oka przebyto środek Wybitnego Filara oraz kilka innych dróg. Na Słowacji X i Y 9 sierpnia przeszli drogę Kowalika na Średniej Niższej Wysokiej w czasie 3 godzin; W i Z 14 września we wspinałym stylu północną ścianę Małej Najniższej Niedużej...”. Cóż, łatwo w Morskim Oku sprzedać sukces, trudniej nauczyć się Tatr... Łatwo stać się królem sezonu, trudniej rzetelnie poznać góry. Przez szpalty tygodników dmucha publicystyczny odkurzacz: „idziemy na łatwiznę w pracy”. Powiedzmy sobie, że my także — w sporcie.

Uwaga piąta. Mówiłem o elewach. A jak absolwenci, posiadacze od dwóch czy trzech sezonów dyplomów taternickiej dojrzałości? Owszem, sprawni i zapaleni, ale realizacja problemu wychowania ich, to chyba kwintesencja braków i błędów działalności Klubu.

Czy naprawdę nie można poprowadzić kilku obozów rocznie, które stać by się mogły prawdziwym źródłem odnowy nie tylko w sferze giętkości kończyn, ale także intelektu i etyki? Chyba nikt nie żywi przekonania, że zmieni się coś pod wpływem natchnionych peror zjazdowych, ustawiania coraz to nowych znaków zakazu i nakazu, tworzenia organów śledczo-represyjnych w Klubie. Trzeba do rzeczy podejść i z sercem i ze „szkiełkiem”. Z rozsądną przygotowaną akcją, tak wielostronną, jak niezuniformizowane są sylwetki naszych kolegów.

Widzimy tych kilkunastu, których akrobaticzne umiejętności lub silna wola wypychają na czoło sprawozdań sportowych. Czekamy aż przemęczą się przez wymaganą ilość sezonów, aby wejść do grona „ściślej czołówek”. Pomagamy im? Nie. Ani w centrali, ani w środowiskach nikt serio o nich nie myśli. A ilu jest tych anonimowych, którzy chodzą tam i sam, nie tylko bez opieki, ale nawet bez słowa dobrej rady, przygany czy zachęty?

Uwaga szósta. Nasze regionalne komórki organizacyjne mogłyby być ośrodkami, w których kształtuje się człowieka. Sprzyja temu szereg czynników: fakt, że taternictwo tak łatwo wytwarza autorytety, że do Klubu trafia dużo młodzieży — XI klasa, I rok studiów. Nie korzystamy z tych możliwości. Zapominamy, że taternik to także człowiek, że wady człowieka (a o nie zawsze łatwiej niż o zalety) stają się wadami taternika. Organizacje śpią. Może lepiej powiedzieć: drzemią. W nieście chyba je widać, ale czy tu, w Tatrach, rzuciła się wam kiedyś w oczy ich obecność? Mnie nie. Zawieszają swoją działalność — przecież to sezon. Prezes komórki terenowej zamienia się w kierownika 10-osobowego obozu, pozostających stu członków jego koła zostaje dokładnie wypchniętych poza obręcz zainteresowań.

Resumé. Jesteśmy koleżeńscy ale aspołeczni. A gdyby tak do przyjaźni i solidarności dołączyć jeszcze zespołowe działanie?

ape

„Tatry parkiem narodowym” — taką myśl już w r. 1888 rzucił organ Towarzystwa Tatrzńskiego, w prostej linii protoplasty KW. Realizacja tego mądrego postulatu trwała długo. Tatrzński Park Narodowy powstał formalnie dopiero w r. 1954, rozporządzeniem Rady Ministrów z dnia 30 października. W tej jesieni obchodzi więc 10-lecie istnienia. Życzymy mu z tej okazji wielu dalszych sukcesów w pięknej pracy dla dobra Tatr i rzesz ich miłośników, do których taternicy zaliczają się w pierwszym rzędzie.

Klub Wysokogórski i „Taternik”



Pn.-zach. ściana Civetty. Biała strzałka wskazuje kierunek drogi Philippa i Flamma, czarna — Solledera.

Fot. Józef Nyka

Pod Civettą i Tre Cime (1963)

W sierpniu i początku września 1963 przebywała w Dolomitach ekipa Klubu Wysokogórskiego, zaproszona przez Club Alpino Italiano sezione Cortina d'Ampezzo z okazji 100-lecia istnienia tego klubu. W skład ekipy wchodził: Eugeniusz Chrobak, Andrzej Heinrich, Janusz Kurczab, Tadeusz Łaukajtys, Józef Nyka (kierownik) i Ryszard Szafirski. Teren działania grupy stanowiły dwa masywy górskie: Civetta ze swą wspaniałą ścianą północno-zachodnią oraz Tre Cime di Lavaredo, znane polskim alpinistom już z poprzedniego roku.

W Cortinie bazę noclegową ekipa miała w stodółce gościnnej „babci” Clementiny Zardini-Lacedelli, skład bagażu — w pokoju biura przewodników, życzliwie udostępnionym przez Simone Lacedellego.

Kronika

Wyjazd z Warszawy nastąpił 3 VIII, przyjazd do Cortiny — 5 VIII w południe. Następnego dnia grupa udała się do miasteczka Alleghe, skąd podeszła pod ścianę Civetty i rozbiła obóz w kotlinie zw. Antersass.

Pogoda była brzydka. 8 VIII przejaśniło się, wobec czego zespoły Chrobak—Łaukajtys i Kurczab—Szafirski wybrały się na Torre Venezia na drogę Castiglioni-Kahn na zachodniej ścianie (4 godz.). Po południu pogoda znów

się zepsuła, deszcz padał całą noc i cały następny dzień. 10 VIII zespoły Kurczab—Szafirski i Heinrich—Nyka weszły w północno-zachodnią ścianę Torre di Valgrande (VI+). Pierwszy zespół ukończył wspinaczkę w 8 godzin, drugi biwakował 3 wyciągi poniżej szczytu. 11 VIII Chrobak i Łaukajtys przeszli w 2.30 godz. zachodnią ścianę Torre Coldai (IV z miejscami V). 12 VIII ten sam zespół wszedł w północno-zachodnią ścianę Civetty drogą Solledera (VI—) i o godz. 13 utknął na wysokości lodowczyka Cristallo w burzy i deszczu, który trwał do godzin wieczornych. Następnego dnia dwójka ukończyła drogę.

14 VIII Kurczab i Szafirski wyszli na drogę Solledera, wycofali się jednak z powodu deszczu, który trwał z przerwami aż do rana 16 VIII. Korzystając z roz pogodzenia, podjęto decyzję wejścia w ścianę Civetty: zespół Heinrich—Nyka w Solledera, Kurczab i Szafirski — na drogę Philippa i Flamma. Po nocnej ulewie obie drogi spływały wodą, co utrudniało wspinaczkę, od samego początku w skałach V i VI. Zespoły zabiwakowały o zmierzchu powyżej środka ściany. O świcie nastąpiło nagłe i głębokie załamanie pogody: rozpoczął się ulewny deszcz, który w późniejszych godzinach zaczął mieszać się ze śniegiem. Zespoły straciły z sobą kontakt i w wyjątkowo ciężkich warunkach wspinały się do wieczora, ok. godz. 18 osiągając wierzchołek Civetty

i Punta Tissi. Heinrich i Nyka zeszli do małego schroniska pod szczytem (Torrani), natomiast Kurczab i Szafirski zbłądzili w mgłę, spędzając drugą noc w burzy i deszczu. 19 VIII oba zespoły wróciły do obozu, który następnego dnia zwinęły i zjechały do Cortiny.

W masywie Tre Cime namioty rozbito przy stawkach pod północnymi ścianami. 24 VIII było słonecznie i śnieg stopniał na szczytach. Następnego dnia zespoły Chrobak—Łaukajtys i Heinrich—Nyka weszły w północną ścianę Cima Grande di Lavaredo w tzw. „superdirttissime” oraz dirttissime Brandlera i towarzyszy. Wspinaczka odbywała się przy stałym kontakcie wzrokowym i głosowym, nadio z dołu funkcję obserwatora pełnił Z. Grabowski, który zatrzymał się w Dolomitach jadąc z Afryki do Polski. 27 VIII po południu zerwała się burza z piorunami i deszczem, obie dwójki osiągnęły jednak taras pod wierzchołkiem, gdzie założyły trzeci biwak.

Do 2 IX pogoda była zła (deszcze i śniegi). 3 IX rozpogodziło się, wobec czego zespoły Kurczab—Szafirski i Heinrich—Nyka weszły w północną ścianę Cima Ovest di Lavaredo — w tzw. Filar Wiewiórek (Spigolo Scoiattoli) i w dirttissime szwajcarsko-włoską. Wspinaczkę rozpoczęto stosunkowo późno (ok. godz. 7). Pogoda była znośna, dopiero następnego dnia po południu przeszła burza i rozpoczęła się ulewa, która trwała kilka dni. Kurczab i Szafirski spędzili noc nad trudnościami, kilka wyciągów pod szczytem, Heinrich i Nyka na drugim zachodzie, u wejścia w górną część ściany. Ponieważ wspinaczka kominami w kaskadach wody była wykluczona, dwójka ta

czekała na biwaku aż do godzin popołudniowych. Wykorzystując chwilowe osłabienie nasilenia ulewy szybko przeszła kominy i ok. godz. 17 zakończyła przejście. 6 IX po zwinieniu w deszczu obozu grupa zjechała do Cortiny, gdzie złożyła wizyty pożegnane i wzięła udział w odsłonięciu tablicy pamiątkowej ku czci P. Grohmana. W dniach 9—11 IX nastąpił powrót do kraju.

Wyniki sportowe

Ekipa KW bawiła w Dolomitach łącznie 34 dni. Przez cały ten okres tylko 10 dni było pogodnych (mniej niż 1/3). Mimo tak krytycznych warunków przebyto łącznie 9 dróg (nie licząc trudnych zejść) w 12 wspinaczkach (3 drogi miały po 2 przejścia). Składają się na to: 2 drogi w skali IV, 1 w skali VI— oraz 6 w skali VI+.

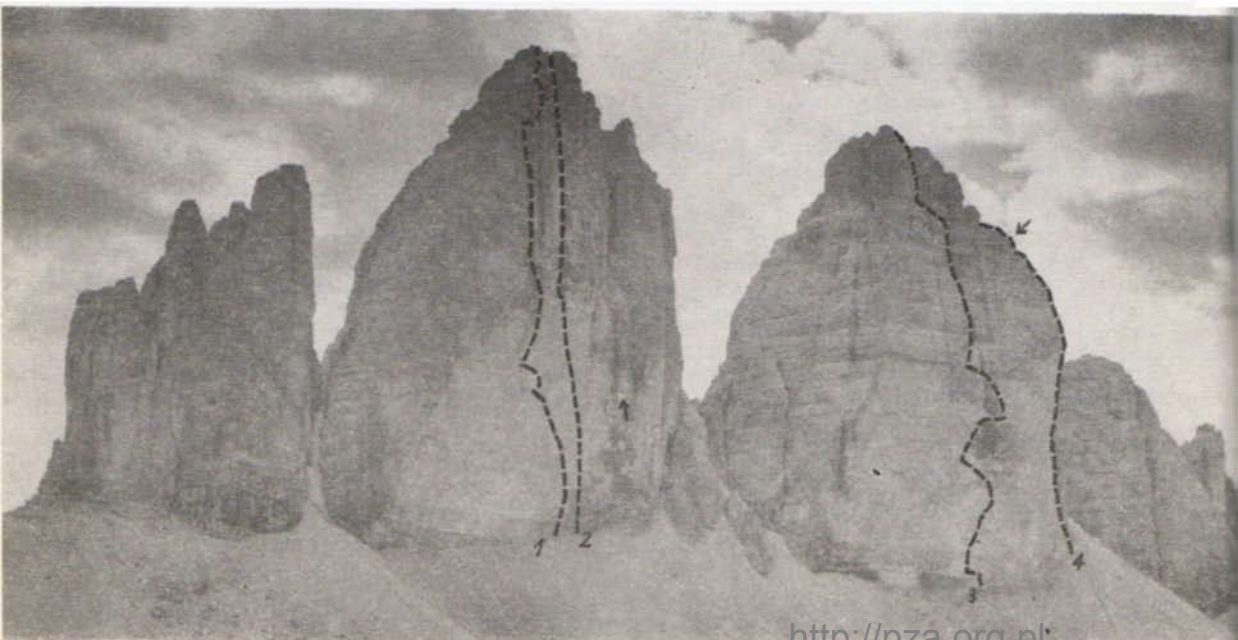
Torre Venezia. Droga E. Castiglioni—G. Kahn na zachodniej ścianie.

Torre di Valgrande (2752 m). Północno-zachodnia ściana drogą R. Carlesso i M. Menti z r. 1936. VI+, 12—16 godz. Najnowocześniejsza z dróg przedwojennych, o b. zgęszczonych trudnościach. „Przejście tej ściany — pisze przewodnik G. Langesa — było wyjątkowym osiągnięciem najnowocześniejszej techniki wspinania (...) Mimo przewagi hakówki, niektóre odcinki trzeba pokonywać w śmiałej wspinaczce klasycznej.” Przejścia dokonały zespoły Kurczab—Szafirski i Heinrich—Nyka.

Torre Coldai. Zachodnia ściana. IV z miejscami V. Chrobak i Łaukajtys.

Tre Cime di Lavaredo. Pn. ściany z drogami przebytymi w r. 1963 przez Polaków. 1. Dirttissima Cima Grande. 2. Superdirttissima. 3. Dirttissima szwajcarsko-włoska. 4. Filar Wiewiórek. Strzałkami oznaczono kierunek drogi Comicięgo oraz miejsce wypadku Krajskiego i Rodzińskiego.

Fot. Józef Nyka



Civetta (3218 m). Droga E. Solledera i G. Lettenbauera z r. 1925 — najładniejsze rozwiązanie „największej ze ścian Europy” („parete delle pareti” — „ściana ścian”), jedna z najsłynniejszych dróg alpejskich. Wysokość urwiska 1160 m, długość tury 1400 m, z tego 120 m VI i 290 V. „Pierwsze przejście direttissimy północno-zachodniej ściany Civetty oznaczało zdobycie jednej z najwspanialszych ścian i otwarcie drogi, która dziś jeszcze, po przeszło 30 latach, uchodzi za poważne i wielkie przedsięwzięcie wspinaczkowe. Tylko wybitni alpinści mogą się odważyć na to przejście”. (G. Langes). Droge przebyli zespoły Chrobak—Łaukajtys i Heinrich—Nyka.

Civetta. Droga Philippa i Flamma na północno-zachodniej ścianie wychodzi na wierzchołek zwany do niedawna „Kotą IGM 2992 m”, obecnie zaś „Punta Tissi”. Jest to najtrudniejsza z dróg na całej ścianie i jedna z najtrudniejszych w Europie. Do nieustannych wielkich trudności dochodzi mała ilość haków (ok. 30 na całej drodze). Przed polskim, droga miała 11 przejść, m. in. specjalnie przyjechali na nią Berardini i Paragot. Przejście dwójki Kurczab—Szalirski dokonane zostało w normalnym czasie 2 dni, co przy wyjątkowo trudnych warunkach (dół mokry, drugi dzień w deszczu i śniegu) było zapewne rekordem na tej drodze. Nie miała ona wówczas jeszcze przejścia włoskiego. Relację z przejścia zamieściliśmy w „Taterniku” 1-2 64, s. 14.

Cima Grande (2999 m). Droga geometrycznym środkiem północnej ściany — tzw. superdirettissima (też „via dei Sassoni” lub „via a goccia d'acqua” — „droga kropli wody”) — przebyta została po raz pierwszy w styczniu 1963 r. przez Niemców w kilkunastodniowej wspinaczce (P. Siegert, R. Kauschke i G. Uhner). Jest to 500-metrowa droga hakowa z dużą ilością nitów, ciężka fizycznie i psychicznie ze względu na słabe haki. Przed polskim, miała ona 4 powtórzenia, w tym 2 włoskie. Polskie przejście było szóstym z kolei. Dokonane zostało przez zespół Chrobak—Łaukajtys w dobrym czasie 3 dni (bez posiadania opisu, którego nie udało się na miejscu zdobyć). W związku z reklamą i dyskusjami wokół I przejścia, jest to aktualnie najgłośniejsza droga Dolomitów, a jej pokonanie przez Polaków znalazło żywy oddźwięk w prasie włoskiej.

Cima Grande. Stara direttissima niemiecka biegnie na lewo od superdirettissimy, w oddaleniu ok. wyciągu. Została przebyta po raz pierwszy w r. 1958 przez Niemców L. Brandlera, D. Hasse, J. Lehnego i S. Löwego. Liczy ona ok. 250 punktów hakowych, w tym 15 nitów, kluczowy odcinek stanowi 120-metrowe przewieszone zacięcie (serie okapów) o łącznym wysięgu ok. 60 m. Wiele wyciągów klasycznych o dużych trudnościach i stosunkowo nielicznych hakach. Droga należy do najpoważniejszych i najcięższych w całych



Na direttissimie Cima Grande. Poniżej wspinaczy zwiisa plecak.

Fot. Zygmunt Grabowski

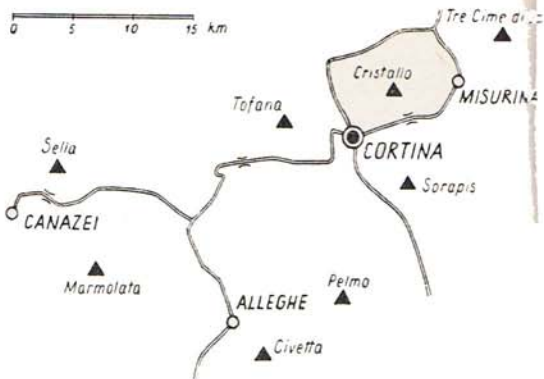
Dolomitach, wskutek wypadania nitów i słabych haków utrudnia się ona z biegiem lat. Przejścia dokonał zespół Heinrich—Nyka.

Cima Ovest (2973 m). Północno-zachodni filar szczytu, tzw. Filar Wiewiórek („Spigolo Sciattoli”), został pokonany po raz pierwszy w r. 1959 przez 4 członków klubu „Sco-

iattoli" (zob. s. 101) — A. Michiellego, G. Ghedine, L. Lorenziego i L. Lacedellego. Trudności skupiają się na kilkuwyciągowej przewieszonej części i są b. duże (klasyczne i hakowe). Ponieważ zdobywcy pozostawili mało haków, droga miała przed polskim tylko jedno powtórzenie (włoskie, 1963). Zespół Kurczab—Szafirski dokonał przejścia w dwa dni, co jest czasem wyjątkowo dobrym.

Cima Ovest. Direttissima szwajcarsko-włoska rozwiązuje elegancko środek północnej ściany tego szczytu, przewijając się przez efektowny dach o ok. 30 m wysięgu. Pokonana została w lecie 1959 r. przez konkurujące zespoły szwajcarski i włoski (opis zob. „Taternik” 1/62, s. 26). Ma 220 punktów hakowych i 7 nitów, przy ok. 500 m wysokości (duże trawersy). Wbrew temu, co mówią opisy, na drodze jest sporo odcinków o dużych trudnościach klasycznych. Do najtrudniejszych należą męczące fizycznie wyciągi w okapie (zdjęcie w „Taterniku” 1-2/64, s. 16). W górze logiczną kontynuację stanowi wariant Cassina, który oba nowe warianty omija od lewej. Polskie przejście: Heinrich—Nyka, z przeszło dobowym biwakiem na drugim zachodzie.

Ogółem zespoły spędziły w ścianach 380 godzin, w tym efektywnej wspinaczki 235 go-



dzin. W deszczu lub śniegu wspinano się łącznie ok. 110 godzin (efektywnie 37 godzin). Poszczególne dwójki miały razem 14 biwaków, z tego 7 w ławeczkach i 5 w deszczu. Jeśli chodzi o sumę pokonanych trudności, można z dużym przybliżeniem obliczyć dla całej grupy 50 wyciągów hakowych, 30 wyciągów w skali VI i przeszło 50 wyciągów w skali V.

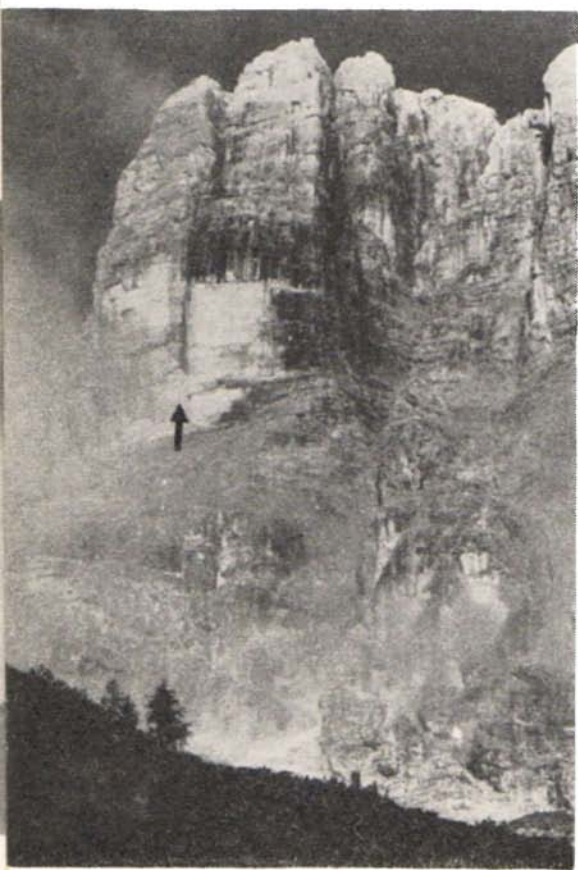
Ocena wyników

Ogólnie biorąc, drogi przebyte w lecie 1963 przez ekipę KW należą do najnowocześniejszych i najpoważniejszych w Dolomitach. Aż 5 z nich pochodzi z ostatniego siedmiolecia, jedna — z r. 1963. Mimo kompletów haków, drogi te są trudniejsze technicznie i fizycznie (opinia francuska) od słynnych dróg skalnych w Alpach lodowcowych. Trzeba dodać, że nasze dwójki przebywały je zwykle w dobrym lub bardzo dobrym czasie oraz w ładnym stylu. Tylko 2 członków ekipy było już raz w Dolomitach, reszta weszła w nie po prostu z Tatr. Biorąc w dodatku pod uwagę małą liczebność grupy (Niemców czy Włochów wspinają się tam tysiące) a także wyjątkowo złe warunki atmosferyczne, trzeba wyniki ocenić jako doskonałe. Polska zaczęła się na nowo liczyć w dolomityzmie sportowym, co później dodatkowo ugruntował zimowy wyjazd w marcu 1964 r. Bez konkurencji jesteśmy wśród krajów demokracji ludowej, z których w rachubę wchodzi jedynie Czechosłowacy z jedną średniej klasy drogą na Cima Grande (Comici—Dimai). Większość robionych przez nas dróg nie miała też dotąd przejść jugosłowiańskich.

Lato 1964 przyczyniło się również do poszerzenia naszych doświadczeń górskich. Biorąc za podstawę rozpowszechnione w literaturze opinie o Dolomitach, a także nasze obserwacje z r. 1963, wybraliśmy się w nie zbyt lekko — bez ciepłej bielizny, rękawic i kurtek puchowych. Mit o „błękitnym niebie Dolomitów” rozwiął się szybko. Sprzęt wspinaczkowy był zadowalający. Dobrze spisywały się liny w 90-metrowych odcinkach. Ich mankamentem był brak drugiego koloru. Dużo natomiast do

Zach. ściana Torre di Valgrande. Strzałka wskazuje kierunek drogi.

Fot. Józef Nyka



zyczenia pozostawiały ciężkie karabinki oraz ekwipunek ogólny. Skafandry przemakały, że działały maszyny benzynowe (przypuszczalnie wskutek używania benzyny samochodowej) — często trzeba było rezygnować z ciepłych posiłków. Sprawą zasadniczej wagi był brak lekkich kopert biwakowych, w ścianach tych rozmiarów po prostu nieodzownych.

*

Polska ekspansja w Dolomitach zasługuje niewątpliwie na kontynuację. Mamy tam już wyrobione dobre imię i doskonałe stosunki,

mamy wypróbowanych przyjaciół w osobach pp. Degregorio, Dimai, Lacedelli, Degasper... Trudne drogi Dolomitów są doskonałym ogniwem pośrednim między Tatrami a górami lodowcowymi. W Dolomitach można jeszcze dokonywać dużej klasy pierwszych wejść (porównaj s. 129), czysto żeński alpinizm nie istnieje tam niemal w ogóle. Włochy są przy tym krajem tańszym, niż wszystkie inne owarie o Alpy, a pogoda jest przeciętnie lepsza od tej, jaką zastaliśmy w lecie 1963 r.

Józef Nyka

Letni sezon taternicki 1964

Taternickie lato 1964 r. charakteryzowało się wielką liczbą ludzi wspinających się. O ile pod względem ilości powtórzeń najtrudniejszych dróg miniony sezon nie dorównuje poprzednim, to jednak wzrasta liczba osób decydujących się na wspinaczki jeszcze przed kilku laty uważane za b. poważne. Niestety, brak respektu przed poważnymi przedsięwzięciami obejmuje również coraz szersze rzesze taterników zupełnie początkujących. Przykłady: droga Łapińskiego i Paszuchy na Kazalnicy zaraz po kursie dla początkujących, czy północno-wschodni filar Mięguszwieckiego Szczytu jako druga wspinaczka w Tatrach (!) Jeśli do tego dodać szereg zaobserwowanych podstawowych błędów taktycznych, a nawet wypadki wykroczeń natury etycznej, będziemy mieli niewesoły obraz pokolenia wstępującego do piero grono taternickie.

Doszukując się przyczyn tej sytuacji nie można upraszczać, twierdząc — jak to niektórzy robią — że zjawisko „kosynierstwa” wypływa z chęci wybić się za wszelką cenę i jak najszybciej, ażeby zostać wysłanym w góry wyższe niż Tatry. Sytuacja, w jakiej znajduje się obecnie nasz Klub, daje ku temu minimalne możliwości, i z tego większość zdaje sobie sprawę. Przyczyn należy szukać gdzie indziej i jest to problem, którym poważnie powinny się zająć zarządy kół.

Drugą cechą charakterystyczną omawianego sezonu jest wielka ilość pierwszych przejść, i to nie tylko w Tatrach Wysokich, ale także w słabo dotąd eksplorowanych wspinaczkowo Tatrach Zachodnich. Z dokonanych w tym okresie pierwszych przejść wyróżnić należy przede wszystkim drogi na Kazalnicy, na ścianie Kotła Kazalnicy (tzw.

Sanktuarium), oraz na Małym Młynarzu i Młynarczyku, należące z pewnością do najtrudniejszych w Tatrach. Mówiąc o pierwszych przejściach, trzeba zwrócić uwagę na pewne bardzo niebezpieczne zjawisko. Mianowicie wielu taterników podając opisy zrobionych przez siebie nowych dróg rozmyślnie obniża stopień trudności, szczególnie na odcinkach podciągowych. Prawdopodobnie wypływa to z obawy, by po kilku powtórzeniach nie nastąpiła potrzeba zmiany klasyfikacji trudności. „Złatwienie” się dróg podciągowych, gdy pogłębia się szczeliny i przybiera stałych haków, jest przecież rzeczą dobrze znaną, a tego rodzaju praktyki stosowane przez pierwszych zdobywców dróg stwarzają niebezpieczeństwo porywania się na nie przez osoby do tego nie przygotowane. W konsekwencji — odpadnięcia, wycofania się, nieprzygotowane biwaki, co już miało miejsce w omawianym sezonie.

Osobnym rozdziałem działalności górskiej w lecie 1964 r. były przejścia graniowe. Polscy taternicy dokonali w tym czasie aż trzech przejść głównej grani Tatr. Na szczególne wyróżnienie zasługuje wyczyn Ryszarda Szafirskiego i Adama Zyzaka, którzy przeszli grani w rekordowym czasie 6 dni (!) — od 28 VIII do 2 IX. Poza nimi główną grani Tatr przebyły jeszcze dwa zespoły: Mirosław Bądzynski z Ryszardem Skowronskim (ten ostatni tylko do Wagi) w 15 dni (6—20 VIII) w bardzo złych warunkach atmosferycznych oraz Ryszard Kozioł, Janusz Oprzędkiewicz i E. Rachwał w 14 dni (17—31 VIII). Wszystkie te przejścia odbywały się w kierunku od Zdziarskiej do Huciańskiej Przełęczy. Itineraria pierwszego i drugiego podajemy na s. 115, trzecie omówił krakowski „Taterniczek” 6/64).

Nowe drogi i ważniejsze warianty

Czarne Ściany. Środkiem wsch. ściany: J. Łącki i J. Uszyński, 14 IX 1964. V.

Orla Baszta. Prawym filarem pn. ściany: J. Gacek, A. Grossman i J. Kiełkowski, 1 VIII 1964. VI, H2.

Mnich. Wsch. ścianą, na lewo od wariantu R: A. Heinrich i L. Saduś, 27 VIII 1964. V, H3 (z wierceniem otworów). Poręczowanie 50 m z udziałem E. Chrobaka.

Mnich. Wsch. ścianą, pomiędzy drogami Uchmańskiego i Wachowicza oraz Łapińskiego i Paszuchy: J. Fereński i B. Uchmański, 29 VIII 1964. VI, H2.

Cubryna. Pn. ścianą z Małej Galerii Cubryńskiej, kominem: G. Jaworska i A. Skłodowski, 16 VIII 1964. V.

Mięguszowiecki Szczyt. Lewą częścią wsch. ściany: J. Surdel i B. Uchmański, 12 IX 1964. V.

Mięguszowiecki Szczyt. Ścianą czołową pn.-wsch. grzędą: A. Starek i B. Uchmański, 25 — 26 VIII 1964. VI, H3.

Mięguszowiecki Szczyt Pośredni. Środkiem dolnej części lewego filara pn.-wsch. ściany: J. Łącki i M. Włodek, 16 IX 1964. VI.

Mięguszowiecki Szczyt Czarny. Pn. żebrem: K. Cielecki i A. Skłodowski, 21 VIII 1964. V.

Kazalnica Mięguszowiecka. Środkową częścią pn.-wsch. ściany: E. Chrobak i A. Heinrich, 12 — 14 VI 1964. VI, H3.

Kazalnica Mięguszowiecka. Wprost środkowym kominem pn.-wsch. ściany: A. Heinrich i M. Pogorzelski, 6 — 7 VIII 1964. VI, H3.

Kocioł Kazalnicy (tzw. Sanktuarium). Prawą częścią pn.-wsch. ściany: J. Kurczab, S. Skierski i A. Skłodowski, 27 — 29 VII 1964. VI, H3. Poręczowanie 100 m z udziałem M. Sokołowskiego.

Taras pod Wołową Turnią. Pn.-wsch. ścianą: A. Mróz i S. Russocki.

Zabi Mnich. Pd.-wsch. ścianą głównego wierzchołka: O. Polakowski i A. Skłodowski, 23 VI 1964. VI, H2.

Zabi Mnich. Pn.-zach. ścianą niższego wierzchołka: A. Jankowski i J. Łącki, 3 IX 1964. V+, H3.

Zabi Szczyt Niżni. Pd.-zach. ścianą, prawym żebrem: J. Łącki i J. Uszyński, 6 IX 1964. V.

Mały Młynarz. Środkiem pn.-wsch. ściany głównego wierzchołka, E. Chrobak, A. Heinrich, A. Mróz i L. Saduś, 3 — 5 IX 1964. VI, H4.

Wielki Młynarz. Lewą częścią pn.-wsch. ściany: A. Nowacki i J. Surdel, 4 IX 1964. V.

Młynarczyk. Środkiem wsch. ściany: W. Biederman, J. Kurczab i M. Pogorzelski, 29 VIII — 1 IX 1964. VI, H4.

Ciełka Turnia. Prawym filarem pd. ściany: K. Lipczyńska, H. Horak i J. Junger, 7 VIII 1964. VI, H3.

Wielicka Ściana. Lewą częścią, w przedłużeniu zach. grzędy (prawdopodobnie I wejście): T. Piotrowski i Z. Prusisz, M. i T. Rewajowie, 6 VIII 1964. V.

Wielka Kapalkowa Turnia. Środkiem pn. ściany: B. Jankowski i A. Sidorowicz.

Skrajny Kopiniak. Pd. ścianą: E. Chrobak i A. Mróz, 2 X 1964. VI, H2 (40 m poręczowania).

Ważniejsze powtórzenia

Orla Ściana. K. Bańkowski i K. Zdzitowiecki (II przejście).

Mnich. Wsch. ścianą, wariantem R: Elżbieta Miszczak i J. Śmiałek. Ponadto droga miała kilka przejść przez zespoły męskie.

Kazalnica Mięguszowiecka. Pn.-wsch. ścianą, lewym filarem z II przejściem wariantu prostującego w górę: A. Skwirczyński, W. Stonawski i A. Trzaska.

Kazalnica Mięguszowiecka. Pn.-wsch. ścianą, drogą Momatiuka: M. Pogorzelski i M. Popko.

Kocioł Kazalnicy (tzw. Sanktuarium). Środkową częścią pn.-wsch. ściany: J. Kurczab i A. Skłodowski (II wejście).

Galeria Gankowa. Drogą Łapińskiego i Paszuchy: A. Gąsiorowski i W. Wróż.

Batyżowiecki Szczyt. Pd. ścianą, piętami na lewo od drogi Kutty (WHP 1604). Prawdopodobnie II przejście, I polskie: T. Piotrowski i Z. Prusisz.

Mała Śnieżna Turnia. Drogą Płska: A. Mróz i M. Włodek (I polskie wejście).

Poza tym należy zanotować kilka przejść drogi Orłowskiego na Galerii Gankowej, drogę Stanisławskiego na Małej Śnieżnej Turni i Małym Kiezmarskim Szczytzie, pn.-wsch. filara Ganku oraz kilku krótkich lecz bardzo trudnych dróg w otoczeniu Morskiego Oka, jak droga Uchmańskiego i Wachowicza na wsch. ścianie Mnicha czy też środek wsch. ściany Mniszka.

Uwaga. Powyższe zestawienia obejmują tylko działalność taterników polskich i tylko na obszarze Tatr Wysokich. Z uwagi na brak kompletnych materiałów zarówno wykaz pierwszych wejść, jak i wykaz powtórzeń mogą zawierać pewne braki i pominięcia.

Komisja Sportowo-Szkoleniowa
ZG KW



Sir John Hunt w Dolince za Mnichem.

Fot. Lucjan Saduś

John Hunt w Polsce

W dniach od 1 do 7 czerwca 1964 r. bawił w Polsce na zaproszenie Klubu Wysokogórskiego słynny alpinista angielski, kierownik zdobywczej wyprawy na Mount Everest w r. 1953, Sir John Hunt z małżonką.

Na lotnisku Okęcie przywitali Gości przedstawiciele ZG KW oraz Koła Warszawskiego. 2 czerwca Sir Hunt zwiedził Warszawę, zaś po południu, po towarzyskim coctailu w lokalu SPATIF, wygłosił ilustrowaną pięknymi przezroczami pogadankę o terenach wspinaczkowych Wielkiej Brytanii oraz o brytyjsko-radzieckiej wyprawie w Pamir w r. 1962, którą sam kierował. W zagajeniu prelekcji usłyszeliśmy dużo ciepłych słów na temat dawniejszych i obecnych sukcesów alpinizmu polskiego, jak się okazuje bardzo dobrze naszemu Gościowi znanych. W coctailu, poza przedstawicielami ZG KW oraz GKKFiT, udział wziął Ambasador Wielkiej Brytanii, a także przedstawiciele British Council, Polskiego Towarzystwa Geograficznego, wydawnictwa „Iskry” itp. Po odczycie, prezes Klubu Wysokogórskiego, Leszek Łacki, wręczył p. Huntowi odznakę klubową, otrzymując jednocześnie pisma od prezesów obu czołowych organizacji alpinistycznych Wielkiej

Brytanii — British Mountaineering Council oraz Alpine Club. Prezes Alpine Club, uczestnik dwóch międzywojennych wypraw na Everest, T. Howard Somervell napisał:

„Przed wielu laty bawiłem w Zakopanem, ażeby się wspinać w Tatrach. Także liczni inni członkowie naszego klubu podziwiali już te piękne góry. Niech mi będzie wolno w imieniu Klubu Alpejskiego Wielkiej Brytanii przesłać taternikom i alpinistom polskim nasze najserdeczniejsze pozdrowienia. Żywimy przekonanie, że jako alpinisci jesteśmy wszyscy zespoleni w prawdziwym braterstwie przez ten najwspanialszy ze sportów na świecie”.

*

Dnia 3 czerwca państwo Hunt wyjechali do Krakowa, gdzie byli serdecznie podejmowani przez miejscowe koło KW. Po zwiedzeniu miasta, Sir John powtórzył swą prelekcję na temat wyprawy w Pamir. 4 czerwca rano nastąpił wyjazd do Zakopanego, ze zwiedzeniem po drodze Nowego Targu i kościółka w Dębnie. Zaciekawieni górami, Goście nie zatrzymali się dłużej w Zakopanem,

lecz udali się przez Hałę Gąsienicową i Zawrat do Doliny Pięciu Stawów Polskich, gdzie zanocowali w schronisku. Następnego dnia (pogoda była przepiękna) wyruszyli przez Przełęcz Szpiglasową do Doliny za Mnichem, by w dwóch zespołach dokonać wejścia północną ścianą (drogą klasyczną) na Mnicha. Sir Hunt miał za partnera L. Sadusia, z panią Hunt wspinał się J. J. Szczepański.

Po zejściu do Morskiego Oka nastąpił powrót do Zakopanego, gdzie Sir Hunt wygłosił w „Domu Turysty” odczyt na temat wyprawy na Everest w r. 1953.

Po przyjeździe do Warszawy państwo Hunt odbyli rozmowę w GKKFiT z wiceprzewodniczącym Jekielem, naczelnikiem Harą oraz dyrektorem Garbaczewskim. Wolny czas wykorzystali na obejrzenie urządzanego na ich życzenie pokazu filmu z I Polskiej Wyprawy w Hindukusz, który ich bardzo zainteresował. 7 czerwca opuścili Warszawę, żegnani na lotnisku przez przedstawicieli KW i GKKFiT.

Przez cały czas trwania wizyty Gośćmi opiekowali się z ramienia Klubu Wysokogórskiego kol.kol. Jan Józef Szczepański (tłumacz książki „The Ascent of Everest”), Andrzej Kuś oraz Maria Skroczyńska, na której

barki spadł — świetnie zresztą wypełniony — obowiązek zorganizowania całosci pobytu państwa Hunt w Polsce.

*

Zarówno Sir John i Lady Hunt, jak i przedstawiciele Ambasady Brytyjskiej i British Council wyrażali ogromne zadowolenie z organizacji i przebiegu wizyty, a także z serdeczności, z jaką Goście zostali przyjęci w naszym kraju. Państwu Hunt bardzo się spodobały Tatry, kotlina Morskiego Oka byli wręcz oczarowani. Podczas wycieczki i wspinaczki bez przerwy wypytawali o szczegóły topografii, nazwy szczytów, drogi wspinaczkowe itp. Najlepszym miernikiem ich zainteresowania naszymi górami jest wyrażenie życzenia ponownego przyjazdu do Polski, być może już w przyszłym roku i to z większą grupą wspinaczy. Wizyta państwa Hunt jest dla naszego Klubu wydarzeniem bardzo ważnym, przyczyni się bowiem niewątpliwie do zacieśnienia kontaktów między organizacjami alpinistycznymi obu krajów a także do dalszej popularyzacji polskich gór na terenie Wielkiej Brytanii.

(jn.)

W wielkim ścieku

Notatki z pełnego przygód pierwszego przejścia północno-wschodniej ściany Kotła Kazałnicy — jednego z czołowych osiągnięć tatrzańskich lata 1964. Janusz Kurczab, Samuel Skierski i Andrzej Skłodowski, 27—29 lipca. Techniczny opis drogi zob. s. 112.

Na dworze jest zupełnie ciemno. Chyba trzecia nad ranem. Nigdy nie lubiłem wcześniej wstawać. Siedzę otumaniony snem. „Kończcie szybciej jedzenie, idziemy” — pędza Janusz. Wstajemy powoli. Marek zaczyna wyrzucać z „Kurnika” ciężkie worki wypchane sprzętem, żywnością, bankami z wodą. Nie spiesząc się schodzimy po kamiennych schodkach nad staw. Za nami pozostaje ciemne, uśpione schronisko.

Nareszcie pod ścianą. Jest już zupełnie jasno i widzę wyraźnie liny zwisające z ogromnego mokrego okapu — „dzwonu”, jak go nazwał Janusz. Zostały w ścianie z pierwszej próby tydzień temu. Wspinaliśmy się wówczas cały dzień i po biwaku na płytach przekraczaliśmy właśnie ściek wodny, kiedy ni stąd ni zowąd nadleciała burza. Z okapów lały się ogromne strugi. Przemokliśmy na wylot, Marek się o mało nie uto-

pił. Zjechaliśmy, a liny zostały. Teraz trzeba wspiąć się po nich aż do nży, najwyższego miejsca, do jakiego dotarliśmy zeszłym razem. Dalej są przewieszki, ściany, okapy — ziemia nieznana...

Wchodzimy do góry po linach jak pajaki. Najpierw Janusz, potem Samek, wreszcie ja. Siedzę teraz na małych stopieńkach nad dolnym okapem — chyba ze sto metrów nad piargami. Dziwne uczucie. Ciągnę plecaki — jeden, drugi, trzeci. Samek i Janusz wspinają się już wysoko nade mną. Po linach poręczowych dochodzą do nży. Samek coś krzyczy. W dole pode mną jest Marek, który za chwilę zacznie podchodzić. „Możesz iść!” — wołam na cały głos. Lina się napręży, Marek rusza. Zapadam w chwilową drzemkę. Jest ciepło, nic się nie chce robić. Najchętniej pospałbym sobie. Zapalam papierosa. Nagle z dołu słychać krzyki, potem leci wiązanka przekleństw. Wychylam się, ale skała zasłania podstawę ściany i nic nie widzę. Z góry

wołanie Janusza: „Co się tam stało?” Ba, żebym to ja sam wiedział! „Marek, Marek, odezwi się, do cholery!” Cisza. Wreszcie słysząc jego głos — woła, że lina strąciła kamień, dostał w rękę i nie może iść dalej. Po chwili widzę, jak zjeżdża na piarg. Rękę ma owiniętą chustką. A więc ładnie się zaczyna. Naradzamy się chwilę, potem dowiaduję się do Janusza i Samka. Gdy ruszam w górę, Marek schodzi powoli w dół na ścieżkę. Co chwila przystaje i ogląda się ku nam. Żal mi go. Zostajemy sami.

Biwak. A więc już cały dzień za nami. Siedzę razem z Samkiem i jest nam zupełnie wygodnie. Janusz przeszedł pierwszy ogromne, przewieszone zacięcie w okapie i „nocuje” wyciąg wyżej. Niewiele przeszliśmy dzisiaj. Wszystkiego z czterdzieści metrów, nie licząc dojścia po linach od dołu. Trudno, dobre i tyle. Jemy coś, pijemy po łyku wody, potem papierosy. Zapalam świeczkę. Jest już zupełnie ciemno. Z góry Janusz śpiewa. No, trzeba spróbować zasnąć. Układam się jak mogę najwygodniej. Co będzie jutro?

Słońce. Wspinamy się już od dwóch godzin. Dobijam do stanowiska. Jezu, ile powietrza pod nami! Jest trudno. Wychodzę z ławeczek, parę gwałtownych ruchów, chwytam się liny. Uff... jestem. Siadam wygodnie. Teraz papieros. Janusz już szykuje sprzęt. „Możesz iść” — mówię, choć wołałbym, żeby mi pozwolił odsapnąć. Rusza. Wywieszone zacięcie odpycha. Hak. „Przyciągnij, no przyciągnij mocniej do cholery.” Drugi hak. „Andrzej, masz tam kołki? Dawaj tutaj.” Znowu stukanie młotka. Mija godzina za godziną. Janusz się oddala. Woła coś, nie wiem dokładnie o co chodzi, jest przecież za załomem okapu; liny się kończą. Znowu krzyki. Aha, teraz rozumiem. Mam ściągać Samka, u góry jest już stanowisko. Idzie Samek. Ściągam miarowo liny. Na zmianę — czerwona, biała, znowu czerwona. Wybija haki. „Andrzej, uważaj — woła — zrzucam blok, cały się kiwa.” Naprężam mocniej liny. Samek kopie blok. Potworny huk, zapach siarki. Blok leci ze świstem wprost do stawu. Nagle słyszę spod ściany krzyk przerażenia. Robi mi się zimno. Kto tam mógł być? Jeszcze tego brakowało. Po chwili widzę głęboko w dole jakąś postać. To Nelka. Woła, że wszystko w porządku, ale żebyśmy uważali, bo siedzi pod ścianą. Samek dochodzi do mnie błąd jak opłatek. Wcale mu się nie dziwię. Przejął się chłopak.

Nadal jest trudno. Zbliża się piąta po południu, kiedy docieram do Janusza. Stanowisko na pochyłej płycie, trzeba siedzieć w ławeczkach. Skończył się luksus wygodnych półek... Nad nami spory okap, dalej widać krawędź półki. Jeżeli mamy spać wygodnie wygodnie musimy tam dotrzeć. Janusz



W okapach lewego filara Kazalnicy

Fot. A. Skwirczyński i W. Stonawski

obwiesza się sprzętem, a ja wciągam plecaki. Potem idzie Samek. Zatrzymuje się około 15 metrów pod nami i przysyła na sznurze resztę haków. Janusz zabiera się do okapu. Robi się późno, więc idzie szybko jak tylko można. Przyglądam mu się z podziwem. Ależ efektowny pokaz podciagu! Po godzinie jest już na krawędzi okapu. Jeszcze jeden hak, wchodzi w górne szczebelki i... „Chłopaki, nabraliśmy się, żadnych półek tu nie ma. Wszędzie pochyłe płyty.” A niech to wszyscy diabli, a więc dziś będziemy nocować w ławeczkach. Janusz trawersuje w lewo i zakłada stanowisko.

Jest już półmrok, gdy zaczynam ściągać do siebie Samka. Przygotowujemy spanie, robi-

my „kołyskę” z lin. Pod uda podkładałam sweter, mimo to ławeczki piją niemiłosiernie. I ja mam tak przetrzymać całą noc? To niemożliwe. Z góry Janusz woła żeby mu posłać na sznurze kolację. Wesoły chłopak: nasza kolacja składa się dziś z kilku rodzynek, również zapas wody już się kończy. Na szczęście mam jeszcze papierosy. Noc. O śnie nie ma mowy. Nad nami ogromne, roziskrzone niebo. Samek monotonna wylicza nazwy gwiazd. Też się znalazł astronom... Zapadam w niespokojną drzemkę.

I znowu dzień. Rano wydaje mi się, że żadna siła nie zdoła mnie ruszyć z miejsca. Wszystkie mięśnie potwornie bołą. W ustach sucho, woda skończyła się. Z góry głos Janusza: „Chodźże szybciej, już siódma, trzeba się spieszyć!” Włażę w okap. Jestem zupełnie otepiała, w głowie mi się kręci. Machinalnie przepinam liny. Ależ mi się ten biwak dał we znaki! Wchodzę na płytę. Jeden trawers, potem drugi. Chyba skrajnie trudno. Wreszcie jestem przy Januszu. Ten też nie spał na kanapie — stanowisko miał jeszcze gorsze niż my. Wygląda nie najlepiej, siedzi osowiały, ma małeńkie zaczerwienione oczka — zupełnie jak królik. W dole startuje Samek. Gdy wchodzi na płytę nad okapem urządzamy małą uroczystość. Zostawiamy tu puszkę z książeczką drogi, do której się będą wpisywali ci, co wybiorą się na „wielki ściek” po nas. Samek umocowuje puszkę do haka. Myślę o Jacku Woszczerowiczu. Przeżyliśmy z nim w górach wiele naprawdę ładnych dni i niejedną pamiętną przygodę. To ma być jego droga, jemu ją poświęcamy.

„Możesz iść!” Janusz woła zza załomu skały. Ruszamy w trawers. Hak, potem jeszcze jeden. Z pomocą liny wlażę na żeberko i zjeżdżam do komina. Za chwilę stoję przy Januszu. O, jest woda! Przypinam się do niższych szpiczonymi wargami i piję, piję. „Dosyć, Andrzej — mówi Janusz. — Zostaw, pogoda się psuje. Jak nas tu złapie burza, to koniec.” Rzeczywiście. Niebo robi się brunatne, trzeba się spieszyć. Przeciągamy plecaki. Jeden już jest, teraz drugi. Zaklinowałam się, nie idzie. Szarpiemy chaotycznie tam i z powrotem. Nawoływania, nerwowe komendy. „Samek, ciągnij — jeszcze raz, mo-cno! Nic z tego. A tu trzeba się spieszyć, bo burza już się zbliża. Samek decyduje się ściągnąć plecak z powrotem do siebie, wyrzuca z niego wszystkie niepotrzebne graty, a potem łąduje go sobie na plecy i tak obciążony zaczyna przechodzić trawers. Haków już nie wybija, nie ma na to czasu. Zresztą sprzęt nie jest teraz ważny. Chodzi o to, żeby jak najszybciej wydostać się z komina, którym w wypadku ulewy pójdzie woda z lawinami kamieni. Więc przynaglami Samka, który wreszcie dochodzi do nas. Wyrzucamy resztę niepotrzebnego sprzętu. Pod ścianę lecą

liny, ławeczki, haki, swetry. Natychmiast zaczynam się wspinać kominem do góry. Nie jest specjalnie trudno, ale skała jest lita i nie ma gdzie wbijać haków. A więc koncentracja uwagi: żeby tylko nie odpaść...

Zdążyliśmy. Siedzimy we trójkę na ogromnej platformie. Przed nami jeszcze jeden łatwy wyciąg, a potem piarżyska i żleby „Sanktuarium”. Zaczyna padać deszcz, który wkrótce zmienia się w ulewę. Oglądam się z ulgą na czeluść komina pod nami. Uciekliśmy stamtąd jak z zegarkiem w ręce. Wspinam się powoli do góry. Jeszcze pięć metrów, jeszcze trzy... Wreszcie koniec. Wychodzę na trawę. Ściana już za nami. Wbijam hak i zaczynam ściągać Samka. Dochodzi do mnie zadyszany, szeleści z ciężkim workiem na plecach. Teraz jeszcze Janusz.

Stoi gdzieś pod nami i woła: „Zrzućcie linę i wyciągnijcie ten drański wór, zaraz dojdę do was”. Odwiązuję się i koniec liny rzucam w dół. Janusz przywiązuje plecak, a ja zaczynam ciągnąć do góry. „Schowaj się — wołam — mogą polecieć kamienie!”. Wór zaklinował się, szarpie mocno i... „uważaj, kamień!”. Chwila ciszy, a potem z dołu jęk Janusza. Śmiertelny strach: „Co się stało, żyjesz?”. Brak odpowiedzi. Samek woła żeby dobić hak, ręce mi dygocą przy tej robocie. To przecież ja zrzuciłam ten przeklęty kamień. Z dołu znowu jęk Janusza. Schodzę niżej asekurowany przez Samka. Słyszę teraz, jak Janusz woła coś niewyraźnie. Rozumiem tylko tyle, że żyje i że może się ruszać. Po chwili trzymając się liny zaczyna gramolić się do góry. Pomagam mu jak mogę. Wreszcie jest na trawach. Trzyma się za prawy bok i syczy z bólu. Ściągamy z niego koszulę: pod łopatką ciemnieje wielki siniec. Sадzamy go delikatnie pod skałą, a tu leje jak z cebra. Samek rozpościera płachtę. Co teraz robić?

Płyną godziny. Potem burza na chwilę cichnie i deszcz ustaje, a spośród mgieł wynurzają się ciemne mokre turnie. Janusz czuje się lepiej, mówi, że pójdzie, tylko trzeba go będzie asekurować. Zostawiamy sprzęt i ruszamy. Wyciąg za wyciągiem do góry, byle tylko wyjść ze żlebu zanim znowu zacznie padać. Jeszcze jeden próg. Najpierw Samek, za nim Janusz. Do szczytu już niedaleko, ale znowu rozpoczyna się deszcz. Nareszcie przełęczka pomiędzy turniami. Po trzech dniach wspinaczki jesteśmy na górze. Nawet się trochę przejaśniło. Idziemy powoli łatwym już terenem ku szczytowi. Wtem ktoś gwiżdże na palcach i spomiędzy kamieni gramoli się Andrzej. Czekaj tu na nas. Gratulacje, zwykłe serdeczności. Potem termos z gorącą herbatą. A teraz szybko w dół do schroniska — jeść, spać i przez kilka dni żyć jak normalny człowiek. Do następnego razu.

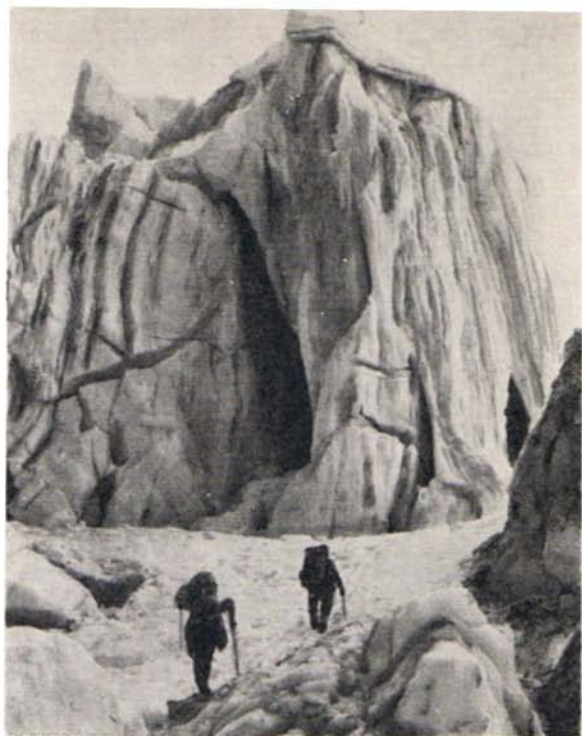
Andrzej Skłodowski

Bezingi, 1964

Polana Miżirgi położona na wysokości ok. 2200 m u zbiegu lodowców Bezingi i Kundium Miżirgi rozbrzmiewała w lecie 1964 r. różnorodnym gwarem. Oprócz wspinaczy radzieckich bawili tu Austriacy i Czechosłowacy, Bułgarzy i Niemcy, nie zabrakło też alpinistów polskich. Gospodarze — jak zawsze serdeczni i mili — dali swoim gościom pełną swobodę w doborze dróg, udostępnili im swoje materiały informacyjne (mapy, opisy, marszruty), chętnie też służyli radą i dzielili się swoim doświadczeniem. Kierownikom grup uprawniono nawet do wyprawiania zespołów w góry. Wszystko to razem stworzyło doskonałe warunki pobytowe i sprawiło, że ekipa polska, mimo małej liczebności (11 osób) i nie najlepszej pogody, mogła osiągnąć wyniki, o jakich wyjeżdżając z kraju naprawdę nie marzyła.

Wyjazd został zorganizowany wspólnym wysiłkiem Klubu Wysokogórskiego i Sekcji Alpinizmu Klubu Turystów Górskich. Skład ekipy był następujący: KTG — Jolanta i Marek Jareccy, Piotr Młotecki, Wojciech Popławski, Andrzej Sobolewski i Zbigniew Staszyszyn; KW — Józef Bukowski (GOPR), Eugeniusz Chrobak, Tadeusz Łaukajtys, Jerzy Michalski i Jerzy Warteresiewicz. Kierownictwo ogólne sprawował Piotr Młotecki (KTG), grupą KW kierował Jerzy Michalski.

Wyjazd z Warszawy nastąpił 7 lipca, powrót 10 sierpnia. Pobyt w Kaukazie trwał 26 dni, od 11 lipca do 5 sierpnia. Uczestnicy byli zakwaterowani w 3- i 4-osobowych namiotach wyposażonych w wygodne łóżka. W



budynkach stałych bazy mieściły się: świetlica, stołówka, biura, piekarnia. Ośrodek posiada własną elektrownię polową, ma prysznic i urządzenia sportowe, takie jak boisko do siatkówki czy sala pingpongowa. Korzystano z doskonałego wyżywienia w bazie, na wspinaczki zaś pobierano z magazynu suchy prowiant, uzupełniając go z zapasów własnych.

Zespoły KW i KTG działały w zasadzie oddzielnie, pomagały sobie jednak w doborze dróg, organizowaniu materiałów i zapewnianiu bezpieczeństwa na wspinaczkach. Warto dodać, że pobyt w rejonie Bezingi był trzecim polskim wyjazdem wysokogórskim w tę chybą najciekawszą partię Kaukazu, nazwaną kiedyś przez Johna Hunta „małymi Himalajami”. Poprzednie wyjazdy miały miejsce w latach 1935 i 1959.

Charakterystyka ekipy

Podgrupa KW skompletowana została jako zespół wyczynowy, przygotowany do przechodzenia dróg najwyższej klasy. Dwaj uczestnicy dysponowali wielkim doświadczeniem lodowo-lodowcowym, dwaj inni — Chrobak i Łaukajtys — mieli poza sobą szereg poważnych dróg skalnych w Tatrach i Dolomitach. Udział ratownika GOPR, J. Bukowskiego, miał na celu zagwarantowanie grupie stałej własnej obserwacji w ścianach oraz zaznajomienie się z radzieckimi metodami organizacji bezpieczeństwa w górach.

Również podgrupa KTG stanowiła zespół wyczynowy, przygotowany do podejmowania

trudnych wspinaczek. Miłotecki i Sobolewski posiadali duże doświadczenie wysokogórskie, zdobyte m. in. w trakcie trzech poprzednich pobytów w Kaukazie. Jareccy i Popławski wynieśli odpowiednie przygotowanie z Tatr i Alp oraz Tatr i Kaukazu. Staszyszyn uczestniczył w wyjeździe głównie w celach foto-reporterskich, jednak i on posiadał doświadczenie alpinistyczne.

Kronika działalności

7 VII wyjazd z Warszawy. 8 VII powitanie na dworcu w Moskwie przez przedstawicieli władz sportowych ZSRR oraz Miłoteckiego i Staszyszyna, którzy wyjechali nieco wcześniej. 9 VII wyjazd z Moskwy. 10 VII Piatigorsk, skąd dalsza podróż autokarami, ciężarówką, wreszcie z pomocą karawany osiołków, koni i muła. 11–12 VII aklimatyzacja i przygotowania w bazie na polanie Miżirgi. Formalności związane z przyszłymi wspinaczkami.

13 VII wymarsz podgrupy KW pod **Salynan Baszy** (4348 m). 14 VII wejście na szczyt północno-wschodnią granią o trudnościach 3B (Bukowski, Chrobak, Łaukajtys, Michalski i Warteresiewicz). Na szczycie biwak aklimatyzacyjny. 15 VII zejście do bazy. Podgrupa KTG 13 VII wyruszyła przez północno-zachodnią granią na **Misses-tau** (4421 m, trudności 4A). Po dwóch aklimatyzacyjnych biwakach 15 VII osiągnięcie szczytu i zejście do bazy.

18 VII wymarsz na trzeci stopień lodowca Kundium Miżirgi. 19 VII godz. 7 zespół Chrobak, Łaukajtys, Michalski i Warteresiewicz wchodzi w północno-zachodnie żebro **Kosztan-tau** (5151 m) z planem dokonania I przejścia. Biwak godz. 17. Bukowski i Staszyszyn stanowią zespół obserwacyjny. 20 VII wspinaczka od godz. 8–17 i wejście na szczyt. Po południu załamanie pogody. Biwak w zejściu na grani razem z Bukowskim i Staszyszynem którzy podeszli normalną drogą (trudności 4B). 21 VII Bukowski i Staszyszyn z powodu załamania pogody wycofują się spod wierzchołka Kosztan-tau i oba zespoły wracają do bazy.

17 VII Jareccy, Miłotecki, Popławski i Sobolewski zakładają biwak pod szczytem Brno. 19 VII o godz. 1 wyjście z biwaku i o godz. 3 początek wspinaczki z zamiarem dokonania I przejścia prawego żebra północno-wschodniego filara **Dych-tau** (5204 m). O godz. 14 załamanie pogody, w godz. 17–19 zakładanie biwaku. 20 VII dalsza wspinaczka. O godz. 13 załamanie pogody, 16–19 zakładanie biwaku. 21 VII wspinaczka; załamanie pogody już o godz. 11, biwak od 17, na wykutej w lodzie platformie. 22 VII w południe zespół kończy przejście filara (5B). Przed wejściem na grani o trudnościach 4A ka-

mienna lawinka przecina repsznur i strąca 2 plecaki (żywność, część sprzętu i ekwipunku). Ok. godz. 22 osiągnięcie szczytu i zejście do tzw. biwaku WCSPS. 23 VII uciążliwe zejście lodowym zboczem, utrudnione brakiem większej ilości igieł lodowych. O godz. 17 przybycie do bazy.

25–27 VII zespół Chrobak, Łaukajtys, Michalski i Warteresiewicz biwakuje na pierwszym stopniu lodowca Kundium Miżirgi, prowadząc obserwacje północnej ściany Miżirgi (4927 m) przed jej zaatakowaniem. 28 VII wejście w ścianę z planem dokonania I przejścia. Godz. 17 biwak z powodu silnego opadu śniegu. 29 VII wspinaczka od godz. 6.30 do 13. Załamanie pogody ze śnieżycą — drugi biwak. 30 VII wobec braku poprawy warunków atmosferycznych trzeci biwak (w tym samym miejscu). 31 VII wspinaczka w godz. 7–17 i czwarty biwak na grani w śnieżycy trwającej od godz. 13. Wszyscy przemoczeni. (Tymczasem w bazie zaniepokojenie o Polaków, wobec fatalnej pogody i fałszywego meldunku o pozostawieniu przez nich namiotu na lodowcu — 1 VIII zwiad zespołu Miłotecki, Popławski i Sobolewski i odwołanie alarmu). 1 VIII Chrobak, Łaukajtys, Michalski i Warteresiewicz osiągają wschodni szczyt Miżirgi. Do godz. 20 schodzenie w mgłę i opadzie śnieżnym przez grani i ścianę Zachodniej Miżirgi o trudnościach 5A. Biwak nieco poniżej „austriackiego biwaku”. 2 VIII o godz. 18 powrót do bazy. Powyżej 3000 m n.p.m. śnieg, niżej deszcz.

27 VII podgrupa KTG wyrusza z bazy z zamiarem wejścia na **Dzangi-tau** (5051 m) przez północno-wschodnią grani. 28 VII zespół osiąga na filarze wysokość ok. 4300 m, wycofuje się jednak z powodu choroby Popławskiego. 29 VII ze względu na wciąż pogarszającą się pogodę powrót do bazy.

3 VIII Bukowski i Jareccy na zachodnim wierzchołku Elbrusu (5633 m). 4 VIII zejście do Tereskołu i następnego dnia powrót do bazy. 5 VIII w godzinach wieczornych spotkanie całej ekipy z kierownictwem obozu i alpinistami radzieckimi. Uroczyste i serdeczne pożegnanie. 6 VIII wyjazd z bazy. 8 VIII w Kijowie. 9 VIII przejazd przez Lwów do Warszawy.

Jerzy Michalski i Piotr Miłotecki

Ocena pobytu w Bezingi

W czasie bez mała miesięcznego pobytu w rejonie Bezingi grupa polska poznała kilka interesujących dolin i lodowców oraz dokonała wejść na 6 szczytów, z tego 4 przekraczające wysokość 5000 m (wśród nich Elbrus, 5633 m). Na początek dokonano wej-

ścia na Sałynan-Baszy (4348 m) drogą o trudnościach 3B oraz na Misses-tau (4421 m) drogą w skali 4A. Warto zaznaczyć, że na tym drugim szczycie jak się zdaje Polaków dotychczas nie było. Największe znaczenie w dorobku naszego alpinizmu mają jednak pierwsze wejścia dokonane przez zespoły na ścianach i filarze Kosztan-tau (5151 m), Miżirgi (5025 m) i Dych-tau (5204 m). Oto ich krótka charakterystyka:

Kosztan-tau (5151 m). I wejście żebrem północno-zachodniej ściany: zespół Klubu Wysokogórskiego. Droga ta jest b. logicznym rozwiązaniem i była w r. 1964 zgłoszona przez zespół Gunowkina (łącznie z trawersem do Dych-tau) do oceny Związków Zawodowych ZSRR na najlepsze przejście ścianowe. Jedynie dzięki temu, że zespół, który drogę zgłosił, dokonał I przejścia północnej ściany Krumkołu (4674 m), udało się uzyskać zgodę na atak Polaków. Droga prowadzi przez wybitne żebro i ma charakter typowo alpejski (lód, śnieg, skała). Trudności według naszej skali V z jednym miejscem VI, według skali kaukaskiej — 5A. Należy dodać, że wejścia dokonano w trudnych warunkach

atmosferycznych, ponieważ drugiego dnia w południe nastąpiło załamanie pogody połączone z opadem śniegu, mroźnym wiatrem i mgłą. Warunki te zaskoczyły zespół w trudnościach górnej bariery skalno-lodowej. W kopule szczytowej śnieg okazał się niezwiązany z podłożem, na szczycie zaś i na grani panował mróz ok. 10°. Techniczny opis drogi s. 116.

Dych-tau (5204 m). I wejście prawym żebrem północno-wschodniego filara: zespół Klubu Turystów Górskich. Jedyne dotychczas przejście tej części ściany (lewym żebrem, z wytrawersowaniem w 2/3 wysokości na pola lodowo-śnieżne i wejściem nimi na grani) dokonane zostało w r. 1951 przez zespół Gruzinów. Polskie przejście prawym żebrem jest więc nową drogą, i jedyną na całym filarze, liczącym 1800—2000 m wysokości. Droga jest logiczna i trudna — nie tylko z powodu załadowanych partii skalnych o dużej ekspozycji, lecz także z uwagi na różnicę poziomów, jaką trzeba pokonać (od podstawy filara do wierzchołka ok. 2500 m). Samo przebycie skrajnie trudnego filara zajęło 50 godz., nie licząc pracy przy zakładaniu biwaków.

Zespół Klubu Turystów Górskich na szczycie Misses-tau.

Fot. Zbigniew Staszyszyn





Miżirgi z ostrogą „Bałałajki”. Górna część ściany widoczna jest w dużym skrócie perspektywicznym

Fot. Jerzy Warteresiewicz

lawiny pyłowe, które spowodowały przemoczenie ubrań. Dlatego też biwak na podszczytowej grani w temperaturze -15° był wyjątkowo ciężki. Opis drogi s. 116.

*

Jak z powyższego wynika, osiągnięcia polskiej grupy w rejonie Bezingi należy uznać za doskonałe, zwłaszcza jeśli się uwzględni ciężkie warunki, w jakich zostały dokonane. Na szczególnie wysoką ocenę zasługuje nowa droga na Wschodnią Miżirgi, specjalnie wyróżniona w pisemnej opinii wystawionej zespołowi KW przez radzieckie kierownictwo bazy. Czytamy w niej m. in.: „Po wejściach treningowych zespół zdecydował się na dokonanie wejścia nową drogą na szczyt Wschodniej Miżirgi przez „Bałałajkę”, drogą należącą do najtrudniejszych i najbardziej skomplikowanych (...) Przejsie północnej ściany Wschodniej Miżirgi, ogólnej wysokości 1800 m, wymaga od każdego z członków zespołu pełnego przygotowania pod względem kondycyjnym, technicznym i taktycznym (...) To przejsie polskich alpinistów w sezonie letnim 1964 mogłoby pretendować do odznaczenia związkowego w klasie trudnych technicznie dróg ścianowych.”

Wyróżnienie należv się również 5-osobowemu zespołowi KTG, który dokonał I wejścia północno-wschodnim filarem na Dychtau, najwyższy szczyt rejonu Bezingi. W rozwiązaniu tego poważnego problemu warto podkreślić udział kobiety — fakt bez precedensu w historii dotychczasowych polskich wyjazdów w Kaukaz.

Tegoroczne nasze sukcesy w rejonie Bezingi trzeba też porównać z wynikami innych grup zagranicznych, jakie w tym samym sezonie działały w Kaukazie. Podstawę do tego może stanowić list wiceprzewodniczącego Federacji Alpinizmu ZSRR, red. Pawła Rototajewa. O Polakach wyraża on się, że byli „rewelacją sezonu”, poza nimi zaś wyróżnia tylko Bułgarów za przejsie słynnej grani Bezingijskiego Muru oraz Jugosłowian.

Widąc z tego wyraźnie, że tegoroczne wyniki wywiezione przez nas z Bezingi są znacznie większe od tych, jakie wywoziły inne reprezentacje zagraniczne. Wybijają się one też na tle dotychczasowego polskiego dorobku kaukaskiego, gdyż tak poważnych pierwszych wejść skalno-lodowych dotąd tu nie mieliśmy. Ten stały postęp, stały awans naszego rekordu kaukaskiego — przy małej liczbie grupie i naprawdę złej pogodzie — uprawnia do jak najbardziej optymistycznych prognoz na przyszłość.

Piotr Młotecki

Wspinaczka ta wymagała prawie bez przerwy sztywnej asekuracji. Droga jest dużym rozwiązaniem ścianowym, o rozmiarach spotykanych tylko w wysokich górach. Jej przejsie utrudniała fatalna pogoda i niebezpieczne lawiny pyłowe. Opis drogi s. 117.

Wschodnia Miżirgi (4927 m). I wejście północną ścianą: zespół Klubu Wysokogórskiego. Droga ta stanowiła, jak się wydaje, ostatni wielkiej miary klasyczny problem rejonu Bezingi. Prowadzi ona środkiem północnej ściany, posiadając przez cały czas trudności techniczne w lodzie, skale i śniegu (nachylenie lodu $55-65^{\circ}$ wymaga rąbania stopni, 3/4 drogi to lód i śnieg, w skale 80% trudności V—VI). Stanowi przykład wielkiej alpejskiej drogi, którą można porównać np. z północną ścianą Les Droites, łatwiejszą chyba jednak od niej i mniej ciekawą. Drogę przez „Bałałajkę” była trzykrotnie zgłaszana do przejścia w ramach najlepszego przejścia ścianowego, ocenianego przez Związki Zawodowe. Z różnych jednak przyczyn ataki były odkładane. Drogę należv ocenić jako VI w skali alpejskiej i jako 5B w skali radzieckiej. Warto dodać, że w ciągu wspinaczki nie było ani jednego całego dnia pogody. Pierwszego dnia załamanie nastąpiło o godz. 14, drugiego — o 13, trzeciego śnieżycy trwała bez przerwy, wreszcie czwartego dnia — od godz. 13. W dniu tym wyjątkowo dokuczliwe były

Miżirgi przez „Bałałajkę”

Mieliśmy już za sobą wejście na Salyan-Baszy i piękny sukces w postaci pierwszego wejścia zębem północno-zachodniej ściany Kosztan-tau. Byliśmy zaaklimatyzowani i dobrze zgrani jako zespół. W rejonie naszej działalności czekał jeszcze na rozwiązanie problem — chyba ostatni z wielkich problemów Bezingi — północna ściana Wschodniej Miżirgi.

Po długich namysłach i wahaniach z naszej strony, przeprowadziliśmy naradę z radzieckim kierownictwem bazy i postanowiliśmy podejść pod ścianę — na razie nie tyle z zamiarem jej zaatakowania, ile przeprowadzenia dwudniowej obserwacji. Posiadała ona złą renomę u alpinistów radzieckich i wymagała nie tylko zorientowania się w trudnościach, ale także szczegółowego rozeznania w niebezpieczeństwach grożących ze strony lawin śnieżnych i obrywów seraków. Biegające od podstawy, a zanikające w środku w potężnych polach lodowych czarne skalne żebro, nazwane już dawniej przez Rosjan „Bałałajką”, stanowiło jedyną gwarancję bezpie-

cznego przejścia wśród lawin lodowych spadających z obydwu stron z regularnością pociągów.

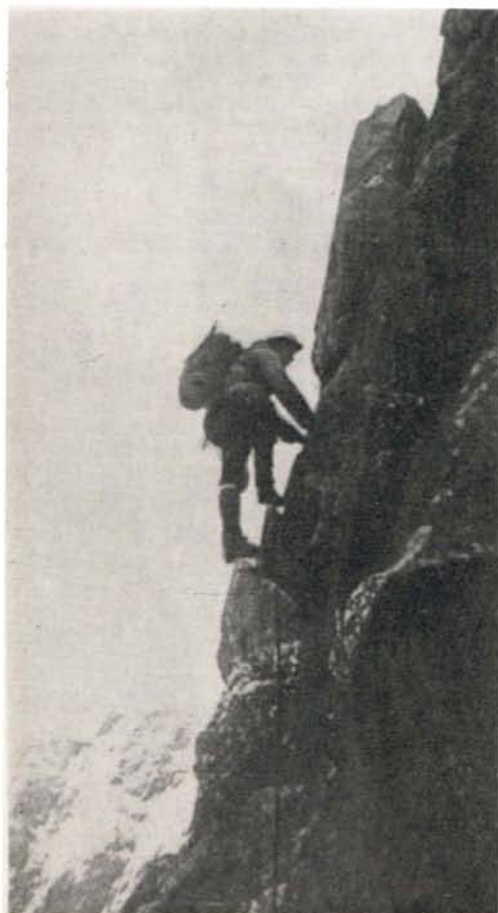
„Bałałajka” wyglądała trudno, ale nie tylko ona miała stanowić o trudnościach drogi. Powyżej niej czekały trzy pola lodowe o nachyleniu 55–65°, poprzegradzane barierami zalodzonej skały. Do samego szczytu bronił dojścia potężny podkowiasty serak, z pozoru całkowicie niedostępny. Dwa i pół dnia — od 25 do 27 lipca — przypatrywaliśmy się ścianie z naszego biwaku na pierwszym stopniu lodowca Kundium Miżirgi. Nie można powiedzieć, by jej dzika sceneria z bezmia-rem poszarpanych lodów i nieustannym grzmiotem lawin tchnęła w nas zbyt wielki optymizm....

28 lipca o 3 nad ranem zwinęliśmy namiot i obchodząc mroczne czeluście szczeliny lodowca podeszliśmy pod ścianę. Byliśmy zdecydowani: żebro „Bałałajki” jest bezpieczne, jeśli tylko uda nam się osiągnąć podstawę skalnej części przed wschodem słońca. No i jeżeli pogoda wytrzyma...

*

Mamy już za sobą szczelinę brzezną i kilkadziesiąt metrów skalnego progu. Przed nami pole lodowe zryte odłamkami lodu i położone w długie rynny. Bacznie obserwujemy wiszące w górze nastrożone turnie lodowe. Minuty pełne nerwowej wspinaczki, dziesiątki, setki wyrąbywanych stopni. Byle dojść do widocznej wypukłości skalnej, tam będzie już bezpiecznie. Pierwszy z naszej czwórki przyłgnął już do jednostajnej szarości skał, ale trójka tkwi jeszcze w stromych „lustrach” lodowych. Nagle w górze rozlega się trzask i łoskot i oto olbrzymia turnia lodowa łamie się majestatycznie, jak na zwolnionym filmie, a potem obsuwa się w dół druzgocząc swe towarzyszki. Setki, tysiące ton lodu mkną na prawo od nas, a w dole na lodowcu piętrzy się i kotłuje, a wreszcie nieruchomieje potężny jezioro lawiny. Jak na początek drogi wcale nieźle...

Dalej jest trudno, jednak dzięki dobrej aklimatyzacji i solidnemu przygotowaniu posuwamy się względnie szybko w górę. Płyty, zalodzone rynny, kominki — w głowie się



Skalne trudności na ostrodze „Bałałajki” dorównują tatrzańskim „płatkom”.

Fot. Jerzy Warteresiewicz

kręci od zmieniających się ciągle formacji szarego granitu. Drogę po nie wiadomo której już długości liny zamyka dach przewieszek. Ostatnie metry długiego trawersu dzielą mnie od łatwiejszego terenu. Trudności podobne jak u nas w Tatrach na dobrej „piątce”. Wyciągam rękę do chwytu i... odłamuje się blok, który leci na stojących niżej kolegów. Odpycham go z całej siły, lecz gwałtowny ruch zrywa mi z ręki czekan. Drętwieję z przestachu: pozostają trzy czekany, a przecież właściwie trudności lodowo-śnieżne mamy dopiero przed sobą.

Godziny popołudniowe przynoszą jeszcze jedną niespodziankę: mi stąd ni zowąd zaczyna sypać śnieg. Tempo wyraźnie spada, mimo to jednak udaje nam się dotrzeć do upatrzonej platformy, nawiasem mówiąc jedynego wygodniejszego miejsca na całej ścianie. Na powierzchni dwa na dwa metry rozbijamy o 17 namiot i w diabelnej ciasnocie spędzamy noc. Rano dość późno, bo o 6.30, zwijamy biwak i niewyspani ruszamy dalej. Wspinamy się kilka godzin. Około południa, u początku pierwszego pola lodowego, łapie nas ponownie śnieżyca. W szczerym lodzie musimy szybko wyrwać platformę pod namiot. Po ciężkiej pracy, około godz. 15, rozpinamy go jakoś i kompletnie przemoczeni wczolgujemy się do tego zaimprovizowanego schronienia.

Sytuacja nie jest najlepsza. Śnieg sypie bez przerwy, zacieniając i tak małą przestrzeń naszego namiotu. Złogę dopełniają sunące niemal bez przerwy lawiny. Nadchodzi noc. Staramy się zasnąć na siedząco, podtrzymując plecami walące się pod naporem śniegu ścianki namiotu. Ranek nie przynosi oczekiwanej zmiany. Sytuacja zaczyna być groźna. Przeczekujemy cały dzień. Ponieważ żywności jest już mało, dokładnie wydzielamy każdy kawałek suchara i czekolady, żeby zachować jakąś rezerwę na dalsze dni. Nasza uwaga skupiona jest na jednym: czy wreszcie ustanie opad. Bezruch w ciasnocie namiotu między okrutnie. Na mym ramieniu

opiera się twarz Jurka. Świszczące jego urywany oddech. Znamy cykl tej gry płuc na dużej wysokości: dwa szybkie oddechy, potem jeden głęboki jak westchnienie, długi przerwa i znów głębokie zachłyśnięcie powietrzem. Jednostajny szum padającego śniegu od czasu do czasu przerywają grzmoty lawin spadających obok i przysięgających napięte płótno namiotu zwałami świeżego puchu. Od setek metrów głębi pod nami dzieli nas zaledwie parę centymetrów lodowego gzymsu na skraju półki. Jeżeli warunki nie zmienią się do rana, postanawiamy odwrót...

Ale oto późno w nocy oczekiwana zmiana nadchodzi. Cichnie wiatr, ustaje monotonne bębnienie śniegu o namiot, milkną huczące lawiny. Już o godzinie 1 rozpoczynamy przygotowania do dalszej drogi. Pierwsze kroki są przykre. Mięśnie zeszywniały, w głowie się kręci od kilkudziesięciogodzinnego bezruchu. Wspinamy się dalej. Tego dnia pogoda psuje się jednak ponownie już około godz. 13. Zrywa się zademka, bez przerwy schodzące lawiny pyłowe zasypują oczy, wilgotny śnieg wciska się w najmniejsze nieszczelności ubrań. Zmęczone ręce z trudem sobie radzą z rąbaniem stopni w twardym zielonkawym lodzie, nogi drżą ze zmęczenia na małych stopienkach. Zdobywamy się jeszcze na ostatni zryw i o godz. 17 pokonujemy końcową trudność drogi — barierę seraków, która przez cały czas wspinaczki strzeliła nas swą niedostępnością...

W podmuchach wścieklej mroźnej wichury stajemy na grani. Zmarznięte ręce długo zmagają się ze złodzionym, stwardniałym płótnem namiotu. Wreszcie udaje nam się go rozpiąć i wsunąć do środka. Noc jest ciężka, pełna utyskiwań na zimno, zmęczenie i przemoczone ubrania. Wstrząsają nami parokszymi dreszczy. Nadchodzi rano. Zalodzone buty rozgrzewamy nad maszynką butanową i wciągamy je na mokre skarpety. Śnieżną granią ruszamy w kierunku skalnego wierzchołka Miżirgi.

Eugeniusz Chrobak
(Fragment listu z Bezingi)

O nazwach Kaukazu

Dla taterników Kaukaz jest przede wszystkim terenem działalności górskiej. Wędruje się spekanymi lodowcami, wchodzi na przełęcze i na szczyty. Gdy odpoczywamy, wzrok nasz przenosi się na coraz dalsze pasma górskie, wyławia znajome sylwetki, sięga aż po niewyraźne ostatnie plany. Niezliczona ilość szczytów, przełęczy, dolin — niezliczona ilość nazw... Potem wracamy do kraju, ale w pamięci pozostają wspomnienia. Inaczej, kojarzące się z przeżyciami, urzekające

egzotyką, dziwną obcą wymową, osobliwym akcentem. Mamy je w notatkach, w mapach, przy zdjęciach, mamy w planach na przyszłość.

Pytamy często, co kryje się pod tajemniczymi zespołami dźwięków, jakie ludy nazywały góry i przełęcze, które nas obecnie tak żywo interesują? Po odpowiedź sięgamy do literatury, zazwyczaj tej łatwiej dostępnej, podróżniczej, popularnej. Nie są to źródła najlepsze. Autorzy, często z racji swych filo-

logicznych upodobań podają, co zasłyszeli lub odnaleźli w innych pracach. Czytamy więc, że Elbrus znaczy „piersi dziewczicy”, Uszba — „wiedźma”, a Amanauz — „zła paszcza”. Dombaj Ulgen ma się tłumaczyć „ubity żubr”, zaś Ullu Tau Czana — „wielka biała kraina”. Zdarza się, że informacje takie zawierają coś z prawdy, częściej jednak są fałszywe, przekształcone przez pośredników, niekiedy nawet wytworzone w fantazji samych pisarzy.

Szereg przyczyn składa się na to, że nazewnictwo Kaukazu jest nawet dla specjalisty tematem trudnym. Przede wszystkim brak jest monografii przedmiotu. Na mapach nazwy są naniesione bez troski o wierność ich brzmienia. Jeszcze większym zmianom ulegają one podczas kolejnych przerysów map, gdy w dodatku decyduje prawo przystosowania do „lokalnych” reguł pisowni. Tak właśnie utrwalają się obcojęzyczne wersje i wkradają błędne etymologie. Jeszcze większe trudności wiąże się z badaniem nazw *in situ*, bowiem nazewnictwo kształtowało się pod wpływem rozmaitych czynników etnicznych. Mapa etnograficzna Kaukazu to mozaika ludów i języków tak zróżnicowanych, że amator toponomastyki musiałby się orientować w słownictwie trzech rodzin językowych — kaukaskiej, altajskiej i indoeuropejskiej. Dochodzą dodatkowe trudności: gdzieś do r. 1957 nie można było w górnym biegu Baksanu uzyskać wywiadu z autentycznym Bałkarem, gdyż cała ludność Bałkarii została w r. 1945 przesiedlona na inne ziemie, z których w ostatnich latach częściowo powraca.

Bardzo pobieżny przegląd języków, które wpłynęły na nazewnictwo górskie Kaukazu zaczniemy od zachodu. Spotykamy tu nazwy pochodzenia adygejskiego a także starsze, abchaskie i ubychijskie, nieraz trudne do zetymologizowania. W centralnym Kaukazie zaczynają się pojawiać nazwy gruzińskie, częściej — swańskie: *Tetnuld*, *Leirag*, *Nienskryra*, *Ledeszt*, *Lalwal*, *Uszba*. Nazewnictwo swańskie obejmuje rejony przylegające od południa; granica wpływów przebiega tu główną granią Kaukazu z nieznaczną przewagą nazewnictwa bałkarskiego, napierającego od północy. Wspomniana już enklawa bałkarska w zwartym kręgu plemion kaukaskich zasługuje na baczniejszą uwagę. Koczownicy bałkarscy przywędrowali w dolinę Baksanu jeszcze w średniowieczu i pozostali tu, izolowani od głównych ruchów ludów tureckich. Słownictwo ich niewiele zmieniło się w czasie, i dzięki temu można nieźle radzić sobie wśród nich ze słownikiem tureckim. Bałkarskie są nazwy części zachodniego Kaukazu, doliny Baksanu, Adył- i Adyr-su, a także część nazw rejonu Bezingi. Oto kilka z nich: *Mingi-tau* (jedna z nazw Elbrusu), *Kiukiurtliu*, *Baszkara*, *Ułukara*, *Kogutaj*, *Tyrn(y)aus*, *Sarykoł*, *Andyrczi* (poprawnie — *Yndyrczy*),

Dych-tau, *Kulak*. W nazwach pochodzenia bałkarskiego częstymi członami są takie słowa, jak np. *tau* — szczyt (*Dych-tau*), *ausz* — przełęcz, *su* — rzeka, woda (*Adył-su*). *Ullu* znaczy wielki, *kara* — czarny, stąd *Ułukara* „Wielka Czarna (Góra)”.

Dalej na wschód występują nazwy pochodzenia kabardyjskiego (np. *Szchara*), osetyjskiego (np. *Uruch-Don*, *Adai Choch*, *Fastag*). Osetyjczycy są grupą równie ciekawą w tym miejscu, jak Bałkarowie. Osiedli od wieków w północnym Kaukazie i sięgali daleko w głąb gór narzucając im swe nazewnictwo. Ich język należy do indoirañskich. Zwraca uwagę, że właśnie ludy niekaukaskie — Bałkarowie i Osetyjczycy — penetrowały góry wyjątkowo aktywnie. Wynikało to z ich systemu ekonomicznego, opartego na hodowli i pasterstwie i koczownictwie. Gdy jalone stepy nie mogły zapewnić stadom wyżywienia, wówczas — głównie przy posuchach — trzeba było wędrować wyżej i szukać nowych pastwisk wysoko w górach.

W ostatnim półwieczu na całym obszarze pasma coraz liczniej pojawiają się nazwy pochodzenia rosyjskiego, naniesione głównie przez alpinistów. Wywodzą się one często od nazwisk sławnych ludzi (Szczyt Puszkina, Szczyt Szczurowskiego, Szczyt Hermogenowa), niekiedy wyrażają pewną treść polityczną, jak np. Szczyt Wolnej Hiszpanii. Spotykamy także skróty typu „Pik MNR” (Montgolskiej Narodnej Republiki), łączące się nierzadko z elementami pochodzenia bałkarskiego (*WIA-tau*). Połączenia tego rodzaju zachodziły także, jak się wydaje, między swańskimi i bałkarskimi elementami nazwy, np. *Czatyn-tau* (używane u Bałkarów). W ostatnich latach w nazewnictwo Kaukazu wnieśli swój drobny udział m. in. także Czeši („Pik Brno”) i Polacy („Pik Warszawa”). W miarę rozwoju alpinistycznej eksploracji pasma obserwujemy też inny proces, dobrze nam znany z Tatr czy z Alp: rozdrabniania się nazw o ogólniejszym zasięgu i powstawania całych łańcuchów w rodzaju Aksaut Główny, Aksaut Północny, Aksaut-Uziłowaja (zwornikowy), Aksaut Wschodni, Aksaut Mały itp.

Na zakończenie kilka słów o nazwach najwyższego szczytu Kaukazu. Jest ich kilkanaście — gruzińskie, swańskie, czerkieskie, bałkarskie i inne, trudne nieraz do zidentyfikowania. Najbardziej rozpowszechniła się nazwa arabska, przyjęta chyba ze względu na kształt wierzchołków tej góry: *Elbrus* — piersi. Gruzini używają pochodnej formy *Jalbuzi*, ludy czerkieskie — *Kuskamaf*. Nazwy Elbrusu łączą się z interesującymi legendami sięgającymi odległej starożytności i są głęboko wrosnięte w tradycję kulturalną Kaukazu, tradycję, w której góry odgrywają zawsze niepoślednią rolę.

Maciej Popko



Jerzy Mierzejewski. Do jego największych sukcesów w Tatrach należy udział w I. zimowym przejściu filara Mięguszwieckiego Szczytu (12–13 IV 1954. z ominięciem kopuły szczytowej).

Frezarka i Mięguszwiecki

„W 20-lecie Polski Ludowej, za wybitne zasługi w dziedzinie wynalazczości i postępu technicznego, Rada Państwa nadaje Jerzemu Mierzejewskiemu Order Budowniczych Polski Ludowej.”

Oglądam ten dyplom oprawny w skórę, leżący obok niego order, który jest najwyższym w naszym kraju wyróżnieniem, potem rzucam okiem na stos rodzinnych zdjęć, głównie z tatrzańskich szlaków i przypomina mi się nagle ów sierpniowy dzień sprzed piętnastu lat. Szczyt co chwila chował się w strzępach mgły, granitowe bloki odpychały wilgocią, my szczękaliśmy zębami — trochę z zimna, więcej chyba z emocji — zaś Jurek Mierzejewski spokojnie wyjmował linę z plecaka i taternickimi żarcikami rozbudzał w adeptach wspinaczkowej sztuki mocno upadłego ducha. Czeakała nas grań Kościelca — pierwsza w życiu wspinaczka. Niby nie groźnego, a jednak każdy z kursantów wpatrywał się w opanowane ruchy instruktora z jakąś wielką nadzieją, jego spokój zaczynał się udzielać i nam. Gdy pierwsza trójka ruszała z przełączki, nastrój był już znakomity.

Właściwie to trudno określić, która z tych pasji była pierwsza: sport czy technika? Obie one do dziś dominują w życiu mgra inż. Jerzego Mierzejewskiego. I nie będę daleki od prawdy, jeżeli powiem, że nie wyobraża on sobie życia bez taternictwa i obrabiarek. Czy między tymi dwiema pasjami zachodzi współzależność, czy sportowa żyłka miała

jakiś wpływ na nieprzeciętne osiągnięcia inż. Mierzejewskiego w dziedzinie techniczno-konstrukcyjnej? Właśnie bowiem w niej Jerzy Mierzejewski stał się rekordzistą światowego formatu. Jedną z jego nowatorskich konstrukcji do dziś nie znalazła w Europie godnego siebie przeciwnika. A przecież na warsztacie konstruktora są już nowe rozwiązania i, kto wie, może również dzięki nim w najbliższych latach światowe kroniki postępu technicznego zapiszą nowe rekordy polskiej myśli technicznej?

Dla wielu będą to zapewne jedynie suche formuły matematyczno-technicznych rozwiązań, jednak ludzie znający bliżej inż. Mierzejewskiego w każdym z jego osiągnięć wyzuwać będą smak sportowej rozgrywki. Choć i tak bowiem kierownik pracowni Centralnego Biura Konstrukcji Obrabiarek nie sięga już dziś po najwyższe taternickie sukcesy, z ducha i postawy pozostał sportowcem lubiąącym trudną walkę, wysiłek, ostrą konkurencję. I kto wie, czy ta właśnie sportowa postawa nie jest w sporcie czymś znacznie cenniejszym od mierzonych metrem i sekundą rekordów? Wyrabiając bowiem tę postawę w ludziach, sport awansuje do roli istotnego motoru postępu w dziedzinach jakże odległych boiskowym ramom zielonych stadionów. Sądzę, iż sukcesy inż. Mierzejewskiego są jednym, choć bynajmniej nie odosobnionym przykładem potwierdzającym tę tezę...

W technicznej nomenklaturze nazywa się to frezarka-kopiarka bezdotykowa. Za nią

właśnie inż. Mierzejewski uzyskał wraz z zespołem Nagrodę Państwową II stopnia i tytuł Mistrza Techniki „Życia Warszawy” w 1960 r. Trudno w kilku słowach oddać istotę działania tej jedynej do dziś w Europie konstrukcji. Dotychczas były w użyciu kopiarki-frezarki, pozwalające na kopiowanie przedmiotów na zasadzie przenoszenia sygnałów przez mechanicznego pilota dotykającego wzorca. Metoda ta wymagała niestety niezwykle twardych, odpornych na ucisk modeli. Kopiarka inż. Mierzejewskiego działa w wyniku sterowania elektronicznego, polegającego na przekazywaniu sygnałów na zasadzie pola elektrycznego powstającego między pilotem a modelem. Inną dziedzinę prac inż. Mierzejewskiego stanowi sterowanie programowe obrabiarek. Wraz z kolegami z działu studiów CBKO pracuje on nad sprawami automatyki — czyli w tym wypadku współpracy układów elektronicznych i mechanicznych — oraz systemem sterowania. Na taśmie perforowanej lub magnetofonowej zapisuje się „program” pracy dla obrabiarki i ta wykonuje niejako automatycznie często niezwykle pracochłonne czynności.

— Sterowanie obrabiarek to była gałąź zupełnie w Polsce nie znana — opowiada inż. Mierzejewski. — Uczyliśmy się na własnych błędach. Początkowo konstruowane przez nas urządzenia nie działały. Trzeba było, nieraz całymi tygodniami, szukać błędów. I szukaliśmy cierpliwie. To było tak, jak rozwiązanie problemu taternickiego. Na początek odważny zryw, a potem cierpliwe poszukiwania i ten nieustanny niepokój, który nie opuszcza konstruktora ani na moment. Chcesz się odebrać, lecz myśli krążą nieustannie wokół zaadanię technicznych, nurtujących człowieka niemal bez przerwy. Dziś mam już około dziesięciu konstrukcji obrabiarek i z piętnaście własnych patentów. Ale że ciągle pręży się stawia inne, wyższe wymagania, więc nieustannie szukamy nowych rozwiązań. Nie skończyłeś jeszcze jednej konstrukcji, a już żyjesz problematyką nową. I tylko w rzadkich chwilach wystaw czy międzynarodowych targów, gdy twoim rozwiązaniem zainteresuje się jakiś łachowicz, masz chwilę satysfakcji — krótką jak moment odpoczynku na szczycie po przejściu trudnej drogi — że jednak zrobiłeś coś dobrego. Ale oczywiście wiesz, że dziś z tą sumą wiedzy i doświadczeń, zrobiłbyś to z gruntu inaczej.

Takie życie wyczerpuje — mówi dalej inż. Mierzejewski. — Przed wszystkim psychicznie. Powiem więc szczerze, że ja osobiście nie wyobrażam sobie systematycznej pracy bez corocznych wypadów w góry. Wspinaczka, ciężki wysiłek fizyczny, stanowi dla mnie najwspanialsze odprężenie. I właściwie tak naprawdę dopiero na dworcu, gdy megałon zapowiada „pociąg do Zakopanego podstawa

się na tor..”, zrzucam z siebie to wszystko, czym żyję przez okrągły rok.

Jakie były początki tej pasji? Zaczęła się od roweru i żaglówki, ale że rodzice rokrocznie wyjeżdżali na urlop do Poronina, więc najpierw z ojcem wyruszyłem na Orlą Perć, a potem z bratem, Czesławem, spróbowałem wspinaczek. Chodziliśmy na „dziko”. Lecz kiedyś po zrobieniu północnej Mięgoszowieckiego zostawiliśmy w puszczy na szczycie nasze wizytówki. Znaleźli je potem Tadeusz Orłowski i Wawrzyniec Zuławski. Odszukali nas, i tak oto już przed wojną znaleźliśmy się w Klubie Wysokogórskim. W okresie okupacji kilkakrotnie wyskakiwaliśmy w góry. Zrobiłem wtedy trzecie przejście komina Drege’a, drugie północnej ściany Wołowej Turni (drogą Korosadowicza), trawers Zamarłej. Nie obyło się tu bez przygód, gdy trzeba było uciekać przed agentami gestapo z Morskiego Oka pod Wagę*. Potem przyszło powstanie i zaraz po nim, po wywołaniu Warszawy, wejście wraz z żoną, którą też zaatakował taternicki bakcył, na zrujnowany gmach „Prudentialu”.

A potem znów wypadu w Tatry, początkowo z hakami i linami własnej roboty, dalsze przejścia ulubionych dróg — kantu Mnicha, północnej Kozich Zębów, najróżniejszych wariantów na Zamarłej, wreszcie pierwsze wyprawy w Alpy. I tak rok po roku. To nic, że dziś trudno już myśleć o „auserach” i superwyczynach. Najważniejsze, że jest kondycja. Bądź co bądź pokonanie w ubiegłym roku wraz z żoną na Wildspitze w Alpach Oetztalskich dwóch tysięcy metrów różnicy poziomów w ciągu jednego dnia — to się też liczy!

Właściwie już niemal nie pamiętam, kiedy pięcioletniego wówczas Jacka po raz pierwszy wziąłem na Orlą Perć i pod Mnicha. Dziś chłopak ma 19 lat, studiuje na Wydziale Mechanicznym Politechniki, pasjonuje się obrabiarkami no i Tatrami — widocznie to już rodzinne — i ma za sobą z drugim moim synem, Henrykiem, takie drogi, jak Granaty wariantem Staszla, Zawratowa Turnia od figury Matki Boskiej, zachodnia i wschodnia ściana Kościelca...

Czy te dwie pasje — konstruktorską i sportową — sprowadzić można do wspólnego mianownika? Trudno to dokładnie sprecyzować, niemniej jedno jest pewne: ludzie, którzy pokochali sport, również i w pracy łatwiej znajdują wspólny język. Powiedziałbym nawet więcej — pasja sportowa staje

* W początku sierpnia 1943 w jednej z takich ucieczek uczestniczyli też Orłowski i Zuławski, którzy wykorzystali tę sposobność, by — o sacharynie i suchym chlebie — dokonać I całkowitego przejścia drogi Orłowskiego na Galerii Gankowej (6 VIII), przebytej dotąd w odcinkach. (Przyp. red.).

się czynnikiem łączącym, zespalającym grupę twórców. Zwłaszcza, że wyniesione ze sportu ambicje walki i współzawodnictwa rzutują na codzienną pracę zawodową. I to zupełnie wyraźnie. Dla człowieka, który ma w sobie żyłkę sportową istotnym jest ostateczny wynik. Do niego dążyć będzie wszelkimi siłami. Właśnie ze sporu wyniósł rzeczywiste, nie zaś papierowo-deklaratywne poczucie demokracji i szacunku dla każdej pracy. A że w pracy — zwłaszcza tej konstrukcyjnej bez rzutkości, szczególnie zaś uporu i cierpliwości, daleko nie zajedziesz — są-

dze, iż wszelkie dalsze komentarze są tu zbędne...

Przyznam szczerze, iż trudno się oprzeć trafności tych sformułowań. Gratulując więc raz jeszcze ich autorowi — Jerzemu Mierzejewskiemu — jednemu bodaj wśród aktywnych sportowców Budownicemu Polski Ludowej — najzaszczytniejszego w Polsce wyróżnienia, życzymy mu jednocześnie „stu lat” na konstrukcyjno-taternickim polu.

Krzysztof Blauth

„Dębinizm”

Poza Krakowem, Zakopanem i Cieplicami, posiadającymi w swoim bezpośrednim otoczeniu skalne tereny ćwiczebne, kilkanaście pozostałych środowisk taternickich dzielą od gór lub skałek dziesiątki lub setki kilometrów. Ażeby utrzymać się w odpowiedniej formie sportowej trzeba tam było szukać form zastępczych. Tak doszło do odkrycia

w Poznaniu bunkrów poniemieckich, w Trójmieście — urwistej falezy nadmorskiej, a w Szczecinie starych wież i mostów. W Warszawie natomiast zrodził się „dębinizm”. Kiedy i gdzie — nie wiadomo dokładnie. Tradycja niesie, że już w czasach międzywojennych (Adam Karpiński?). Największy rozkwit przechodził w latach 1958—62, głównie za sprawą studiującego na AWF Czesława Motyki. W pogodne niedziele trenowało wówczas na Bielanych po kilkanaście osób. Ostatnie lata przyniosły pewien regres „dębinizmu”, m. in. wskutek zastrzeżeń organów ochrony przyrody, dotyczących najłatwiej dla warszawiaków osiągalnego Lasku Bielańskiego; zastrzeżeń chyba zbyt licznych, gdyż zbyt wybrednym drzewom nie działa się żadna krzywda, a używanie do wspinania „haków i raków”, o czym kiedyś napisano w „Świecie”, nigdy tutaj nie miało miejsca.

Obecnie więc trenujemy przede wszystkim poza miastem. Wbrew przyjętej nazwie obiektami treningu mogą być nie tylko dęby, ale także inne gatunki drzew, jak lipy, sosny, brzozy itp. Wystarczającym warunkiem jest dostateczne porzeźbienie kory oraz duży obwód pnia na znacznej wysokości. Wspinaczka odbywa się z reguły na odcinkach sięgających do pierwszych konarów, wyżej kora ma mniej zróżnicowaną fakturę, skąpsze



Wspinaczka z asekuracją z konara.

Fot. Józef Nyka

chwyt i stopnie, zmniejsza się też grubość drzewa a gałęzie ułatwiają pokonywanie trudności. Ewolucje do wysokości 4—5 metrów odbywają się bez ubezpieczenia, aseku-racja stosowana jest przy trudniejszych i dłuższych drogach, przy czym linę przetrzuca się przez dogodnie usytuowany konar w górze ponad wspinającym się.

W treningach używamy obu sposobów pokonywania ścian skalnych: wspinaczki klasycznej i podciągu. Klasyczne pokonywanie trudności w zasadzie nie odbiega od normalnej techniki stosowanej w górach, z tą różnicą, że uboższy jest repertuar formacji, z jakimi mamy do czynienia. Najczęściej wspina się po pnii, który zastępuje ścianki i przewieszki. Wykorzystując dwa drzewa rosnące blisko siebie stwarzamy imitację komina zapierackowego. Wąskie kominki i rysy — niekiedy bardzo interesujące — znaleźć można w wypróchniałych pniach dębów. Specyfiką wspinaczki po drzewach jest inny niż w skale układ chwytów i stopni. Dla rąk ma się w dużej przewadze boczne punkty zaczepienia, natomiast oparcie dla stóp stanowi często tylko siła tarcia. Oczywistym wynikiem tego jest bardziej siłowy charakter wspinaczki, także i z tego powodu, że pokonywane odcinki są z reguły pionowe lub przewieszane. Nader skąpa rzeźba pozioma zmusza do stałej uwagi w dobieraniu chwytów i stopni i wykorzystywania wszelkich możliwości, jakie się nadarzają, do wypo-czynku, gdyż mimo niewielkiej długości (do 7 m) „drogi” dębowe są raczej męczące.

Trening w podciągu jest bardziej skomplikowany i wyraźniej odbiega od stosowanego w skale. Wyzyskujemy do niego wysokie i o ile możliwości krzywe sosny o niezbyt dużej średnicy pnia, także poziome sztywne konary drzew liściastych. Odpada przy tym problem lokowania haków, w skale stanowiący o głównych trudnościach przejścia. Zamiast tego używamy pętli owijanych dookoła pnia (lub gałęzi), w które wpinamy karabinki. Dalsze czynności są identyczne jak w normalnej skalnej „hakówce”. Szczególne zalety treningowe ma chodzenie po poziomych konarach, które przy przyjęciu pewnych ograniczeń (nie wolno się chwytąć drzewa rękoma) daje warunki zbliżone do wspinania się w przewieszkach o dużym wysięgu i kącie odchylenia od pionu, często o charakterze „dachów”. Z drzew schodzi się przeważnie przy pomocy zjazdu na linie.

Głównych walorów „dębinizmu” nie należy jednak upatrywać w samym tylko wspinaniu — klasycznym czy podciągowym. Nieodłącznym składnikiem każdorazowego wypadu



Cwiczenie zapierania między dwoma drzewami.

Fot. Józef Nyka

na dęby jest trening kondycyjny oraz zręcznościowy. Ułożony swego czasu program 2-godzinne treningu przewidywał następujące fazy: 1. krótkie przebieżki 100—200 m przeplatane gimnastyką; 2. marszobiegi 1,5—2 km oraz biegi interwałowe 5×50 m i 5×100 m na zmianę szybko i wolno; 3. gimnastyka rozluźniająca; 4. tzw. elementy wspinaczki na wyszukanych obiektach z powtarzaniem ćwiczeń w rodzaju wejścia po ściance bez użycia nóg, zapierania, pokonywania rysy itp.; 5. trening wspinaczkowy.

Reasumując. Trening normalny — ze wspinaczką klasyczną — przyczynia się do wzmocnienia tych grup mięśni, które są najbardziej zaangażowane przy pokonywaniu dróg trudnych, podnosi też siłę dłoni a zwłaszcza palców. Jednocześnie polepsza kondycję i, co wydaje się bardzo istotne, rozwija ogólną sprawność, której wielu taternikom nie uprawiającym sportów uzupełniających tak często brakuje. Ćwiczenia w podciągu świetnie rozwijają umiejętność posługiwania się skomplikowanym sprzętem i pozwalają na wyuczenie wielu elementów „hakówki”, jak np. zmiana prowadzenia w przewieszce, zakładanie stanowiska itp. Wspinanie po drzewach jest niewątpliwie pożytecznym, tanim i przyjemnym sposobem przygotowania się do sezonu. Drzewom — powtórzmy — nie dzieje się nic złego, nie muszą to być przy tym koniecznie szacowane pomniki przyrody. Pakujmy więc do torby dres, trampki, kawałek liny i wyruszajmy do najbliższego lasu lub ogrodu pod hasłem: „trenować przed Cima Grande można wszędzie!”.

Andrzej Paczkowski

Śnieżna – najgłębsza jaskinia Polski

31 sierpnia 1961 r. trzyosobowa grupa szturmowa Speleoklubu Warszawskiego dotarła w Jaskini Śnieżnej w Tatrach do rekordowej głębokości 640 metrów. Był to wynik dający polskiej jaskini wysoką, 6 wówczas lokatę wśród najgłębszych jaskiń świata. Sukces był tym większy, że przed odkryciem Śnieżnej najgłębszą znaną w Polsce jaskinią była przez wiele lat Miętusia, której skromne — 200 m nie liczyło się zupełnie na speleologicznej „głędzie”. Niektórzy uważali, że w Tatrach odkrywanie większych jaskiń zostało wyczerpane. Trzykrotnie lepszy wynik, —640 m w Śnieżnej, był więc dużym zaskoczeniem.

Czym w alpinizmie powierzchniowym jest osiągnięcie dziewiczego szczytu, tym w alpinizmie podziemnym jest zejście do najniższego punktu nieznannej jaskini. Jest to upraszczanie, ale na pewno są tu duże analogie. Nie sposób ustalić hierarchii wzajemnej ważności i rangi wypraw wysokogórskich i podziemnych. Mimo podobieństwa sprzętu wspinaczkowego, podobnych zasad asekuracji, podobnej organizacji, występują zasadnicze różnice w specyfice warunków poruszania się na powierzchni i pod ziemią. Nie można odpowiedzieć, choć pytanie jest bardzo kuszące, jaki wynik alpinizmu powierzchniowego odpowiada osiągnięciu w jaskini 6 czy 7 głębokości na świecie. W każdym razie w kręgach speleologicznych —640 m Śnieżnej jest rezultatem na poziomie światowym. Po uwzględnieniu ostatnich odkryć zajmuje ona 8 lokatę na światowej liście, ustępując tylko kilku jaskiniom Francji i Włoch, a więc krajów o najbogatszych tradycjach speleologicznych. Tak więc, wśród państw posiadających najgłębsze jaskinie, Polska zajmuje zaszczytne 3 miejsce.

Zakopiańskie niedziele

Otwór jaskini, położony na wysokości ok. 1720 m w górnej części Doliny Małej Łąki, w zboczach Małołączniaka w masywie Czerwonych Wierchów, znany był od dawna Góralom, pasącym owce na hali. Właśnie na podstawie informacji uzyskanej od Budzów-Mrozików znajdują go speleolodzy. Odkrycia dokonuje 7 lipca 1959 r. speleolog zakopiański, Bronisław Nowina-Noiszewski, przybyły do Małej Łąki w towarzystwie K. Wróbla. Wejście zawałone było śniegiem, tylko z małej szczeliny przy skale silnie wiało zimne powietrze.

W najbliższą niedzielę, 12 lipca, Nowina-Noiszewski jest znów przy otworze, tym razem w towarzystwie Józefa Frączka. Rozpoczyna się przerabianie wejścia do jaskini. Frączek, asekurowany z otworu, rąbie młotkiem sfirnowany śnieg wisząc głową w dół rozkopuje butami. 19 lipca, po tygodniu, Frączek jeszcze kuje przejście. Duży stromy śnieżny korytarz doprowadza po kilkudziesięciu metrach nad lodospad. Poniżej widoczna jest duża sala. 26 lipca zakopiańczy schodzą poniżej lodospadu i zatrzymują się nad Wielką Studnią. Pomiary wykażą, że liczy ona 70 m głębokości. Nad studnią wiszą zaklinowany olbrzymi kamień. Trzeba go usunąć przed założeniem zjazdu. 31 lipca rozpoczyna się usuwanie. Roboty nad rozkuwaniem upartego zawałidrogi przeciągną się — dopiero 30 sierpnia nadkuty kamień udaje się podważyć i zrzucić do studni.

Droga do studni wolna. Na zainstalowanym wyciągu konstrukcji Frączka, zostaje opuszczony na głębokość 136 m Edward Siemieradzki. Z jego relacji wynika, że studnia jest „zamurowana”, że dalej nie ma przejścia. Frączek nie dowierza. Zjeżdża sprawdzić i znajduje ciasne przejście do niższej części jaskini. 13 września 1959 r. ekspedycja Śnieżnej posuwa się do głębokości 180 m. Pod studnią znajduje się ciasny 10-metrowy kominiek i duży b. stromy, miejscami przewieszony próg (później nazwany Pierwszym Pływowym Progiem), kończący się w olbrzymiej sali bez widocznego stropu (późniejsza nazwa: Sala Trójkątna). 27 września Frączek Nowina-Noiszewski i Władysław Palider zjeżdżają z II Pływowego Progu i dochodzą do głównego wodnego ciągu jaskini. Głębokość 280 m. Jaskinia zapowiada się rewelacyjnie, ale brakuje już sprzętu, a zwłaszcza drabinek. 8 listopada Frączek i Palider schodzą jeszcze niżej, bo do głębokości ok. 350 m. Sceptycy nie chcą wierzyć. 15 listopada retransport sprzętu na powierzchnię. Na Czerwonych Wierchach leży już wtedy śnieg.

Sensacja września — minus 620 m

Wspólna wyprawa Zakopiańskiego Koła Jaskinioznawczego i Speleoklubu Warszawskiego PTTK osiąga w sierpniu 1960 głębokość 440 m. Grupę szturmową tworzą kierownicy wyprawy: Frączek i Janusz Onyszkiewicz, uczestnikami są: J. Bieniaszewski, J. Ekel, J. Iwanicki, T. Janasz, A. Kaczanowski, P. Łepkowski, W. Palider, M. Pulina, J. Rudnicki,

J. Rzepecki, H. Sobol, L. Sokołowski, B. Sołińska, W. Szumańska, W. Szlenk, B. Uchmański, E. Winiarski i K. Zdzitowiecki. Sierpniowa wyprawa nie przynosi rozstrzygnięcia. Braknie drabin i lin, Śnieżna ciągnie się dalej w głąb masywu Czerwonych Wierchów.

Ustalono, że kolejna wyprawa odbędzie się we wrześniu. Przypomnijmy, że były to pierwsze w Polsce wyprawy jaskiniowe na tak znaczne głębokości; zdobywaliśmy doświadczenia. Wprawę przygotowano i zorganizowano bardzo starannie. Zgromadzono 700 m lin do zjazdów, asekuracji i poręczowania, zmobilizowano 150 m drabinek i, oczywiście, normalny sprzęt taternicki — karabinki, haki, wyposażenie biwakowe, także telefony i sprzęt wodny.

W warszawsko-zakopiańskiej wyprawie „wrzesień 1960” uczestniczyli ze Speleoklubu Warszawskiego: E. Abgarowicz, D. Grodzicka, W. Szumańska, J. Bieniaszewski, J. Grodzicki, A. Kaczanowski, A. Kühn, A. Lach, J. Onyszkiewicz (kierownik), J. Rudnicki, St. Rudowski, B. Uchmański i K. Zdzitowiecki; z Zakopanego: J. Frączek i W. Palider; z Wrocławia: M. Pulina i P. Wojciechowski. Pomagali przy wyprawie: J. Dudek, L. Sokołowski i K. Zubeł z Zakopanego.

10 września — zbiórka uczestników w Zakopanem u „Taty”, Edwarda Winiarskiego, a następnie transport sprzętu i żywności (pół tony) na polanę Mała Łąka. Jednocześnie poręczowanie początkowego odcinka jaskini. 11 września — rozbicie 2 namiotów bazy wysuniętej przy otworze jaskini i transport do otworu. Linie telefoniczną do Biwaku na głębokości 280 m założono już na poprzedniej wyprawie. Pośrednie aparaty zainstalowano przy wyciągu nad Wielką Studnią i w Trójkątnej Sali. 12 września — zmontowanie nad Wielką Studnią wyciągu, transport sprzętu i żywności do dna Wielkiej Studni. Onyszkiewicz i Rudowski zakładają zjazdówki, poręczówki i drabinki na Płytowych Progach — do Biwaku. 13 września — transport do Biwaku i zakończenie przygotowań przedszturmowych.

14 września późnym popołudniem schodzi do jaskini 3-osobowa grupa szturmowa i 2-osobowa pomiarowa. Znosimy spiwory i resztę wyposażenia. Wieczorem osiągamy biwak — 280 m, urządzony na platformie z głazów, wiszącej 10 m nad dnem szczelinowego korytarza. Temperatura jaskini, która we wstępnej części wynosi ok. 0°, tu jest nieco wyższa — ok. 2°.

15 września o godz. 11 wyrusza z biwaku grupa szturmowa w składzie: Janusz Onyszkiewicz, Bernard Uchmański i Krzysztof Zdzitowiecki. W pół godziny później wychodzi grupa pomiarowa — Witosława Szumańska i Jerzy Grodzicki. Będą oni sporządzać plan jaskini posuwając się za nami. Grupa szturmowa porusza się początkowo dnem wysokiego szczelinowego korytarza wzdłuż biegu

potoku. Zjeżdżamy za przeszło 20-metrowego progu pierwszego wodospadu. Dalsze prożki, zjazdy, zaciski, zwężenia korytarza — b. uciążliwe przy transportowaniu worków. Teraz korkociąg — ciasny, meandrujący, suchy korytarz — i znów idziemy razem z potokiem. Z przodu słychać szum kaskady. II Wodospad, to nadzwyczaj trudna wspinaczka w zejściu. Lina asekuracyjna biegnie skośnie, poręczówka niekorzystnie wyważa. Ostrożnie schodzimy i spuszczaamy worki. Po kilkunastu metrach następny, III Wodospad. To już głębokość 440 m. Do tego miejsca doszedł poprzedni szturm. Stąd zaczyna się *terra incognita*.

Mały odpoczynek. Gotujemy herbatę. Jest godz. 16.

Przez okno skalne nad wodospadem Janusz ogląda beczkowatą salę. Na jej dnie — spore jeziorko. Czy to już syfon kończący jaskinię? Wydłużają się nam miny. Wychyłam się przez „okno”. Mam lepsze światło, właśnie założyłem do czołówki świeżą baterię. Świecę po dnie salki — za jeziorkiem widać kamienisty brzeg, więc zjeżdżamy. Szybko zawieszamy ubezpieczenia. Zjazdówka wisi akurat w wodospadzie. Janusz mimo gimnastycznych tańców wokół strugi spadającej wody ładuje mocno przemoczony. Za chwilę wszyscy trzej jesteśmy obok jeziorka. Dalej otwiera się wielki korytarz biegnący progiem w dół. Skala krucha. Schodzimy, dla bezpieczeństwa, pojedynczo. Spotykamy się pod progiem — i dalej. Janusz skręca w prawo suchym korytarzykiem, ja idę razem z wodą. Spotkanie nad kolejnym uskokiem. Poręczówka, i znowu dalej. Teraz marmity. Duży pochyły korytarz pełen skalnych kotłów tworzących ciąg kaskad. Jest pięknie. Przechodzę z krawędzi na krawędź nad okrągłymi marmitowymi jeziorkami. Zakręć. Zatrzymuję się, czekam na kolegów. Mamy głębokość 500 m — po raz pierwszy w Polsce. Pół kilometra pod ziemią. Mało dotąd poznano głębszych jaskiń na świecie! Cieszymy się. Uściski.

Przed nami, w rozszerzeniu szczelinowego korytarza wisi nad potokiem monstrualny głaz. Kiedv przechodzimy pod nim, odruchowo ścisamy głos, choć potok huczy jak młyn. Drogę zagrażdza spore i głębokie jeziorko. Wyciągamy z worka gumowe portki i Krzysztof ubrany w nie przenosi nas na drugi brzeg. Z tyłu słychać wołania. To zgodnie z telefoniczną zapowiedzią doganiają nas Frączek i Palider. Będziemy teraz działali wspólnie. Mijamy sporą salę wyścieloną wyschniętym błotem i znów wodospad — już czwarty. Aby zjazd odbył się sucho, Władek wbija hak na płycie z boku. Cała piątka zjeżdża zostawiając zawieszone ubezpieczenia. Trawersujemy nad paroma jeziorkami i schodzimy błotnistym korytarzem. Przed nami narasta coraz bliższy huk wodospadu. Łoskot jest silniejszy niż na wszystkich mija-

nych dotychczas kaskadach. Błotnisty korytarz urywa się gwałtownie. Stoimy nad czarną przepaścią nowej studni. Jesteśmy zaskoczeni i uradowani pod warstewką zmęczenia. To kolos nie jaskinia! Na głębokości 550 m studnia. Sondujemy — minus 40 metrów. Asekurujemy zjeżdżających Palidera i Onyszkiewicza. Krzyczą z dołu, że dalej obniża się wielki korzytarz. Nie ma ich z półtorej godziny. Czekamy pełni napięcia. Wracają osiągnąwszy 620 m głębokości. Jest to wynik przechodzący nasze najśmielsze oczekiwania; znano wówczas tylko 3 na świecie jaskinie schodzące poniżej tej granicy.

Znowu braknie lin żeby zaporęczować dalsze zejście. Jest godz. 22.30, czas wracać. Władek i Janusz wychodzą po drabinkach, asekurowani od góry. Zwijamy ubezpieczenia z progą i koło północy rozpoczynamy wspólny odwrót. Jesteśmy przemoczeni i zabłocone ale radośni. Wszystkie trudności drogi — wodospady, uskoki — pokonujemy teraz pod górę. Wspinaczka miejscami w skali nadzwyczaj trudnej. Zabłocone, śliskie pętli

ny, drabinki, poręczówki, przewieszone prożki, worki ze sprzętem ciężkie jak z ołowiu. O 7 rano następnego dnia dochodzimy do biwaku. Łyk gorącej herbaty i do śpiworów.

Po odpoczynku na powierzchnię wychodzą wszyscy, prócz Onyszkiewicza i Uchmańskiego, a wieczorem przybywają nowe siły: A. Kühn, M. Pulina i J. Rudnicki. 17 września Rudnicki i Uchmański schodzą znów do 40-metrowego Progu i wracając do góry sporządzają plan i niwelację jaskini. Pozostała trójka ciągnie pomiar w dół. Spotykamy się pod III Wodospadem. Jeszcze pomiary mikroklimatyczne (Pulina) i dokumentacja fotograficzna. Wycofując się na Biwak zwijamy i wynosimy wszystkie liny i drabinki porozwieszane na progach. Dni 18—19 września zajmuje najniewdzięczniejsza część wyprawy — retransport. Cały sprzęt, mokre zabłocone liny, drabinki, śpiwory, kuchenki, wszystko trzeba wynieść do otworu.

Po sześciu dniach pod ziemią wychodzę na powierzchnię. Noc jest jakby przedłużeniem jaskini. Schodzimy do szałasów na polanie. Na progach doliny nasze światła miesza się z gwiazdami.

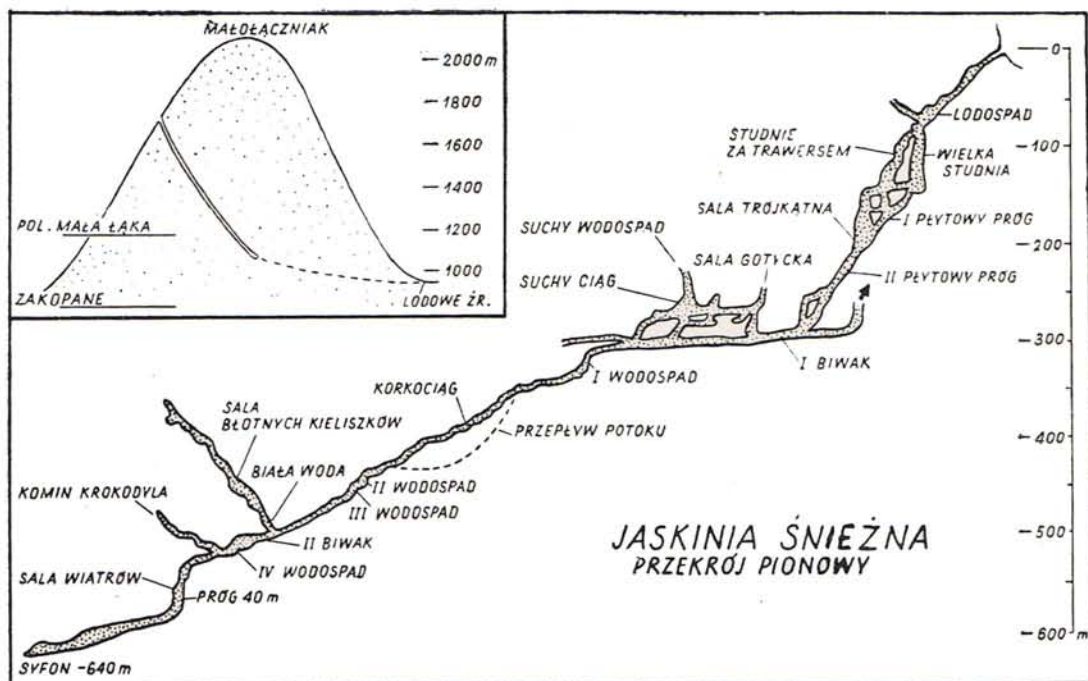
Wielka wyprawa na dno

W okresie od 16 sierpnia do 15 września 1961 r. odbyła się następna wyprawa do Jaskini Śnieżnej, tym razem z udziałem gości zagranicznych. Była to największa z wypraw w historii polskiego alpinizmu podziemnego i jedno z największych tego rodzaju przedsięwzięć na świecie. Organizatorem była Komisja Speleologii ZG PTTK. Trzon wyprawy stanowili członkowie Speleoklubu Warszawskiego, ponadto uczestniczyło w niej po kilku grotolazów ze Śląska, Wrocławia i Zakopanego. Gośćmi wyprawy byli: Anthony O'Flaherty (Anglia), Vladimir Božić (Jugosławia), Árpád Csekő, Magyari Gábor, Balázs Dénes (Węgry) oraz Paulo Baldieri, Emilio Bochichio i Giorgio Marzolla (Włochy). Ogółem w działaniach uczestniczyło przeszło 50 osób. Kierownictwo sprawowali: Stefan Zwoliński, obchodzący właśnie 40-lecie badania jaskiń, i Janusz Onyszkiewicz. Głównym celem wyprawy było osiągnięcie dna jaskini. Wyprawa została wyposażona m. in. w 800 m lin, ok. 200 m drabinek, wyciągarkę ze stalową linką, akumulatorowe górnicze lampy czołowe, telefony i 5 km kabla, radiostację, śpiwory, namioty; po raz pierwszy zostały użyte na szerszą skalę gumowe wodoszczelne kombinezony, które okazały się b. przydatne ze względu na wysoki poziom wody w potoku w jaskini. Ogółem waga całego sprzętu i żywności wyniosła ok. 1 tony.

Wyprawa działała w oparciu o następujące punkty: 1) Baza na polanie Mała Łąka (1180 m) w szałasach pasterskich Budzów-Mrozików i w miasteczku namiotów — tele-

Schodzenie po drabinkach w głąb 70-metrowej studni. Fot. Bernard Uchmański





fon do jaskini, połączenie krótkofalowe z Zakopanem. 2) Baza wysunięta (1720 m) przy otworze jaskini — namioty, telefon. 3) Wyciąg nad Wielką Studnią (—60 m), telefon. 4) Dno Wielkiej Studni, telefon. 5) Pierwszy Biwak w jaskini (—280 m), telefon. 6) Drugi Biwak (—520 m), telefon; stąd miał się odbyć szturm na dno.

16—20 sierpnia 1961. Transport z Zakopanego, urządzenie obu baz, założenie 3 km linii telefonicznej do otworu. 21—23 sierpnia wydobyć z Jaskini Ptasiej w Czerwonych Wierchach pozostawione tam na głębokości 160 m wyciągu. 24 sierpnia zainstalowanie wyciągu nad Wielką Studnią w Śnieżnej. Czyszczenie z ruchomych kamieni Płytowych Progów i założenie ubezpieczeń do I Biwaku (B. Solińska, M. Spaleny, B. Uchmański). Założenie ubezpieczeń i linii telefonicznej do II Biwaku (J. Iwanicki, J. Onyszkiewicz, A. Zajączkowski, K. Zdzitowiecki).

31 sierpnia o godz. 14 wyrusza z II Biwaku grupa szturmowa: Onyszkiewicz, Uchmański i Zdzitowiecki. Zjeżdżamy z IV Wodospadu. Błotnistym korytarzem dochodzimy nad 40-metrowy Próg. Pieczolowicie zawieszamy drabinki i zjazdówki. Haki dość słabe, wszystkie szczeliny przykryte warstwą błota (w okresie powodzi dolna część jaskini do poziomu ok. — 500 m wypełnia się całkowicie wodą). Dla większego bezpieczeństwa dodatkową linę zaczepiamy o dość odległy blok.

Szumańska i Zajączkowski ubezpieczają od góry nasz zjazd. Zostają oni nad progiem dyżurując aż do naszego powrotu. Grupa szturmowa zjechawszy do Sali Wiatrów (wiatr jest wytwarzany przez spadający z wysokiej wodospad) schodzi dalej szczelinowym korytarzem do dużego zawaliska. Pokonujemy po drodze m. in. rozszerzenie szczeliny nad jeziorkiem — wspinąć się trzeba szerokim zapieraniem między ścianami korytarza ponad wodospadem i jeziorkiem.

Onyszkiewicz znajduje przejście przez zawalisko górną jego częścią. Wspinamy się przez pionowy zacisk. Jest tak ciasno, że trzeba opróżnić kieszenie i zdjąć helm z lampą. Przez oryginalne salki, zaciski i tzw. Zabi Korytarz przedostajemy się na drugą stronę zawaliska. Krótki zjazd i stajemy znowu na dnie głównego korytarza z potokiem. Idziemy z prądem wody. Mały próżek, zwężenie. Brodząc w wodzie, przeciskamy się między ciasno zwartymi ścianami. Robi się luźniej. Widać wyraźnie, że potok płynie wolniej. Lekki zakręt w prawo i jednocześnie rozszerzenie korytarza w parometrowej szerokości salkę. Jeziorko. Nie, to syfon. Woda dochodzi do samego stropu. Dalej nie pójdziemy. Jesteśmy na dnie. Miejsce, które podczas tyłu wypraw było nieosiągalne, o którym ciągle myśleliśmy, i którego obraz — u każdego inny — nosiliśmy w swojej wyobraźni. Trochę szkoda, że już... Stoimy w milczeniu. Między butami powoli przepływa

woda, skały odbijają się w niej w świetle lamp. Jest cicho, nie słychać szumu i bulgotu, który towarzyszył nam do tej pory. Brodzimy w jeziorze, sondujemy. Dno zamulone, im dalej od brzegu tym głębiej i strop coraz niższy, bliższy wody.

Głębokość 640 metrów. Zamyka się pewien okres w historii jaskini. Czujemy się jak byśmy weszli jako pierwsi na szczyt wielkiej góry

Po przekazaniu telefonicznie wiadomości o pomyślnym zakończeniu zejścia na dno, mogła wyruszyć do akcji grupa odwodowa, przebywająca tymczasem na I Biwaku. Rudnicki i Spaleny, posuwając się w górę potoku odkrywają system olbrzymich kominów biegnących w górę. Nie są w stanie oświetlić ich w całości silnymi czołówkami. Ważne odkrycie, ale to problem na później. Rudnicki barwi potok jaskiniowy 10 kg barwnika organicznego (fluoresceiny). Dopiero po 7 dniach zabarwiona na zielono woda zaczyna wypływać w Lodowym Źródle w Dolinie Kościeliskiej, w odległości 4 km od jaskini. Zostaje w ten sposób rozwiązany jeden z ważnych tatrzańskich problemów hydrogeologicznych — sposób podziemnego odwodnienia masywu Czerwonych Wierchów, a częściowo i zagadka pochodzenia Lodowego Źródła. Zielona woda w źródle i w Potoku Kościeliskim wzbudza dużą sensację wśród turystów i Górali.

1 września Uchmański i Zajączkowski odkrywają na głębokości 540 m, w odgałęzieniu głównego ciągu, ok. 100 m nowych korytarzy (Galeria Urszuli i Komin Krokodyla — nazwa od oryginalnego występu skalnego). Grupy z obu biwaków wychodzą na powierzchnię. 2—4 września eksploracja w rejonie otworu wejściowego. 4 — 6 IX Włosi i Anglik w towarzystwie Szumańskiej i Onyszkiewicz schodzą do dna jaskini. II zejście! 6—10 września działa w jaskini grupa naukowo-pomiarowa. Grodzicki, Spaleny i Uchmański schodzą do dna (III zejście) i stąd rozpoczynają sporządzanie planu i niwelacji. Solińska i Pulina mierzą tymczasem inny odcinek. Przeprowadzane są obserwacje geologiczne i hydrologiczne, pobierane próbki. Pulina kontynuuje badania mikroklimatyczne: temperatury (na głębokości 500 m jest 3,2°), wilgotności, cyrkulacji powietrza i inne. Solińska i Uchmański wykorzystują kilkugodzinną przerwę w pomiarach na zbadanie stromego bocznego korytarza do wysokości 150 m (od poziomu —500 m), nazwanego Korytarzem Białej Wody.

Marzec 1963 — lekka wyprawa

Wiosną 1962 r. krakowska Sekcja Taternictwa Jaskiniowego zorganizowała wyprawę nie mającą charakteru eksploracyjnego, która przy dużym stanie wody w potoku w ja-

skini zeszła do głębokości ok. 430 m, skąd nastąpił odwrót.

W dniach 16—18 marca 1963 r. odbyła się krótka zimowa wyprawa Spieleoklubu Warszawskiego. Trwała ona tylko 2 doby i liczyła zaledwie 4 uczestników (J. Bednarek, J. Onyszkiewicz, A. Sapielak i B. Uchmański). Jej celem było dotarcie do dna jaskini i sprawdzenie, jak zachowuje się w zimie zwierciadło wody w końcowym jeziorze-syfonie. Przypuszczaliśmy, że po 4-miesięcznym okresie silnych mrozów poziom wody obniży się i powstaną szanse przejścia przez otwarty syfon do jeszcze głębszej części jaskini. Wyprawę zorganizowaliśmy na sposób alpejskich zespołów wspinaczkowych, odchodząc od dotychczasowej tradycji wypraw ciężkich. Dwójka szturmowa (Onyszkiewicz i Uchmański) będąc całkowicie zdana na własne siły zeszła do dna jaskini i wróciła na powierzchnię *non stop*, bez biwaku, zakładając a następnie zdejmując po drodze wszystkie ubezpieczenia. Dwójka wspierająca czekała na nas na Biwaku I (—280 m).

Kiedy znaleźliśmy się na dnie (—640 m) okazało się, że poziom wody jest tylko niewiele niższy niż latem. Udało się wejść w jezioro na odległość ok. 7 m (mieliśmy wodoszczelne kombinezony) i osiągnąć wąski korytarzyk za grzebieniem skalnym. Korytarzyk kończył się jednak po paru metrach syfonem. Mrozy nie wywarły więc wpływu na poziom wody i nie otworzyły dalszych możliwości eksploracji Snieżnej w głąb.

Tej samej zimy odbyły się dwie wyprawy zakopiańskie do Snieżnej. W lutym grupa „dołowa” zjechała z 40-metrowego Progu i posunęła się poniżej Sali Wiatrów, nie docierając jednak do dna jaskini. Grupa J. Frączka odkryła tymczasem ok. 150 m nowego korytarza w rejonie I Wodospadu. W końcu marca, podczas drugiej zakopiańskiej wyprawy, osiągnięto poziom —640 i przeprowadzono nieudaną próbę przebycia syfonu przy pomocy nurkowania.

Snieżna rozbudowuje się wszęsz

W dniach 16—24 lipca 1963 odbyła się kolejna wyprawa odkrywca Spieleoklubu Warszawskiego, mająca za zadanie zbadanie licznych odgałęzień głównego ciągu Snieżnej. Akcje znowu odbywały się na modłę alpejską — na lekko i bez podziemnych biwaków. Grupy liczyły 4—6 osób i wyruszały z bazy na polanie Małej Łące na kilkunastogodzinne (wyjątkowo 24 godzinny) wypad. Gośćmi wyprawy byli Węgrzy Mihály Horwath i József Frecska. Kierownikiem — B. Uchmański.

Dni 16—17 lipca zajęły przygotowania. 18 lipca — pierwsza akcja odkrywca. Zaknięcie „pięści” Suchy Ciąg — zawalisko (głębokość ok. 300 m), uczestnicy: Bednarek, Sapielak, Starek, Uchmański. 21 lipca — druga akcja odkrywca na głębokości

ok. 370—430 m, w rejonie Korkociągu i II Wodospadu. Rozwiązanie problemu przepływu potoku jaskiniowego na tym odcinku. Potok omija tu znaną uprzednio suchą partię jaskini osobnym systemem korytarzy. W tym wodnym ciągu b. trudna wspinaczka pod prąd wody (Starek i Uchmański oraz Bednarek i Łopusiewicz jako dwójka wspierająca). Tymczasem inna grupa (Kaczanowski i dwaj Węgrzy oraz Plewako, Sapielak i Wysokiński) przeprowadza dalsze odkrycia w systemie Suchego Ciągu, w tzw. Węgierskim Labiryncie (trzecia akcja).

Warto dodać, że wyprawę naszą poprzedziła krakowska wyprawa STJ (początek lata 1963), która osiągnęła głębokość przeszło 600 m. Kierownikiem był Ryszard Rodziński. W lipcu 1963 — równoległe z nami — zeszła do jaskini grupa częstochowska, która osiągnęła poziom —440 m.

Dalszą eksplorację Śnieżnej przeprowadził Speleoklub Warszawski w sierpniu 1963 w ramach jaskiniowego obozu poszukiwawczego (kierownik B. Uchmański). Akcje odkrywcze odbywały się w podobny sposób jak na wyprawie lipcowej. Jako pierwszy problem postanowiliśmy zaatakować okno skalne, widoczne po drugiej stronie Wielkiej Studni. Żeby się do niego dostać, trzeba było wykonać 7—8-metrowy trawers wprost nad Wielką Studnią (70 m głębokości), chyba niemożliwy do przebycia wspinaczką klasyczną ani nawet hakową. Po przemysłowych zabiegach linowych ułożyliśmy w poprzek studni drąg ważący ponad 100 kg, przygotowany w jaskini już od roku.

6 sierpnia Uchmański wykonał trawers nad Wielką Studnią robiąc wahadło na linie i drabinie, zaczepionych nieco powyżej skraju studni i posługując się drągiem tylko do odchyłania się na wahadle. Drąg nie mógł służyć jako „most”, był bowiem zbyt cienki. Trawers ten można więc porównać do „pająkiem”, stosowanym we wspinaczkach powierzchniowych. Najbardziej uciążliwe były końcowe metry trawersu, przy największym wychyleniu wahadła. Jak wykazał wstępny rekonesans, okno skalne za trawersem stanowiło początek korytarzyka prowadzącego do dużego systemu kominów równoległych do Wielkiej Studni. W dniach 7 i 8 sierpnia badała je grupa Bzowski, Sapielak, Starek i Uchmański. Po kilku zjazdach osiągnięto salkę, z której najdłuższym zjazdem — wolno w powietrzu — wylądowano na I Płytowym Progu, przed Salą Trójkątną.

W nocy z 10/11 sierpnia miała miejsce następna akcja odkrywcza w bliźniaczych studniach. Uczestnicy: Plewako, Sapielak, Uchmański i Wojciechowski oraz goście z sekcji wrocławskiej: Masełko i Wachowicz. Rozbudowywano wertykalny labirynt ponad I Płytowym Progiem i Salą Trójkątną. Ogółem podczas obu letnich wypraw Speleoklubu Warszawskiego do Śnieżnej odkrytych zosta-



Tak wygląda dno Śnieżnej. J. Onyszkiewicz w syfonie zamykającym jaskinię na głębokości 640 m.

Fot. Bernard Uchmański

ło w przybliżeniu 1,5 km nowych korytarzy, głównie o ukształtowaniu pionowym. Latem 1963 były też podejmowane próby eksploracji kilku jaskiń w sąsiedztwie Śnieżnej, mających teoretycznie szanse połączenia się z nią.

W dniach od 3 do 15 sierpnia 1964 Speleoklub Warszawski urządził następną wyprawę odkrywczą do Śnieżnej. Uczestnicy: E. Tichy, E. Trzetrzezińska-Bzowska, M. Wnorowska, E. Wojtowicz, M. Błazejewski, J. Bzowski, E. Juszcak, A. Kaczanowski, K. Łacki, R. Łopusiewicz, W. Plewako, A. Starek i B. Uchmański (kierownik). Typ wyprawy — lekka. W czasie całej wyprawy panowały wyjątkowo niesprzyjające warunki atmosferyczne. Ciągłe ulew i opady gradu utrudniały dojścia do otworu, w jaskini — bez mała powódź. W korytarzu wstępnym było więcej śniegu i nacieków lodowych niż w poprzednich latach. Działalność odkrywczą prowadzono na głębokości ok. 300 m. Problemy wytypowano już podczas wypraw w lipcu i sierpniu 1963. Wodospad w Suchym Ciągu został zbadany do wysokości ok. 70 m w stosunku do dna głównego korytarza. Trudności skalne — ekstremalne, zwiększone działaniem spadającej wody. Wodospad spływa po ścianie komory, która liczy ok. 100 m wysokości i jest jedną z największych znanych komór w Tatrach. Dalsze badania przełożono na suchszą porę. Forsowanie w górę odkrytego w r. 1963 wodospadu nad Salą Gotycką zostało po rekonesansie zaniechane, również z uwagi na niekorzystne warunki wodne. Zbadano natomiast do wysokości ok. 40 m nieczynny obecnie wodospad w szczelnie między Salą z Fortepianem a Salą Gotycką.

Pod koniec sezonu jaskiniowego, jesienią 1964, grupa krakowskich taterników jaskiniowych STJ dotarła ok. 200 m w górę głównego ciągu Snieżnej, do którego dochodzi się od otworu na głębokości ok. 280 m. Sukces jest duży, tym wartościowszy, że metry te zdobyto przeważnie w niezwykłej trudnej wspinaczce. Kilka poprzednich wypraw krakowskich (1964) w górę głównego ciągu przygotowało grunt dla tego odkrycia. Widać na tym przykładzie, że doświadczenia zdobyte w ostatnich latach na trudnych ścianach tatrzańskich mogą znaleźć zastosowanie także pod ziemią.

*

Tak więc Snieżna zajmuje obecnie 8 miejsce wśród najgłębszych znanych jaskiń świata. W kręgach speleologicznych ma przy tym opinię jednej z najtrudniejszych technicznie. Czy są szanse na poprawienie tej lokaty? Teoretycznie tak. Różnica poziomów między najniższym osiągniętym punktem — 640 m (umownie nazywanym dnem), a Lodowym Źródłem, gdzie wypływają wody

z Snieżnej, wynosi ok. 100 m, ale rozłożona jest na długości ponad 4 km. Jak wykazało barwienie, woda przebywa tę podziemną drogę w 7 dni. Oznacza to, że jeśli nawet udałoby się przebyć nurkowaniem końcowy syfon (nie otwiera się on, jak stwierdziliśmy, nawet zimą), napotkałoby się zapewne na następne syfony, jeziora i inne przeszkody wodne, nie mówiąc o przeszkodach skalnych. Zejście poniżej obecnego „dna” byłoby więc niezmiernie trudne do zrealizowania. Są natomiast pewne szanse na przedłużenie Snieżnej w górę, ponad poziom obecnego otworu wejściowego. Szanse te mogą być zrealizowane bądź od środka jaskini (wspinaczki w którymś z bocznych korytarzy), bądź z zewnątrz, przez dokonanie połączenia Snieżnej z jakąś inną jaskinią w Czerwonych Wierchach, znajdującą się wyżej. Rozpoczęto kilka tego rodzaju prób. Również ogólna długość poznanych korytarzy, wynosząca ok. 4 km, może ulec powiększeniu.

Problemy odkrywcze Snieżnej nie wyczerpały się. Najgłębsza jaskinia Polski kryje jeszcze wiele tajemnic.

Bernard Uchmański

Taternicy w »Klubie Olimpijczyka«

Warszawski „Klub Olimpijczyka” PKOl zorganizował w dniu 10 grudnia 1964 drugi z kolei wieczór poświęcony taternictwu (pierwszy odbył się w styczniu 1964 po Łódzkiej Wyprawie w Hindukusz). Wyświetlono dwa filmy krótkometrażowe — „Człowiek i góry” G. Rebuffata oraz „Wariant R” S. Sprudina, po czym Czesław Momatiuk z właściwą sobie swobodą i wdziękiem opowiedział zebranym barwne koleje zdobywania wschodniej ściany Mnicha — od pierwszych zakusów Świerza, aż po ostatnie drogi, tnące urwisko w parometrowe paski. Po pogadance odbyła się długa i pożyteczna dyskusja, zreżymowana przez prelegenta. Skupiła się ona wokół kilku spraw: trudności w pracy Klubu Wysokogórskiego, zagadnień propagandy alpinizmu itp.

W punkcie pierwszym, mówcy zgodnie doszli do wniosku, że taternictwo (alpinizm) jest sportem, że wybitnie przyczynia się do rozśławiania imienia Polski za granicą i że powinno w miarę możliwości korzystać z wszystkich tych przywilejów, jakimi otaczane są tzw. dyscypliny olimpijskie. Mówiąc o pracy propagandowej Klubu stwierdzono, że sport wysokogórski — par excellence niewidowskowsky — nie znalazł dotąd swojego miejsca w prasie sportowej, ma jednak mimo to szeroki krąg „kibiców”, którzy w mig

rozchwytyują 30-tysięczne nakłady książek o tematyce alpinistycznej. Sporo cierpkich słów usłyszeli taternicy zawodowo lub półzawodowo parający się piórem, którzy — jak to podkreślił mgr A. Górny — wolą pisać o teatrze, socjologii czy polityce, niż o sprawach swojego sportu. Siegnęło się także „Taternikowi” za chroniczną powolność w pracy i w związku z tym niezbyt aktualną treść. Wiele do myślenia dały szczere wypowiedzi w trzeciej grupie poruszanych tematów: co sądzą o nas turyści górscy, którzy — pilniej niż przypuszczamy — obserwują nas na codzień w górach i w schroniskach. Podkreślali oni wielką hermetyczność Klubu Wysokogórskiego i trudności w nawiązaniu kontaktu z kręgiem związanych z nim ludzi. Padły też przykre uwagi pod adresem współczesnego pokolenia, które — jak to określiła jedna z dyskutantek — nie budzi sympatii i drażni swym zachowaniem, a zwłaszcza wywyższaniem się ponad tzw. „ceprów” — jakże często bez pokrycia w znajomości i umiłowaniu gór.

Dyskusja przeciągnęła się do późna (włącznie z pierwszą częścią trwała 4 godziny). Na zakończenie, reprezentujący PKOl mgr A. Górny zaproponował jej kontynuację w spotkaniu o temacie „turyści tatrzańscy a Klub Wysokogórski”.

Jubileusz »Scoiattoli« z Cortiny

W sierpniu 1964 r. grupa alpinistów z Cortiny d'Ampezzo znana pod nazwą „Wiewiórek” (Scoiattoli) obchodziła jubileusz 25-lecia założenia swego klubu a jednocześnie i swojej pięknej i wielostronnej działalności.

Nazwiska ludzi należących do tej grupy zapisały się na trwałe w historii alpinizmu włoskiego i światowego. W ciągu tych 25 lat dokonali oni szeregu pierwszych przejść niezwykle trudnych dróg w różnych grupach górskich — poczynając od rodzinnych Dolomitów a skończywszy na Andach czy Himalajach. Ale nie tylko ambitne pierwsze przejścia są celem ich działalności. Dokonali oni również licznych powtórzeń dróg alpejskich najwyższej klasy, oraz brali udział w przeszło 120 akcjach ratunkowych. Stanowią b. ekskluzywną i zwartą grupę ludzi, którym przyswiecają najwyższej miary ambicje alpinistyczne i którzy, kierując się w swoim postępowaniu zasadami braterstwa i koleżeństwa. Pomimo znakomitych osiągnięć w ich sposobie bycia nie dostrzega się zarozumiałstwa czy pyszności, cech tak rozpowszechnionych ostatnio wśród alpinistów młodego pokolenia.

Charakterystyczną formą działalności „Wiewiórek” jest działalność kolektywna. Decyzja o zaatakowaniu jakiejś ściany (przy pierwszym przejściu) musi uzyskać aprobatę wszystkich członków grupy, którzy przy realizacji planu pracują wszyscy. Dlatego też niech nikogo nie mylą podawane przy ich pierwszych przejściach nazwiska. Należą one do faktycznych uczestników przejścia, za którymi kryje się jednak rzetelny wysiłek całego 22-osobowego kolektywu.

Organizacyjnie należą wszyscy do Club Alpino Italiano, a ich wewnętrzna organizacja pozbawiona jest jakichkolwiek form biurokracji. Jako „galowy” strój noszą wszyscy czerwone swetry z białą wiewiórką na lewym ramieniu oraz małe odznaki z białą wiewiórką na czerwonym tle. Nawiasem mówiąc, wiewiórka — od której „Scoiattoli” wzięli nazwę — jest od dawien dawna godłem „stolicy” Dolomitów, Cortiny.

Grupa „Scoiattoli” powstała w sierpniu 1939 r., a jej założycielami i fundatorami byli: Albino i Sylvio Alverá, Romano Apollonio, Ettore Costantini, Angelo Bernardi, Siro Dandrea, Giuseppe i Luigi Ghedina, Bortolo Pompanin i Mario Zardini. Liczy ona 22 członków, których nazwiska warto sobie przypomnieć. Są to: Carlo Alverá, Gino Franceschi, Guido Lorenzi¹⁾, Ugo Samaia, Armado Apollonio, Lino Lacedelli, Ugo Pompanin, Ugo Illing, Luigi Menardi, Bruno Alberti, Maurizio de Zanna, Candido Bellodi, Beniamino Franceschi, Albino Michielli²⁾, Claudio Zardini, Ar-

turo Zardini, Lorenzo Lorenzi, Gualtiero Ghedina, Carlo Gandini, Orazio Apollonio, Bruno Menardi i Ivano Dibona.

W ramach krótkiego artykułu trudno wymienić wszystkie fakty z bogatej działalności „Wiewiórek”, wyliczmy więc jedynie (w porządku chronologicznym) ich najważniejsze pierwsze przejścia:

- 1942 — Tofana di Rozes (Via „Julia”); pd. ściana Monte Popena.
- 1943 — Col Rosà direttissima pd.-wsch. ściana; Punta Giordano (Valturnanche).
- 1944 — Cinque Torri direttissima „Scoiattoli”; Tofana di Rozes „Wielki Filar”.
- 1951 — Piz Adolf w grupie Mont Blanc.
- 1952 — Cima Scotoni pd.-zach. ściana.
- 1954 — K2 w Karakorum, Torriente Apollonio (Pelmo); Cima Rondo.
- 1955 — Burell (Schiara) pd.-zach. ściana.
- 1956 — Sassolungo pd.-zach. ściana; Piz Badile.
- 1957 — Cristallino d'Ampezzo; Torre Camosci (Boé).
- 1958 — Torre d'Alleghe (Civetta).
- 1959 — Cima Ovest direttissima szwajcarsko-włoska, „Spigolo Scoiattoli”.
- 1962 — Tofana Punta „Giovannina”.
- 1963 — Tofana di Rozes direttissima „Paolo VI”.
- 1964 — Rocchetta Alta „Spigolo Strobel”.

W życiu codziennym „Scoiattoli” zajmują się różnymi sprawami. Pracują jako przewodnicy górscy, jako pracownicy instytucji, są właścicielami warsztatów rzemieślniczych, robotnikami. Wszystkich jednak — niezależnie od zawodu — łączy nierozdzielnie wielka pasja górską, która przecież i nam nie jest obca.

Na zakończenie, należy chyba życzyć „Wiewiórkom” z Cortiny dalszej pięknej działalności i pomyślnej realizacji ich ambitnych planów.

Ryszard Rodziński

1-2) Na liście figurują także nazwiska członków, którzy ponieśli śmierć górską. G. Lorenzi zginął w r. 1958, A. Michielli — w 1964.

3) W tym roku obchodzi jubileusz również inny — mniej głośny ale jeszcze bardziej zasłużony lokalny klub — „Karwendler” z Innsbrucka. Powstał on w r. 1904, jego członkiem był m. in. H. Buhl. Klub ma w swoim dorobku zdobycie przeszło 30 wysokich szczytów w Himalajach (m. in. Nanga Parbat 1953. Cho Oyu 1954. Broad Peak 1957) i drugie tyle w Andach. Obecnie do najaktywniejszych sportowo „karwendelczyków” należą H. Baldauf i H. Wagner. Gratulujemy! (Red.)

Wspinajmy się bezpieczniej

Wypadki górskie nacierają nas seriami. Zauważono to od dawna i tłumaczono na różne sposoby, metafizyki nie wyłączając. Rok 1964 przyniósł serię szczególnie dotkliwą. Ilość ofiar przekroczyła wszystkie dotychczasowe notowania, w dodatku znaleźli się wśród nich ludzie szeroko znani i mocno związani z rozwojem naszego sportu. W Dolomitach zginął Jerzy Krajski, doświadczony taternik i alpinista, wkrótce po nim zmarł w wyniku katastrofy na Dent d'Hérens Krzysztof Berbeka, również zdobywca ścian i szczytów od Alp po Hindukusz, nadto jeden z najbardziej ofiarnych ratowników GOPR. Pod Małym Kieźmarskim lawina przerwała życie Jacka Woszczerowicza, młodego lecz niezwykle utalentowanego wspinacza, zaś na Galerii Gankowej odeszła od nas wybitna taterniczka młodego pokolenia, Krystyna Lipczyńska, której nazwisko nie schodziło ostatnio z ław mów „Taternika”.

Zły rok 1964

Przebieg wypadków mamy świeżo w pamięci, znamy też z grubsza ich okoliczności, które obszernie komentowała prasa codzienna. W naszych rozważaniach chcielibyśmy pominąć te sprawy i spojrzeć rzeczowo na

całą tegoroczną „serię”, jako na pewną wartość statystyczną, której analiza — rzucona na tło materiałów liczbowych z lat poprzednich — może dostarczyć spostrzeżeń pozwalających wnikać w mechanizm katastrof górskich i pomagających wysnuć wnioski pozytywne z punktu widzenia zapobiegania im w przyszłości.

W r. 1964 — do końca lata — zginęło śmiercią górską 8 polskich taterników, z tego 6 w Tatrach i 2 poza granicami kraju. Połowa wypadków miała miejsce w zimie, przy czym jeden (J. Woszczerowicz) spowodowała lawina. Z 4 ofiar tatrzańskiego lata 3 zebrała Galeria Gankowa, główny w Tatrach Słowackich „poligon” wyczynowego taternictwa polskiego. Aż 4 wypadki wydarzyły się w stosunkowo łatwym terenie zejściowym, zaś przy samym wspinaniu stracił życie tylko jeden taternik, W. Biederman. Co się tyczy urazów, które spowodowały śmierć, w 3 przypadkach zanotowano obrażenia głowy (J. Woszczerowicz, M. Lipiński, W. Biederman), w 2 innych (J. Krajski i J. Olszewski) — kłatki piersiowej. H. Horak i K. Lipczyńska zginęli według przypuszczeń wskutek wyziębienia w strugach lejącej się wody.

Niepokojącą cechą wypadków tegorocznych jest to, że objęły one także ludzi o dużym stażu górskim i ogromnym doświadczeniu (J. Krajski i K. Berbeka). Jeśli chodzi o wiek ofiar, tylko dwóch zabitych nie osiągnęło 20 roku życia, dwóch innych zaś przekroczyło trzydziestkę. W żadnej z omawianych katastrof nie ma dowodów na to, że podjęte zadanie przerastało siły i umiejętności zespołu. Większość z nich jednak ujawnia niedostatki w asekuracji, zwłaszcza brak haków przelotowych (Cima Ovest, Cubryna, żleb Drège'a, Galeria Gankowa). W Dolomitach wskazać można dodatkowo na błąd taktyczny, polegający na niezapewnieniu sobie przez zespół stałego obserwatora z dołu, grupie z Dent d'Hérens wytykała prasa zachodnia wejście w ścianę w wyraźnie złych warunkach atmosferycznych. Najwięcej cech wypadku obiektywnego wykazuje tragedia Horaka i Lipczyńskiej, spowodowana oberwaniem chmury. J. Łacki, który noc z 9 na 10 sierpnia spędził w kolebie u stóp Galerii opowiada, że rano Dolina Ciężka wyglądała jak po powodzi: powstały nowe żłeby i rynnny w piargu, którymi jeszcze koło południa waliły całe rzeki wody. Dla ścisłości trzeba jednak dodać, że biwakująca dwójka nie była przygotowana na taką ewentualność (brak ciepłej odzieży i skutecznego okrycia od deszczu).

Alfred Séquin

Zaginionemu

Ta przepaść
była moją śmiercią,
dlatego
strzeż się
fałszywego kroku
twojej godziny,
nigdy nie wiesz
gdzie
jak.

(Tłum. J. Kolbuszewski)

Kto, jak i kiedy?

Materiał statystyczny z jednego roku, a nawet z całej historii taternictwa polskiego jest zbyt mały, by jego przegląd mógł dać dostatecznie ściśle wskaźniki. Dodatkową komplikację stanowi fakt, że nikt dotąd nie zastrzegł się o pełną ewidencję wypadków.* Niemniej pewne prawidłowości i zależności są już i w naszych skromnych danych łatwe do wychwycenia.

I tak od r. 1956 zaznacza się nagły wzrost ilości wypadków zimowych, które w okresie 1956-64 spowodowały aż 60% wszystkich naszych strat. Jeśli uwzględnić przy tym okoliczność, że w zimie wspina się w Tatrach znacznie mniej osób niż w lecie (szacunkowo biorąc ok. 1/4), widać jak bardzo sezon ten jest narażony na niebezpieczeństwa. Wynika też z zestawień, że szczególna uwaga wskazana jest zimą na drogach zejściowych, w latach 1960-64 wydarzyły się na nich niemal wszystkie wypadki!

W wyobrażeniu laików utrzymuje się przekonanie, że taternicy giną odpadając od ścian i przewieszek, których nie są w stanie pokonać. Owszem, ten rodzaj śmierci górskiej był typowy dla epoki Bronikowskiego i Skotnicówien (w latach międzywojennych 65% wypadków), dziś jednak sprawa wygląda z gruntu inaczej. Technika asekuracji linowej i poruszania się w skale poczyniła takie postępy, że mimo ogromnego wzrostu przebywanych trudności, ilość śmiertelnych odpadnięć przy samej wspinaczce wynosi tylko ok. 10% ogólnej ilości wypadków, przy tym z reguły chodzi o wspinaczy słabych i rażące błędy w ubezpieczeniu. Narzekaniom na zły sprzęt asekuracyjny brak więc od tej strony uzasadnienia, nie tu też należy koncentrować uwagę dążąc do zapobieżenia mnożeniu się katastrof w górach.

Równie częsty jest pogląd, rozpowszechniony także wśród taterników, że śmierć w skale dosięga przede wszystkim adeptów naszego sportu, nie dysponujących odpowiednim doświadczeniem. Kroniki GPR dostarczają co prawda licznych na to dowodów, jednakże w świetle liczb względnych мнение to nie da się utrzymać. Mówiliśmy już o Krajskim i Berbecu, można dodać Stanisławskiego, Grońskiego, Żuławskiego czy Długosza. Pismo „Alpinismus” zamieściło w numerze 11/64 listę sfu nieżyjących już alpin-

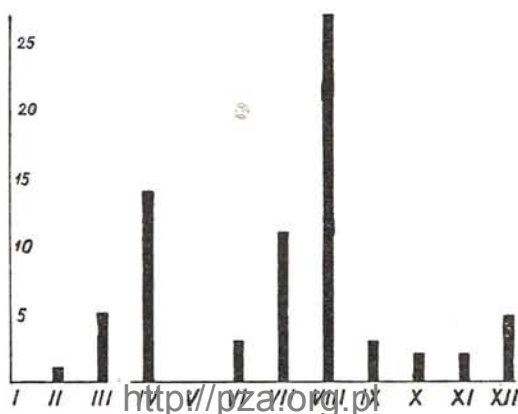
* W związku z tym dezyderat dla kierowanej przez naszego delegata Komisji Programowej UIAA. Winna ona zalecić odpowiedniej komórce Unii w szczególności prac nad zaprowadzeniem ogólnoeuropejskiej kartoteki wypadków górskich (alpinistycznych), z uwzględnieniem takich elementów, jak przyczyny katastrofy, rodzaj popełnionych błędów, urazy, które spowodowały śmierć, wiek i zaawansowanie wysokogórskie poszkodowanego itp.



Tablica Bronikowskiego w Dolinie Pięciu Stawów.
Fot. Józef Nyka

stów o światowym rozgłosie. Aż przy 44 nazwiskach figurują czarne trójkąci oznaczające „Tod am Berg” — śmierć w górach. Szczególnie krótkie bywają kariery miłośników trudnych wspinaczek samotnych.

Jeśli chodzi o rozkład nieszczęśliwych wypadków w poszczególnych miesiącach roku, ilustruje go załączony wykres. Wynika z niego, że zimowe maksimum przypada na kwiecień, drugie zaś, niższe — na grudniowy okres świąteczny. Lato ma wyraźne maksimum w sierpniu. Znany przesąd taternicki o feralności dni 16—18 sierpnia znajduje pewne oparcie w liczbach i wiąże się zapewne ze szczytową falą wspinających się w górach, przy częstych w tym okresie głębokich załamaniach pogody. Uzależnienie wypadków od ilości czynnych sportowo taterników widoczne jest również wyraźnie w przekroju dziesięcioleci. Nim się tłumaczy wzrost bezwzględnej liczby ofiar w ostatnim czasie, przy jednoczesnym jaskrawym ich spadku w liczbach względnych w porównaniu z okresem międzywojennym (ok. 20 zabitych przy ok. 100 czynnie wspinających się). Z napływem obcokrajowców w Tatry Polskie w ostatnich latach wiąże się spora ilość śmiertelnych obrażeń wspinaczy słowackich i niemieckich na naszym terenie. Ci ostatni goszczą u nas przeważnie bez odpowiedniej opieki instruktorskiej, chodzą bez opisów, często pilotowani przez ludzi nie dysponujących znajomością nowoczesnych dróg lub w ogóle zasad poruszania się po skale i śniegu.



Dodajmy na użytek turystów, że wypadki taternickie w Tatrach Polskich wynoszą tylko ok. 25% ogólnej ich liczby. Natomiast po stronie słowackiej taternickie i turystyczne kształtują się z grubsza biorąc na tym samym poziomie (w latach 1950-60 — 38 i 35, „Wysoké Tatry” HS 1963, s. 23).

Kalkulacja ryzyka

„Przy odpowiednim stopniu zaawansowania turystycznego, względnie taternickiego, przy zachowaniu pełnej ostrożności, wypadki w Tatrach są całkowicie do uniknięcia.” To zdanie z „Tragedii tatrzańskich” W. Żuławskiego przypomina niedawno red. M. Różycki. Jest ono krzepiące, niestety zgodzić się z nim nie sposób. Zarówno odpowiednie zaawansowanie jak i pełna ostrożność są abstrakcjami, w praktyce niemożliwymi do osiągnięcia. Nie wszędzie można się asekurować w 100 procentach, ma swoje granice ludzka odporność i zdolność do koncentracji, istnieją wreszcie niebezpieczeństwa niezależne od woli i poczynań wspinacza, jak choćby ów obryw seraków, w którym zginął sam Żuławski. Z jednym trzeba się zgodzić: taternictwo — przy całym swoim pięknie i wszystkich walorach — należy do sportów obiektywnie niebezpiecznych i pewne ryzyko każdy idący w góry musi wkalkulować w swoje plany.

Stwierdzając to, dalecy jednak jesteśmy od determinizmu. Wiadomo od dawna, że 90% ogólnej sumy stanowią wypadki subiektywne, w których wiele zależy od naszej ostrożności, przezorności, rutyny, instynktu. I z tymi wypadkami można walczyć.

Wiele sensu (choć tak mało zwolenników) mają stosowane przez Klub rygory natury administracyjnej: zastrzeżenie dyscypliny obozów sportowych, instytucja obserwatorów

ZG w Tatrach, zakazy wychodzenia na wspinaczkę w złych warunkach itp. Głównym plusem tych posunięć jest to, że przypominają nam o istnieniu niebezpieczeństwa; ich głównym minusem — że prowadzone są do rywczo, wtedy zwłaszcza, kiedy się już coś złego wydarzy*. Pilną potrzebą jest ożywienie Komisji Bezpieczeństwa Górskiego przy ZG KW. Jak dotąd istnieje ona tylko w schemacie organizacyjnym Klubu, a miałyby przecież naprawdę poważne zadania do spełnienia, choćby w zakresie ewidencji wypadków, profilaktyki i doraźnego reagowania na przejawy gwałcenia zasad bezpiecznego wspinania się. Jaskrawa przewaga wypadków w trudnościach I i II stopnia jest sygnałem, by podać rewizji nasze programy szkoleniowe. W stosunku do kandydatów na kursy należałoby zwiększyć wymagania turystyczne — srebrna odznaka GOT nie byłaby chyba cenzusem zbyt wygórowanym. Większy nacisk należałoby położyć na przejściu z lotną asekuracją, pierwszy stopień szkolenia winien też bezwzględnie obejmować teoretyczną i praktyczną naukę wycofania ze ściany, i to zarówno z pomocą zjazdu, jak i zejścia z asekuracją. Dla czołówek nie od rzeczy byłoby obozy obejmujące m. in. naukę ratownictwa środkami prostymi, ze szczególnym uwzględnieniem akcji przeprowadzanych własnymi siłami zespołu.

Sporo do zrobienia pozostaje jeszcze w dziedzinie sprzętu, a zwłaszcza ekwipunku. Stwierdzony wyżej wysoki procent obrażeń głowy podkreśla rolę kasków ochronnych, złą rzeczą jest niedoceniecie w Tatrach i brak na rynku lekkich kopert biwakowych, bez których na Zachodzie nikt się nie odważy wejść w poważną ścianę. Niemcy nie darmo mówią o nich „Lebensretter”, gdyby mieli je w swoim wyposażeniu Horak czy Rdułtowski, byłiby z pewnością dzisiaj między nami. W ostatnich latach — w związku z pokonywaniem wielkich przewieszek — mnożą się niepokojąco odpadnięcia z wolnym zwisem na linie (W. Karpiński i K. Głazek na Mnichu, Słowak M. Hasala na Kazalnicy). Trzeba w związku z tym pomyśleć o produkcji pasów asekuracyjnych, zalecanych przez UIAA i IKAR, trzeba też popularyzować pętle pod uda i pod stopy. Wisząc wolno na linie w 2 do 3 minut traci się możliwość manipulowania rękami i wtedy jest już na wszystko za późno.

Mimo rozbudowanego systemu ochrony, wypadków nie brak i w Kaukazie. Na zdjęciu J. Michalski w rozmowie z radzieckimi „radistami” podczas akcji ratunkowej w rejonie lodowca Miżirgi.

Fot. Jerzy Warteresiewicz



* Podobne środki znane są nie tylko u nas. Np. w USA, w masywie Mount Rainier, alpinści wypełniają formularze wyjść i poddają kontroli sprzęt. Trudniejsze drogi wolno atakować tylko zespołom czwórkowym, a wejście na lodowiec bez liny karane jest mandatem w wysokości 25 dolarów. W rejonie Grand Tetons obowiązują specjalne „karty wspinaczkowe”, zaś od amatorów „piątek” na bazaltowej „Diabelskiej Turni” (Wyoming) wymaga się świadectwa ukończenia kursu.



Pamiętaj: w ostatnich latach przeszło połowa wypadków taternickich wydarza się w zimie.

Fot. Eugeniusz Piątkowski

O szacunek dla ekspozycji

Nie oczekujemy jednak radykalnych rozwiązań ze strony władz klubowych — i one nie mają przecież recept na bezpieczne wspinanie. Sprawa dotyczy jak najbardziej nas samych i sami się powinniśmy o nią troszczyć. Przede wszystkim nieustannie pamiętać o istnieniu zagrożenia, mieć je przed oczyma nawet wtedy (czy zwłaszcza wtedy), kiedy zmęczenie, zimno, głód odbiorą nam siły do myślenia o wszystkim innym. Doskonalszą technikę wspinania i asekuracji. Przez racjonalny trening utrzymujmy stałą wysoką kondycję. Trzymajmy na wodzy ambicje i aspiracje sportowe — wielu wysłały już one na Mleczną Drogę. Zgłębiajmy w górach siebie: własną psychikę, swój sposób reagowania, zdolność do skupienia się. Bądźmy stale świadomi tego, co robimy i czego się w krytycznej sytuacji możemy po sobie spodziewać.

„Żyć niebezpiecznie” — radził Nietzsche. „Wspinaj się bezpiecznie” — brzmi nasza rada. Większość wypadków jest do uniknięcia, a nie wszyscy chcą o tym pamiętać. Niepokoi nasilająca się ilość odpadnięć w ścianach i niefrasobliwy stosunek do nich, wyrażający się chociażby w żargonowym „odpalaniu jaskół”. Przyczynę tego należy widzieć głównie w zbyt szybkim awansie młodych i rozbracie między ich skromną techniką a trudnościami, jakie atakują. Złe jest, że tak wielu taterników pogardza nar-

tami i wędrownkami w zimie, a przecież one w dużym stopniu wyrabiają „nosa” do śniegu (uwaga: 23% wszystkich powojennych wypadków taternickich spowodowały lawiny). Karygodne jest robienie dobrego czasu na wspinaczkę kosztem pewnych stanowisk i poprawnej asekuracji. Ciężkie konsekwencje może mieć pleniąca się ostatnio „choroba szóstego stopnia”. Wspinacz ekstremalny szanuje tylko ekstremalne trudności, na nich się skupia i ubezpiecza jak należy. Z chwilą wyjścia w teren łatwiejszy (II—IV) rozluźnia uwagę, przyspiesza tempo, wspina się nieostrożnie. A przecież łatwe partie ściany wcale nie są mniej niebezpieczne, w Tatrach w dodatku często kruche lub przeszyte trawą. Pamiętajmy: naszym głównym wrogiem w górach nie są trudności, lecz ekspozycja, bo nawet wtedy, kiedy ginimy z mrozu czy wyczerpania — ona dzieli nas od zbawczego schroniska. Jak oblicza dr V. Slávka, w Tatrach Słowackich w latach 1950-60 przyczyną 87% wszystkich urazów były upadki, spadanie.

Victor Weimann napisał niedawno artykuł pt. „Czy wspinamy się ponad nasze możliwości?” Zakończył go słowami: „W dzisiejszej epoce cudów gospodarczych wszyscy żyjemy trochę ponad stan. Zaciąganie kredytów weszło nawet w modę. Ale wspinacz, który znajdzie się choćby 10 metrów ponad ziemią nie może zapominać, że w górach obowiązuje zasada płacenia za wszystko w gotówce. Tak samo na szóstce, jak i na drodze nieco trudnej.”

Józef Nyka

Z Profesorem w Tatrach

Z gorliwością i pedanterią notujemy w „Taterniku” warianty do skalnych dróg i nazwiska wspinaczy — nawet te o jednosezonowym blasku. Warto jednak od czasu do czasu poświęcić też nieco miejsca ludziom, których zasługi dla taternictwa są tak same, a może nawet większe: tym, którzy przed latami otworzyli dla nas bogaty świat gór i sprawili, że związaliśmy się z nimi na zawsze — nauczycielom, przewodnikom, popularyzatorom Tatr i wspinaczki. Oto jeden z nich — dr Z. Krawczyński (Red.)

Po kuracji w Bolonii powrócił do kraju znany starszemu pokoleniu taternik i pedagog, dr Zdzisław Krawczyński, zasłużony organizator wycieczek szkolnych w Tatry i nieustrudzony propagator tych gór wśród młodzieży.

Działalność swą rozpoczął w Wadowicach, ale już od r. 1922 pracował w Chrzanowie. Dzięki jego inicjatywie robotnicza młodzież z Zagłębia Chrzanowsko-Jaworznickiego miała możliwość poznać całą Jurę Krakowsko-Częstochowską, Karpaty aż po Czarnohorę, a przede wszystkim Tatry, które Profesor darzył szczególnym umiłowaniem. Dużo wędrował po nich sam, był też zaprzyjaźniony z taternikami takimi, jak J. Chmielowski czy M. Świerż. Wobec swych wychowanków nie stosował metod takich, jakimi obecnie zaznajamia się z górami młodzież. Jechało się z pełnym ekwipunkiem turystycznym i żywnością na cały czas trwania wycieczki, której łączny koszt nie przekraczał 10 złotych. W wycieczkach uczestniczyli wszyscy, a jeśli komuś

brakowało pieniędzy, kosztą pokrywał dr Krawczyński z własnej kieszeni. Wędrowaliśmy przeważnie piechotą, pokonując dalekie i forsowne trasy, jak Zakopane — Zawrat — Gładka Przełęcz — Trzy Studzienki — Krywań — Szczyrbskie Jezioro — Smokowiec — Poprad — Czerwony Klasztor — Trzy Korony — Gorce — Mszana Dolna — Wadowice, skąd dopiero pociągiem do domu.

W pełen uroku świat Tatr zostaliśmy wprowadzeni nie tylko od strony orientacji w terenie, topografii i geologii, którą wspaniale wykładał nam dr Krawczyński, ale także od strony poezji i literatury tatrzańskiej. Nie zapomnimy nigdy frazy z „Kordiana”, którą recytował nam stojąc na szczycie Gierlachu. Wiersze Pola, Asnyka, Tetmajera, Kasprowicz brzmiały tam, wśród złomisk, szczególnie sugestywnie i utkwiły w pamięci na całe życie. Śpiewał też Profesor pieśni tatrzańskie, znał dużo piosenek góralskich, układał nawet teksty sam. W r. 1946 wydał pod monogramem „O. S.” („Orzeł Skalny”) tomik zatytułowany „Nowe pieśni harcerek i wiersze wybrane” — zawierający szereg tatrzańskich utworów.* Oto jeden z nich, zatytułowany „Zjawisko Brokena”:

Białe jak mleko obłoków szeregi
U stóp się naszych przewalają tłumem.
Gdzieś w żłebach wieczne majaczą śniegi.
Wiatr wciąż wybucha porywistym szumem.

Wokoło wierchy jak wyspy wśród morza
Hen, w niedosięgłej znikają oddali...
Przedziwnych światła różnobarwna zorza
Gra tu na chmurach i w turniach się pali.

Za nami z tyłu słoneczne promienie
Na kłębowisko chmur rzucają cienie.

Jawia się nagle wpośród górskich cudów
Z głowami w tęczy, w światła aureoli.
Jakby postacie świętych wielkoludów.
Trwają chwil parę i nikną powoli...

Ze szczególną dbałością wyrabiał w nas Profesor poważny stosunek do Tatr i do niebezpieczeństw, jakie kryją w sobie skalne drogi. Najlepszą miarą tego, jak głęboko zaszczerpał młodzieży bakcyła wysokogórskich wędrówek jest fakt, że grupy jego wychowanków bez przerwy spotyka się w Tatrach — wśród nich Tadeusza Staicha, literata z Zakopanego, Wacława Geigera — kompozytora i dyrygenta, prof. dra Ziembe, docenta dra Gansa z Krakowa, dyrektora Tadeusza Nowickiego, inż. Jana Krokowskiego i wielu wielu innych.

* Z uwagi na mały nakład, zbiorów ten jest dziś rzadkością bibliofilską. W „cyklu tatrzańskim” (s. 22—32) zawiera m. in. następujące wiersze: „Tatry”, „Ku wierchom”, „Towarzysze”, „Limba”, „Kurniawa”, „Wiatr hałny”, „Morskie Oko”.

Nad Czarnym Stawem Gąsienicowym. W środku dr Z. Krawczyński, po prawej autor niniejszego artykułu, obecnie dyrektor wydawnictwa „Sport i Turystyka”.



W r. 1950 dotknęła dra Krawczyńskiego ciężka choroba Parkinsona, która czyniąc szybkie postępy unieruchomiła go i odcieła od pracy pedagogicznej i od Tatr, bez których nie wyobrażał sobie życia. Rozsypani po świecie jego byli uczniowie umożliwili

mu wyjazd do Bolonii, gdzie dokonano trudnych operacji. Niestety 72-letni Profesor po powrocie do kraju zmarł w dniu 10 IV 1965 r., nie zdąższy wrócić na umiłowane tatrzańskie ścieżki.

Alfred Górny

Echa z Alp

Ostatnie lato alpejskie było — jak pisze „La Montagne” — niemal tak samo piękne, jak w r. 1947. Jego wyniki można scharakteryzować krótko: dużo ciekawych powtórzeń, mało pierwszych przejść, do tego niepokojąca ilość wypadków. Co się na to złożyło? Odpowiedzi szuka Gaston Rébuffat w paryskim „Le Monde” (11 XI 1964). Mała liczba pierwszych przejść — stwierdza — nie świadczy bynajmniej o spadku poziomu techniki wspinania, która przecież bez przerwy podnosi się i udoskonala; ale znacznie łatwiej wykazać się ładnym sportowym stylem na drogach już znanych, dokonywać w dobrym czasie powtórzeń dróg już przetartych. Coraz mniej jest w Alpach dziewiczych urwisk, to też poszukiwania idą raczej w kierunku prostowania szlaków i wyznaczania *directissim* na ścianach już rozwiązanych.”

Najciekawszym dokonaniem lata 1964 było w Alpach niewątpliwie I przejście 1200-metrowego filara Pointe Whymper (4196 m) w masywie Grandes Jorasses. Przypadło ono w udziale W. Bonattiemu i M. Vaucherowi. Wspinaczkę rozpoczęli oni 6 VIII i mimo groźnych lawin kamiennych już pierwszego dnia zdołali pokonać 600 m ściany. Pierwszy biwak spędzili pod nieustającym bombardowaniem kamieni, które trwały również w ciągu następnego dnia. Mając przecięte obie liny, posunęli się w górę zaledwie kilkadziesiąt metrów. Podczas drugiej nocy przyszło załamanie pogody a obfity śnieg pokrył całą ścianę. Mimo to 8 VIII przebyli dalsze 300 m, jednakże następny z kolei biwak okazał się jeszcze cięższy. Temperatura spadła do — 20°, grożąc poważnymi odmrożeniami. Czwartego dnia — 9 VIII — Bonatti i Vaucher osiągnęli o godz. 18.30 wierzchołek, biwakując jeszcze raz w zejściu przy śnieżycy i mrozie. „Nasza droga jest ostatnim z wielkich logicznych rozwiązań w masywie Mont Blanc” — oświadczył Włoch. Z wyprawy tej obaj znakomici wspinacze wyszli cało tylko dzięki wielkiej rutynie, a także szczęściu, które Bonattiego nie opuszcza od lat. Nic więc dziwnego, że ryzykowne przejście wywołało falę dyskusji i raczej nie należy się spodziewać, by w przy-

szłości miało ono zbyt wiele powtórzeń. Odrazda je m. in. także komentator „La Montagne”.

Wśród innych osiągnięć lata 1964 w masywie Mont Blanc wyróżniają się pierwsze przejścia — znacznie mniejszej już klasy — na Mont Maudit, Mont Blanc di Tacul, Aiguille de Leschaux i Aiguilles de Chamonix (przypuszczalnie I trawersowanie grani od Aiguille de l'M aż do Mont Blanc). Powtórzeń było wiele, sam Filar Waikera miał ich ok. 15, w tym 2 z udziałem kobiet. Odnotowano też pierwszą kobietę na filarze Bonattiego na Dru. W rejonie Ecrins na czoło tegorocznych dokonań wysuwa się I przejście północnej ściany Pointe Puiseux w masywie Pelvoux (26—27 VII, R. Ginell i O. Pinard) — bez wątpienia największy i najbardziej logiczny z problemów pozostałych dotąd do rozwiązania w Delfinacie. W sierpniu bawiła tutaj grupa 5 alpinistów radzieckich, którzy w towarzystwie przewodników francuskich przeszli m. in. południowe ściany Meije (wprost) i Pavé. W rejonie Berner Oberland dużą popularnością cieszyła się tego lata północna ściana Eigeru, przebyta przez ok. 10 zespołów, w tym po raz pierwszy przez Hiszpanów, a także z udziałem kobiety, o czym piszemy w notatce na s. 129. W otoczeniu doliny Bregaglia zanotowano trzecie samotne przejście północno-wschodniej ściany Piz Badile dokonane w 5.30 godz. przez 18-letniego Włocha. IX ścianę tę przeszedł bez biwaku znany zespół czechosłowacki — R. Kuchař i Z. Zibrin, w górnej części pokonując 250-metrowy komin, który właściwa droga omija.

Jeśli chodzi o polski udział w sezonie alpejskim, ogranicza się on w zasadzie do Austrii. W sierpniu uczestniczyła w Międzynarodowym Spotkaniu Młodych Alpinistów w Alpach Stubajskich grupa w składzie: J. Dvčzek, K. Głazek, J. Junger, J. Krzysztos, J. Nyka (kierownik), S. Skierski i K. Zdzitowiecki. Po zakończeniu spotkania udała się ona w masyw Wilder Kaiser, gdzie przebyto 7 dróg na trudnych ścianach Fleischbank, Predigstuhel i Maukspitze. Ponadto bawiła w Austrii prywatnie Wanda Błaszkievicz, która wspiniała się w grupie Zillertaler Alpen (piękne i trudne drogi lodowe i skalne).

Rekordowe pod względem ilości przebytych dróg lato 1964 obfitowało niestety także w wypadki. Według polskich doniesień prasowych, w całych Alpach zginęły 334 osoby, o 94 więcej niż w analogicznym okresie roku ubiegłego. W lipcu pogoda była ciepła i słoneczna, a temperatura nawet na wysokości 4000 m nie spadała poniżej 0 stopni. Zachęceni dobrymi warunkami szli na trudne drogi również alpinisci mniej wprawni, często początkujący. Oprócz wypadków notowano więc liczne biwaki na ścianach, które normalnie pokonuje się w jeden dzień, a także szczęśliwie zakończone odpadnięcia.

Z 77 osób, jakie zginęły w górach Francji, aż 36 straciło życie w rejonie Mont Blanc. Dnia 7 VII wydarzyła się tu na stokach Aiguille Verte największa tragedia tego lata, a równocześnie jedna z największych katastrof alpejskich naszych czasów. Kończąc przejście skalnej grani Grands Montets (trudności IV) poniosła śmierć 14-osobowa grupa kursu przewodnickiego ENSA, m. in. znany himalaista Jean Bouvier (udział w 5 wy-

prawach!) oraz słynny narciarz zjazdowy, Charles Bozon. Wypadek wydarzył się ok. 50 m od wierzchołka Aiguille Verte, a spowodowała go, jak ustalono, „deska” śnieżna 20—30 m szerokości i nie więcej, niż 20 cm grubości. Zsunęła się ona pod ciężarem przekraczających ją ludzi i zniosła ich w 800-metrową przepaść. Warunki były bardzo dobre, a jedynym błędem, jaki popełniono, było to, że wszystkie zespoły posuwały się zwartą grupą. Rébuffat w cytowanym artykule zastanawia się nad psychologiczną przyczyną katastrofy. „Kiedy człowiek przebywa w górach sam — pisze — czuje się mały i niepewny, a jego zmysły są nieustannie napięte. Inaczej jednak w grupie, zwłaszcza złożonej z towarzyszy, na których można polegać, jak to miało miejsce na Verte.... Nikt nie odczuwa wówczas lęku, panuje atmosfera pewności siebie i ufności we własne siły, człowiek jest bardziej odważny, być może także mniej ostrożny. Straszliwa logika!”.

Marta Kubalska-Paczkowska

Na grani Misses-tau w rejonie Bezingi (Kaukaz).

Fot. Zbigniew Staszyszyn



Drobiazgi historyczne

Najwyższy „groń” świata

W numerze 1-2/1956 „*Taternika*” ukazał się krótki artykuł W. H. Paryskiego pod tytułem „Pierwsza w Polsce wiadomość o najwyższej górze świata” z odpisem notatki podanej w 8 (nie 6) tomie warszawskiej „*Księgi Świata*”. Jeśli się głębiej poszpera w naszym dawnym czasopiśmiennictwie, można na ten sam temat znaleźć i inne wzmianki, niekiedy nawet wcześniejsze od cytowanej z „*Księgi Świata*”, która cenzorskie „wolno drukować” otrzymała dopiero 21 grudnia 1857. Oto na przykład nieco bałamutna wiadomość z „*Kuriera Warszawskiego*” z 6 grudnia 1856 r.:

„W Indiach Wschodnich odkryto najwyższą górę na całym świecie. Na zgromadzeniu towarzystwa Azjatyckiego dnia 6-go września, zawiadomił major Tuillier, że pułkownik Waugh ukończył już pomiar położenia i wysokości szczytu góry Himalaj, i odkrył, że szczyt jej *Kanchinang* jest najwyższy i mierzy 28156 stóp nad powierzchnią morza, gdy tymczasem *Dawalagiri* mierzy tylko 26826 stóp. Do Europy przesłane będzie wkrótce obszernie o tym sprawozdanie. Najwyższy ten szczyt gór Himalajskich przezwiał pułkownik Waugh *Ewerest*, od nazwiska pewnego geometry angielskiego, który dawniej był szefem pomiaru w Indiach.”

A tutaj bardziej już sensowna notatka z gruntownie zapomnianej „*Gwiazdki Cieszyńskiej*” wychodzącej w Cieszynie, z dnia 7 marca 1857 r.:

„Długo uważano górę *Czimboraso* w południowej Ameryce za najwyższą na ziemi; wysokość jej wynosi 24 000 stóp. Wszakże okazało się, że góra himalajska *Dawalagiri* w Azji jest wyższą, tj. 25 171 stóp. Wkrótce i ta musiała ustąpić swego pierwszeństwa wyższemu jeszcze sąsiadowi *Kinczinzunga*, dosięgającemu 26 419 stóp. Nareszcie zeszłego roku Anglicy przyszliz jeszcze na wyższy groń, który *Ewerest* nazwali, a który ma 29 000 stóp angielskich. Tak tedy *Ewerest* nazywa się najwyższą górą. Anglicy mają ten piękny zwyczaj, że wszędzie miejscom zostawiają nazwiska, jak je lud tamtejszy nazywa. Tylko imienia tej ostatniej góry nie mogli się dowiedzieć, i dlatego nazwali ją imieniem miernika.”

Jak widzimy, w sprawie miejscowej nazwy szczytu „*Gwiazdka Cieszyńska*” nie jest zgodna z „*Księgą Świata*”, świadcząc niewątpliwie na rzecz tradycyjnej wersji. Jasne jest, że rozstrzygające w tej sprawie mogą być tylko źródła angielskie.

Józef Nyka

K. Lanckoroński w Dardżiling

Wpadła mi w ręce wydana w 1893 r. w Krakowie książka Karola hr. Lanckorońskiego pt. „*Na około ziemi, 1888—1889. Wrażenia i poglądy*”. Jej autor, znany niegdyś historyk sztuki i archeolog (specjalista od Azji Mniejszej), odbył modną podówczas podróż dookoła świata, w której towarzyszył mu malarz Ludwik Hans Fischer. W trakcie wędrówki Lanckoroński zaważył też o Dardżiling, gdzie przebywał w dniach 4—7 kwietnia 1889 oczekując na lepszą pogodę, aby ujrzeć „na własne oczy” najwyższe szczyty himalajskie. Na s. 124—125 podaje krótki opis Dardżiling i notuje: „A dziś zbudowano mnie o godzinie 5 z wieścią, że widać *snows*, jak tu nazywają góry śnieżne. Pobiegłem do okna: było to jakby widzenie, prawie piękniejsze w półmroku, niż potem w pełni słonecznego blasku. Najwyższy widzialny stąd szczyt jest *Kinchinjanga*, o przeszło 28 000 stopach wysokości...”

Na s. 123 zamieszczony jest nawet mały szkic „*Kinchinjangi*” (być może jeden z pierwszych u nas rysunków tego szczytu), nie wiadomo jednak, czy jego autorem był wspomniany Fischer, czy sam Lanckoroński, również uzdolniony rysownik.

Nie są to jedyne „alpinistyczne” kartki jego dziennika podróży. W styczniu tego roku Lanckoroński usiłował wejść na Szczyt Adama — najwyższy na Cejlonie (s. 24—26), jednakże wyprawa załamała się z powodu niepogody. Także z okazji pobytu w Japonii, pisząc o Fudżijamie (s. 217), Lanckoroński dodaje uwagę: „dostać się nań stosunkowo łatwo, ale nie prędzej jak w lipcu”.

Maciej Popko

Anonimowe alpinistki polskie?

„Na górę Mont Blanc, jak notuje złota księga w biurze przewodników w Chamounix, od r. 1809 do 31-go sierpnia r. ub. weszło 61 kobiet. Kobiety, które drobnymi swymi nóżkami stapały po najwyższym szczycie Europy, podług narodowości tak się dzielą: 31 Angielek, 17 Francuzek, 2 Polki, 2 Rosjanki, 3 Amerykanki, 2 Szwajcarki, 1 Niemka, 1 Dunka, 1 Węgierka, 1 Włoszka i 1 Austriaczka.”

Tej treści notatkę podał w r. 1887 tygodnik „*Wędrowiec*” (s. 484). Jak się nazywały owe dwie Polki — nie wiadomo, a wzmianka uchodziła dotąd uwadze naszych historyków alpinizmu. Bawiąc kiedyś w Chamounix warto by się rozejrzeć za ową „złotą księgą” z XIX w., która — jeśli się dochowała — zawiera zapewne bliższe dane.

Józef Nyka

Nowe drogi w Tatrach

Babka (Mnich Małołacki)

I wejście zach. ścianą (z Doliny Małej Łąki): Andrzej Mróz, Jerzy Potocki i Maciej Włodek, 29 V—1 VI oraz 7 VI 1964. Droga skrajnie trudna, znaczne odcinki hakowe, kilka nitów. Łączny czas I przejścia 40 godz.

Wierzchołek o powyższej nazwie słabo wyodrębnia się spośród okolicznych turni i włościwie widać go tylko od zach. Opada tu ścianą ok. 140 m wysokości, w górnej części przewieszoną, w dole zaś podciętą (kamień zrzucony ze szczytu spada 20 m od jej podstawy).

Początek drogi z lewej strony, w jedynym miejscu, gdzie ściana nie jest podcięta. Kilka metrów w górę, następnie górną częścią płyt trawers w prawo techniką hakową ok. 20 m (2 „jedyńki”) do nży pod okapami. Wygodne stanowisko. Stąd rysą skośnie w prawo techniką hakową (kołek), a potem trawers 10 m (VI) pod okap i pomarańczowe bloki u stóp zacięcia przecinającego całą ścianę. Na bloki od prawej i z nich do zacięcia (techniką hakową), którym kilka metrów w górę (3 nity, jedynka). Teraz w lewo trawiastymi półkami na trójkątną półeczkę pod przewieszką (stanowisko). Przez kruchą przewieszkę na płyty. (Stąd można się wycofać w lewo — 20 m techniką hakową, nit — na trawiaste zachody i nimi ze ściany). Z płyt prawą ścianą zacięcia i dalej w górę przez kruche ścianki (słabe haki, „jedyńka”, VI) na łatwiejszy teren. Kilka metrów wyżej znajduje się trawiasty zachód, którym można się wycofać w prawo ze ściany.

Z zachodu płytami w lewo na kant (skały zaczynają się wyraźnie przewieszać) i rysą w górę 10 m, a następnie w lewo do zacięcia (nit). Zacięciem w górę 2 m i znów w lewo (nit) do rysy, którą kilka metrów w górę. Wyjście w lewo na trawiasty zachodzik (IV) i stanowisko pod przełączką. Stąd zacięciem z ruchomymi chwykami w prawo w skos na niedaleki wierzchołek (III).

(W lecie 1963 próby wspinaczy krakowskich wprost z najniższych partii ściany — zob.: zdjęcie).

Maciej Włodek

Mięguszowiecki Szczyt

I wejście ścianą czołową pn.-wsch. grzędy: Andrzej Starek i Bernard Uchmański, 25—26 VIII 1964. Droga skrajnie trudna, odcinki H1 i H2, jedno miejsce H3. Ekspozycja w górnej części ściany miejscami zupełna. 8—10 godz.

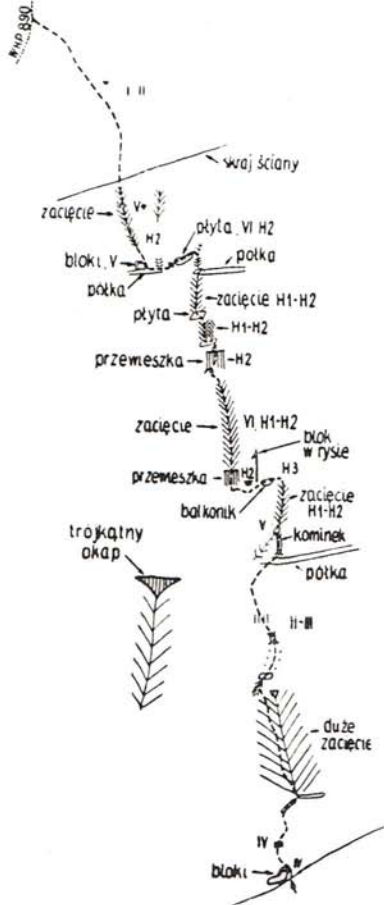
Podejście od Morskiego Oka wprost pod ścianę. Wejście w ścianę w połowie odległości między początkami dróg WHP 890 i 889. Przez odpękniete bloki w górę, nieco w le-

wo, przez ściankę (IV) w prawo i w górę w skos w prawo na półkę u dołu dużego zacięcia. Lewą ścianą zacięcia (V) na żeberko, skąd przez płytę w prawo do małej depresji. Następnie w górę przez kominek, ścianki i trawki na półkę pod górną częścią ściany (II—III). Z półki wąskim kominkiem nakrytym blokiem na stromą płytę w zacięciu (V). Zacięciem w górę do miejsca, gdzie zanikają szczeliny (H1—H2) i teraz trawers (H3) na widoczny z lewej balkonik. Z lewej strony balkoniku rysa z zaklinowanym wyżej blokiem (nie iść). Z balkoniku trawers w lewo z lekkim obniżeniem pod okapikiem — na trawiaste stopnie pod przewieszką. Przez przewieszkę (H2) do zacięcia i nim w górę (VI, częściowo H1—H2) na stopień obok bloku, już ponad zacięciem. Stąd w górę przez przewieszkę (H2) a następnie trawers w lewo po płycie do zacięcia za żeberkiem. Zacięciem

Zachodnia ściana Mnicha Małołackiego. Kropkami oznaczono wytrawersowania. Po prawej trasa prób z r. 1963.

Fot. Z. Piśkornik





Mięguszwiecki Szczyt. Schemat drogi ścianą czołową grzędą.

Rys. Bernard Uchmański

w górę na ukośną płytę i nieco w lewo do kolejnego zacięcia, którym na dużą półkę. Z półki zacięciem nieco w górę i trawers w lewo z obniżeniem po skośnej płycie (VI, H2) na półkę. Z lewego końca półki przez odpękniete duże bloki (V) i w skos w lewo do zacięcia. Nim początkowo H2, wyżej przez prożek (V+) na skraj ściany czołowej filara. Stąd po stromych trawkach na płytach w górę z odchyleniem w lewo, do połączenia się z drogą WHP 890.

Bernard Uchmański

Mięguszwiecki Szczyt

I w. lewą częścią wsch. ściany: Jan Surdel i Bernard Uchmański, 12 IX 1964. Droga nadzwyczaj trudna (V+), skała w trudnościach na ogół lita. Czas I przejścia 5 godz.

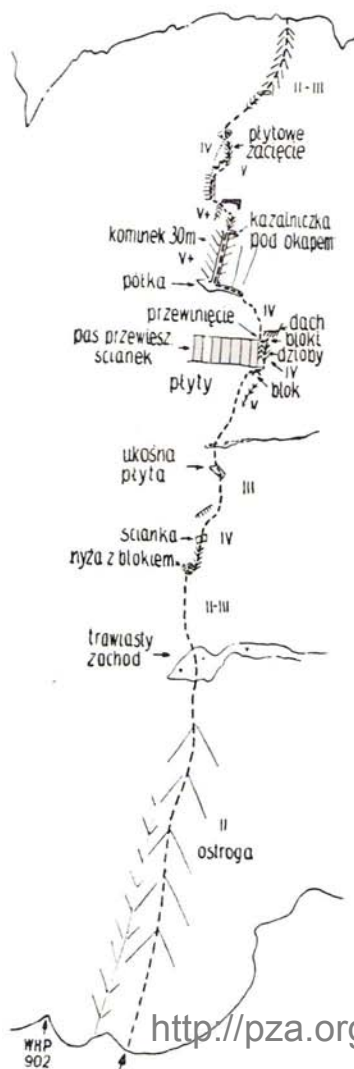
Wejście w ścianę nieco na prawo od początku drogi WHP 902. Ostrogą ok. 150 m w górę (II) na duży trawiasty zachód, w jego najszersze miejsce. Stąd w górę 30 m do płytkiej nyży, w której leży blok. Z nyży w prawo za żeberko i zacięciem przez ścian-

kę (IV) pod przewieszkę, którą mija się z prawej strony. Następnie w górę na dużą ukośną płytę. Teraz przez ścianki i stopnie pod płytową ścianą, zamkniętą u góry pasem przewieszonych skał. Ścianą obok zacięcia (na lewo od niego) w górę (V) i w prawo na wygodne stanowisko za blokiem. Parę metrów w prawo i w górę kominkiem obok dziobów skalnych na stanowisko pod dachem, między blokami. Obniżenie i przewinięcie w lewo za krawędź. Dalej przez płytową ścianą z wymyciami (IV) na dużą półkę.

Półka trawers kilkanaście metrów w lewo, do miejsca, gdzie rozszerza się ona w platformę (bloki). Teraz 30 m w górę wąskim kominkiem z tkwiącą wewnątrz piramidą bloków na kazalnicy pod okapem (V+). Stąd przez przewieszkę do niewyraźnego zacięcia, którym kilka metrów w górę, a następnie trawers po płytach w skos w lewo na siodło w żeberku (V+). Dalej jeszcze parę me-

Mięguszwiecki Szczyt. Schemat drogi lewą częścią wschodniej ściany.

Rys. Bernard Uchmański



trów w skos w lewo i w górę. Po kilku metrach trawers w prawo przez żeberko i po płytach pod przewieszkami do płytowego zacięcia, którym w górę na trawiastą platformę (V). Stąd w skos w prawo rynną na grzędę i nią na grań (II—III) obok wsch. wierzchołka.

Jan Surdel i Bernard Uchmański

Kazalnica Miękusowiecka

I wejście prawą częścią pn.-wsch. ściany Kotła Kazalnicy: Janusz Kurczab, Samuel Skierski i Andrzej Skłodowski, 27—29 VII 1964 (po uprzednim zaporęczowaniu ok. 100 m wysokości ścian, w czym brał udział także Marek Sokołowski). Droga skrajnie trudna, 12 m H3, wiele odcinków H2 i H1. Duże nagromadzenie trudności, w wypadku złej pogody — b. ryzykowna (wodospady, kamienie). 15—20 godz.

Drogę tę poświęcamy pamięci naszego towarzysza górskich wspinaczek, Jacka D. Woszczerowicza.

Wejście ok. 20 m na lewo od wielkiego zacięcia oddzielającego ścianę Kotła Kazalnicy od właściwej pn.-wsch. ściany Kazalnicy. Łatwymi skałami w górę ok. 15 m na półkę nieco na prawo od ścieku wody. W górę z odchyleniem w prawo płytowymi skałami (IV, V, H1) i niewyraźnym pęknięciem 6 m przez skośny pas przewieszek (H2—H3) na skalny stopień. W górę z odchyleniem w lewo ok. 20 m (H1, V). Charakterystyczny trójkątny okap omija się po lewej (H1—H2). Skośnym zacięciem w górę (V) i w prawo na listwę skalną. Nad nami wznoszą się płyty przecięte charakterystycznym pęknięciem w kształcie bumeranga. Pęknięciem w górę i w lewo (H3), a następnie znów w górę (H1) na skalny stopień. Skośnie w lewo rysą nad lustrem tektonicznym (V) do małej depresyjki. Obniżenie 2 m i trawers 3 m, lekko się wznosząc (VI) do niewybitnego żeberka. Nim, i przez kończącą je przewieszkę (H1) na stopień. Skośnie w lewo i w górę (V) przekraczając wodospad, i trawers 5 m w lewo.

Nad nami duże zagłębienie w ścianie, nakryte okapem, z którego ścieka woda. W górę 8 m do zagłębienia (H2). Trawers 2 m w prawo, obniżenie z pomocą liny i przewinięcie przez żeberko na skalną platformę. W górę 2 m na następną trawiastą platformę. W górę ścianką (H2) do wybitnego skośnego zacięcia z blokami. Nim skośnie w prawo (V+, H2) na stopień pod gładkim przewieszonym zacięciem, którym w górę do końca (H2) i nieco w prawo (V). Otwartą ścianą w górę z odchyleniem w prawo ok. 15 m (H2—H3) na pochyłą płytkę pod żółtymi przewieszkami, na które z odchyleniem w lewo (H3). Przewieszkami trawers 2 m w prawo (H3) i w górę na płytę (puszka z książeczką drogi).

Płytą w lewo (V+) do linii spadku wybitnego zacięcia. Obniżenie i trawers z pomocą liny w lewo na następną płytę. Niał w lewo do końca (V+) i w górę na żeberko (V+ z pomocą haka). Zeberkiem kilka metrów w górę, obniżenie i trawers z pomocą liny na stopień już nad kominem głównego ścieku wody. Obniżenie z pomocą liny 4 m do komina, tuż nad jego obrywem. Lewym ograniczeniem komina ok. 40 m (V—) na półki trawiaste i przez płytowy próg do Kotła Kazalnicy. Stąd jeszcze ok. 250 m (częściowo II) na Kazalnice.

Po pierwszym przejściu w ścianie pozostało ok. 40 haków.

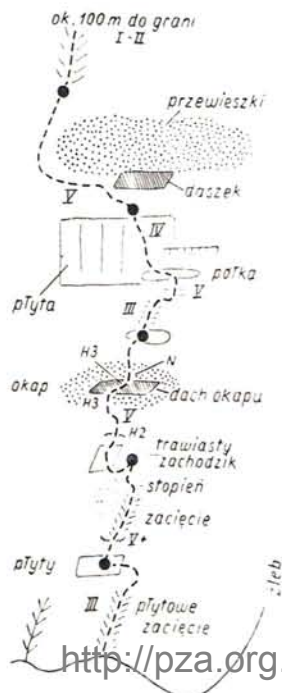
Janusz Kurczab

Ciężka Turnia

I wejście prawą częścią pd. ściany (prawy filarem): Krystyna Lipczyńska, Henryk Horak i Jan Junger, 7 VIII 1964. Droga nadzwyczaj trudna z 1 wyciągiem hakowym (H2—H3). Skała lita, jedynie dojście do okapu dość kruche. Czas I przejścia 11 godz. Opis turni i ściany — WHP VII s. 70—79.

Wejście w ścianę zacięciem prosto w linii spadku okapu, na lewo od wybitnego żeberka, którym wiedzie droga WHP 1058. Zacięciem w górę z odchyleniem w prawo, po czym trawers 3 m w lewo na półeczkę z płytą (pod przewieszkami — III). Przez przewieszkę (V+) do zacięcia. Nim w górę aż do końca i w lewo na trawiasty pochyły zachodzik. Z zachodu w lewo na eksponowaną

Droga prawą częścią pd. ściany Ciężkiej Turni.



ściankę (IV) do niewidocznego kominowatego zacięcia, którym w górę przez przewieszkę na wygodny stopień pod ścianką zakończoną okapem (H2 — V). Ścianką wprost w górę (H3) do sufitu, przez który (pozostawiony hak) aż do wyrwy i nią (2 kołki, nit) ponad okap na wygodne stanowisko. Dalej w górę z odchyleniem w prawo, potem przez załom na ściankę (V) i w górę na półkę pod przewieszkami. Półką w lewo (5 m) i ukosem w lewo w górę przez płyty pod następny pas przewieszek (V). Teraz trawers w lewo tuż pod przewieszkami (V), po czym w górę ok. 100 m łatwym terenem (żleb) aż do pd.-wsch. grani.

Jan Junger

Wielki Młynarz

I wejście lewą częścią pn.-wsch. ściany: Andrzej Nowacki i Jan Surdel, 4 IX 1964. Droga w dolnej części eksponowana, nadzwyczaj trudna. 2.30 godz.

Wejście w ścianę ok. 50 m na lewo od drogi Kurczaba. Kominem 2 wyciągi w górę, częściowo lewą ścianką (V, krucha skała). W miejscu, gdzie komin zanika, ukośnie w lewo do dużej depresji którą 3 wyciągi na siodełko w grzędzie. Dalej grzędą w górę ok. 5 wyciągów na niższy wierzchołek Wielkiego Młynarza (miejscami IV—V).

Ogólny opis ściany i podejścia — zob. „Taternik” 1-2/63.

Jan Surdel

Młynarczyk

I wejście środkową częścią wsch. ściany: Wojciech Biederman, Janusz Kurczab i Maciej Pogorzelski, 30 VIII—1 IX 1964 (pouprzeźdźnięciu zaporęczowaniu ok. 50 m ściany). Droga skrajnie trudna, 3 m H4, 8 m H3 i ok. 80 m H2. Niezwykła ekspozycja, skała miejscami krucha. 20—25 godz.

Mało wybitny czubek Młynarczyka, będący zakończeniem wsch. grani Wielkiego Młynarza, obrywa się do Doliny Białej Wody 300-metrową pionową, miejscami przewieszoną ścianą. Jej prawa część, zwrócona nieco ku pn., jest poprzeczana kosówką i nieco mniej stroma. Wiedzie nią droga Nyki, Rudnickiego i Szurka z r. 1960 („Taternik” 2/61, s. 89). Środkowa i lewa część ściany tworzy jednolite skalne urwisko, opadające na trawiasto-płytowy zachód wznoszący się w lewo.

Na zachód ten wchodzi się od prawej przez ścianki i kosówki (III). Zachodem w lewo obok jaskini, nieco poza linię spadku wierzchołka Młynarczyka, na lewy skraj pasa kosówek pod ścianą (II). Stąd w górę i w prawo kilka metrów na terawistą półeczkę, po czym skośnie w lewo na następną półkę (IV). Niał kilka metrów w lewo i w górę do przewieszzonego zacięcia (V z pomocą haka). Za-

cięciem niemal do jego końca, gdzie przewinięcie w lewo na ściankę (VI—) i kilka metrów skośnie w lewo na płytkę. (Tuż na lewo od nas widnieje wielka szara płyta dachówkowato uwarstwiona — droga nią nie idzie). Dalej skośnie w prawo na następną płytkę i przewieszoną ściankę 10 m w górę (H2), a potem skośnie w lewo (VI) do charakterystycznej rysy przecinającej dolną część ściany i wznoszącej się lekko w lewo (mała kazałniczka z blokiem).

Rysą ok. 25 m w lewo (H2, V+, H3) do linii czarnych ścieków spod okapów. Ściekiem, miejscami nieco w lewo od niego, w górę do ukośnej rysy pod pasem przewieszek, biegnącej w górę i w prawo (H3, H4, H2). Początkowo rysą w górę (H2) a następnie szczeliną w pasie przewieszek, który ją nakrywa (H2), aż pod wyrwę w okapach. Tutaj trawers w prawo na przeciwległą ściankę (H2), przewinięcie w prawo za kant i 4 m w górę (H1) na trawki. Stąd skośnie w prawo przez ściankę (IV) i dalej w tym samym kierunku ok. 20 m do nędzy ze szczeliną (dobre miejsce biwakowe — nieco wcześniej widać możliwość wycofania się ze ściany płytową półką z kosówką w lewo na grzędę).

Z nędzy w prawo i w górę ścianką (V). Nad nami znajduje się wielka platforma z blokami nakryta przewieszonymi płytami, tworzącymi podwójne zacięcie. Trawiasto-skalistym terenem skośnie w prawo. Ok. 15 m na prawo od owej platformy w górę z silnym odchyleniem w lewo splekanymi skałami o pomarańczowym zabarwieniu (VI, H3, VI) 35 m na płytę z lustrem tektonicznym pod przewieszonymi skałami. Płytą nieco w górę a następnie skośnie w prawo gładką ścianką (VI) do niewyraźnego kominka. Nim w górę i ścianką na stanowisko pod przewieszonym blokiem szczytowym Młynarczyka, ok. 80 m wysokości.

W górę szczeliną, biegnącą środkiem bloku 25 m (H2) do charakterystycznej poziomej szczeliny, dobrze widocznej z dna doliny. (Istnieje możliwość wydostania się stąd wprost na wierzchołek, co stanowiłoby wariant efektowny i logiczny. Przy pierwszym przejściu z powodu późnej pory i wiatru zdecydowano się na wytrawersowanie z bloku szczytowego i połączenie się z drogą wiodącą prawą częścią ściany). Szczeliną w prawo (H2) i za kant do kominka (H2/H3). Nim w górę (V z pomocą haków) do kociołka podszczytowego. Kociołkiem w prawo i bez większych trudności na grań, którą w lewo na wierzchołek Młynarczyka.

Janusz Kurczab

Zabi Mnich

I wejście lewą połączy zach. ściany niższego wierzchołka: Andrzej Jankowski i Jan Łącki, 3 IX 1964. Droga nadzwyczaj trudna, 4 m H2, miejsce H3. 5 godz.

(A). Wejście w ścianę na prawo od buli skalnej, w linii spadku charakterystycznego zacięcia ponad płytami dolnej części ściany. Stopniami skalnymi pod komin pomiędzy bulą a otwartą ścianą. Zanikającym skalnym zachodnikiem w prawo kilka metrów, po czym, lawirując w b. trudnym terenie, mniej więcej wprost w górę na lewy skraj potężnej trójkątnej płyty u stóp wspomnianego zacięcia. Stąd:

Albo (wycofanie się ze ściany, V+): (B) trawers w lewo na krawędź filara i obniżenie z ostrzeżonej iglicy skalnej do drog. pn.-zach. kominem;

Albo (V+, 4 m H2, miejsce H3): (C) krok w lewo w górę na stopień w krawędzi żeberka ograniczającego z lewej strony zacięcia; 3 m wprost w górę (V+, H2), po czym 2 m trawers w prawo i znów w górę na stopieńki ponad pionwą ścianką (H2—H3, V+), skąd w prawo w górę okraczając głęboką rysę na skośny obły gzyms, z którego w lewo w górę przez odpeknięty blok (V+) na mniej stromy teren;

Albo (V—, 2 m H3, 5 m H2): (D) skrajem płyty do zacięcia i nim do jego końca, po czym w lewo na mniej stromy teren.

Można stąd nie trudno (III?) wydostać się na lewy filar zach. ściany (0: w lewo w górę do podłużnej pionowej depresji i nią wprost w górę na krawędź filara do dr. 1132 WHP, już poza zasadniczymi trudnościami.

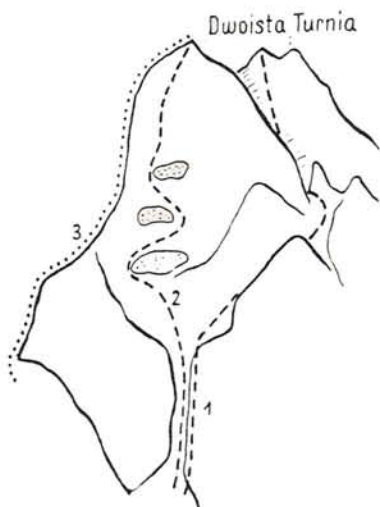
(F) W górę z odchyleniem w prawo przez niskie ścianki i stopnie na wygodny gzyms skalny; z jego prawego skraju pod przewieszką i przewinięcie w prawo, po czym w górę na trawiastą platformę (częściowo IV+). Stąd już dość dowolnie w pobliżu filara na niższy wierzchołek Zabiego Mnicha.

A i próba D, po czym B i dr. WHP 1132 na wierzchołek: Jan Łącki z grupą alpinistów radzieckich, VII 1958.

I wejście (ACF) — zob. wyżej.

II wejście (ADF): J. Hirszowski, R. Kowalewski, Z. Pałucha i S. Skierski, 2 X 1964.

Jan Łącki



Dolina Wielicka

Wielicka Ściana

I wejście zach. żebrzem i ścianą szczytową: Maria Rewaj, Tadeusz Piotrowski, Zdzisław Prusisz i Tadeusz Rewaj, 6 VIII 1964. Droga częściowo nadzwyczaj trudna, skała pewna. 4 godz.

Nad pn.-wsch. brzegiem Wielickiego Stawu góruje wybitna turnia przesłaniająca częściowo Dwoistą Turnię (2313 m) i opadająca ku dolnemu piętru Doliny Wielickiej wybitną ścianą z trzema jasnymi plamami, w słowackiej literaturze określaną mianem „Wielickiej Ściany” (Velická stena). Droga wiedzie lewym ograniczeniem widocznej od stawu ściany, początkowo żebrzem, a następnie filarem gubiącym się w szczytowym spiętrzeniu.

Od ścieżki turystycznej wiodącej na Polski Grzebień odchodzimy tuż nad progiem w prawo do miejsca, gdzie skały grzędy schodzą najniżej w piargi (na prawo od żlebu). Stąd łatwo trawiasto-skalistym terenem na siodełko pod uskokiem. Ścianą czołową lub lewym ograniczeniem uskoku (IV) na trawiastą płaszczyznę pod następnym uskokiem. Teraz lewą krawędzią, bądź ukosem w prawo (IV) na spiętrzenie i z niego nieco w dół na siodełko. Następne spiętrzenie ma szeroką ciemną ścianę czołową zwróconą ku Wielickiemu Stawowi. Lewym ograniczeniem tej ściany (III) 80 m w górę na spiętrzenie i w dół na ostro wcięte siodełko. Omijając od lewej małą turniczkę, w górę na ostatnie spiętrzenie i z niego pod ścianę, w której się żebro zatraca.

W poprzek Wielickiej Ściany biegnie stąd w prawo szeroki trawiasty zachód. (Znajdujemy się niemal na poziomie najniższej jasnej plamy widocznej od stawu). Na lewo od owej plamy-wylomu (20—30 m) w przedłużeniu żebra w górę na trawiasty stopień pod skalnym płytowym spiętrzeniem ściany. Stąd ukośnie w prawo 10 m i w górę eksponowanymi, dobrze uwarstwionymi skałami na szeroki poziomy trawnik. Z jego prawego końca wprost w górę rodzajem płytkiej skalistej rynny pod spiętrzeniem występującego ze ściany filarka. Z lewej strony płytkim skalistym zacięciem pod przewieszką i dalej otwartą ścianą 20 m w górę (od przewieszki V i duża ekspozycja) na łatwiejszy teren, którym kilka metrów na obszerny trawnik. Stąd łatwo 10 min. na szczyt turni.

Maria i Tadeusz Rewajowie

Schemat Wielickiej Ściany. Drogi: 1. W. Birkenmajera. 2. I. Gálffy'ego i tow. 3. T. Piotrowskiego i tow.

Itineraria tatrzańskie

Główna grań Tatr

Od Zdziarskiej do Huciańskiej Przełęczy. Przejścia dokonał Mirosław Bądryński z Ryszardem Skowrońskim (po Wagę) oraz w jednym dniu z Małgorzatą Szybowską, 6—20 VIII 1964.

Kalendarium. 6 VIII Zdziarska Przełęcz — Barani Zwornik. Biwak w Dol. Pieciu Stawów Spiskich. 7 VIII Lodowy Szczyt — Mały Ostry. Biwak w Dol. Staroleśnej. 8 VIII Jaworowa Przełęcz — Zawracik Rówienkowy. Biwak w Dol. Staroleśnej. 9 VIII Granasta Turnia — Polski Grzebień. 10 VIII Polski Grzebień (opady ciagle). 11 VIII Wielicki Szczyt — Zadni Gierlach. Biwak nad Batyżowiecką Przełęczą. 12 VIII Batyżowiecki Szczyt — Wsch. Szczyt Żelaznych Wrót. Biwak w Żelaznej Kotlinie. 13 VIII Zach. Szczyt Żelaznych Wrót — Ganek. Biwak w Dol. Rumanowej. 14 VIII Wysoka — Rysy. Biwak w Kotlinie pod Wagą. 15 VIII Kotlina pod Wagą (opady ciagle). 16 VIII Zabia Turnia Mieguszwiecka — Cubryna. Biwak w Dol. Piarzyskiej. 17 VIII Zadni Mnich — Kasprowy Wierch. 18 VIII Przełęcz pod Kopą Kondracką — Raczkowa Przełęcz. 19 VIII Starobociański Wierch — Jarząbce. Biwak w Dol. Jarząbce. 20 VIII Wołowiec — Siwy Wierch.

Warunki atmosferyczne przejścia były b. ciężkie. W ciągu 10 dni opady, w 3 dniach całkowicie lub częściowo uniemożliwiające marsz. Przez pozostały okres mokro, z urozmaiceńiami w postaci resztek śniegu, mgły lub halnego.

Z powodu złej pogody, aktualnej sytuacji taktycznej oraz rezygnacji R. Skowrońskiego na Wadze, trzeba było pominąć niektóre szczyty (Papiusowe Turnie, Śnieżny Szczyt, Krzesanę Róg, Dziką Turnię, Kaczy Szczyt, Śnieżną Kopę, Pośredni i Mały Ganek, Ciężki Szczyt, Zabi Koń, Kopa pod Wrotami, Łopata). Od Wagi przejście kontynuowano wariantami co najwyżej nieco trudnymi.

Sprzęt: lina nylonowa 55 m, 4 haki, 4 karabinki, 4 pętle, śpiwór kryty ortalionem i „noga słońca”, płachty biwakowe itp. Wskutek konieczności niemal ciągłej asekuracji, całkowicie przetarto „koszulkę” liny, a płachta i śpiwór nie wytrzymały wielogodzinnych deszczów. Obuwie („Rvzy”) uległo zniszczeniu.

Dolegliwości żadnych nie odczuwano, poza pokaleczeniami opuszek palców, przejściowymi odparzeniami od plecaka oraz sporadycznymi skurczami mięśni przedramion w siódmym dniu. Zaobserwowano obniżenie się ogólnej kondycji w pierwszych dniach, a następnie jej wzrost i stabilizację na poziomie nie niższym od początkowego. Widoczne było wyraźne obniżanie się formy rano oraz jej zwykła popołudniowa. Najbardziej wyczerpujące okazały się długie, jednostajnie łatwe odcinki.

Mirosław Bądryński

Główna grań Tatr

Od Zdziarskiej do Huciańskiej Przełęczy: Ryszard Szafirski i Adam Zyzak, 28 VIII — 2 IX 1964 (6 dni).

Kalendarium. 28 VIII Zdziarska Przełęcz — Lodowa Przełęcz Wyżnia. Biwak pod Śnieżną Przełęczą. 29 VIII Lodowy Szczyt — Polski Grzebień. Biwak przy Wyżnich Wielickich Stawkach. 30 VIII Wielicki Szczyt — Mały Ganek. Biwak nad Rumanowym Stawkiem. 31 VIII Wschodnia Rumanowa Przełęcz — Wrota Chałubińskiego. Biwak nad Wyżnim Ciemnomręczyńskim Stawem. 1 IX Wrota Chałubińskiego — Tomanowa Przełęcz. Biwak pod Tomanową Przełęczą. 2 IX Tomanowa Przełęcz — Siwy Wierch. Biwak w Suche Dolinie. Szczegółowe horarium obejmujące 174 notowaniu czasu jest w posiadaniu ZG KW.

Sprzęt i ekwipunek dobraliśmy do taktyki przejścia. Posiadaliśmy m. in.: linę nylonową 40 m i 8 mm średnicy, 4 pętle, 3 lekkie karabinki, 5 haków, 1 młotek, 2 śpiwory, 4 płachty polietylenowe, palnik „Dęba”, 2 mezażki z osłonami, 2 plecaki (tzw. horolezki). Żywność: 1 kg mleka w proszku, 1,5 kg cukru, 3 puszki konserw wołowych, 100 g kakao, 10 torebek kawy „Marago”, 2 paczki herbaty, 20 paczek zup, 1,5 kg suszonych winogron, 2 kg słonych precelków, 1 puszka groszku zielonego, 1 słoik ogórków konserwowych, 1 puszka pasty pomidorowej, 1 kg makaronu, 1,5 kg jabłek, 1 kg pomidorów, sól i zapalaki. Benzyna 1,5 l. Założyliśmy dwa składy żywności: pod Polskim Grzebieniem i na Kopie nad Wrotami. Przy kalkulowaniu ilości jedzenia przewidzieliśmy posiłki w schronisku pod Rysami oraz na Kasprowym Wierchu. Dobór żywności był dobry, to samo dotyczy sprzętu, w którym jednak niewłaściwa okazała się rezygnacja z drugiego młotka. Nie zabierając namiotu, w przypadku dłuższego załamania pogody zakładaliśmy wycofanie się z grani.

Warunki atmosferyczne były korzystne — pierwsze dwa dni upalne, następne trzy mgliste i deszczowe, ostatni słoneczny lecz chłodny. Posuwaliśmy się w zasadzie granią, od której ogólnie biorąc nie oddalaliśmy się bardziej, niż na długość liny. 7-dniowa ważność przepustki zmusiła nas do pominięcia niektórych mniej ważnych wierzchołków: części Papiusowych Turni i Zbójnickich Turni, Baraniego Zwornika Niżniego, Małej Śnieżnej Kopy, Pośredniego i Małego Ganku, Zadniego Mnicha, a także kilku odcinków grani, m. in. uskoków Wschodniego Szczytu Żelaznych Wrót, Krzesanego Rogu i Rówienkowej Turni. Asekurację stosowaliśmy na Ostrych Szczytach, uskoku Małej Wysockiej, Wielickim Szczycie, całej Batyżowieckiej Grani, Żłobistym, Rumanowej Przełęczy, Wysockiej, Zabim Koniu i w Kominie Martina.

Ze względu na brak wody i śniegu na grani, biwaki zakładaliśmy w górnych piętrach dolin. Na stosunkowo krótki czas przejścia złożyły się m. in. następujące czynniki: 1. dokładna znajomość grani; 2. dobre rozplanowanie sprzętu, żywności i składów; 3. na ogół sprzyjająca pogoda; 4. przyjęcie jednostajnego tempa marszu, bez biegów ale i bez zwolnień.

Kondycyjnie nie byliśmy obaj zbyt dobrze

przygotowani. Najtrudniejsze wydały nam się dni pierwszy i piąty. Ogólnie jednak z każdym dniem szło nam się lepiej, co widać wyraźnie po dniu ostatnim, kiedy stać nas było na wysiłek przejścia od Tomanowej Przełęczy po Siwy Wierch. Dla przypomnienia dodajemy, że przebycie głównej grani Tatr wymaga pokonania dystansu ok. 75 km oraz ok. 25 000 m różnicy wzniesień.

Ryszard Szafirski i Adam Zyzak

Nowe drogi w Kaukazie

Kosztan-tau (5151 m)

I wejście zębem pn.-zach. ściany: Eugeniusz Chrobak, Tadeusz Łaukajtys, Jerzy Michalski i Jerzy Warteresiewicz. 19–20 VII 1964. Droga piękna o charakterze alpejskim, na ogół bezpieczna, stanowiąca b. logiczne rozwiązanie ściany. Trudności 5A.

Czwarty co do wysokości na Kaukazie, szczyt Kosztan-tau opada ku pn.-zach. ścianą o wysokości ok. 1600 m. Ściana ta tworzy nieforemny trójkąt oparty na plateau śnieżnym, stanowiącym zakończenie efektownego lodowca Kundium Miżirgi, jego czwartego spiętrzenia. Od lewej ogranicza ją pn. grań, którą wiedzie droga normalna na Kosztan-tau w skali 4B. Prawym ograniczeniem zaś jest wybitny filar z drogą o trudnościach 5A. Sama pn.-zach. ściana przecięta jest trzema wyraźnymi zebrami. Pierwszym z prawej (patrząc z lodowca) prowadzi piękna droga Simonika (5B, srebrny medal w r. 1958), drugie zebro — nieco krótsze od poprzedniego, ale groźne ze względu na barierę seraków w górnej części — pozostaje dotąd problemem. Wreszcie trzecie zebro jest przedmiotem niniejszego opisu.

Składa się ono z trzech charakterystycznych części: 1) skalnego pionowego, a nawet przewieszonego uskoku; 2) nieco łagodniejszego odcinka środkowego o charakterze śnieżno-lodowym; 3) górnego pionowego spiętrzenia skalnego z zalodzonymi depresjami, zmniejszającego nachylenie w kopule szczytowej. Zebro kończy się w pn. grani ok. 100 m od wierzchołka.

Wejście w ścianę na lewo od skalnej części podstawy zębra, terenem śnieżno-lodowym. Wzduż skalnego lewego ograniczenia zębra (patrząc z lodowca) ok. 7 wyciągów pod wyraźne żółte lite spiętrzenie skał (po prawej). Przez skały 30 m stromą rynną skalno-lodową, biegnącą nieco skośnie w prawo, a znajdującą się na lewo od owego żółtego spiętrzenia. Nad skalną barierą strome pola lodowo-śnieżne (śnieg nie związany z podłożem) prowadzą w kierunku dwóch wyraźnych zlebków zbiegających obok siebie ze skalnej górnej części zębra. Kilka wyciągów po śniegu w kierunku prawego zlebków, potem prawym jego ograniczeniem w górę terenem skalno-śnieżnym, aż do ostrza zębra. Tutaj na śnieżnej części biwak (wygodne miejsce do ustawienia namiotu). Dalej ostrzem zębra (część środkowa) ok. 10 wyciągów pod górne spiętrzenie. Tę drugą barierę przechodzi się na prawo od widocznej depresji skalno-lodowo-śnieżnej rynną, biegnącą skośnie w prawo (1 wyciąg), następnie kilka metrów trawers w prawo pod następną rynną, biegnącą w górę. Stąd wprost w górę terenem skalno-śnieżnym na spiętrzenie bariery. Dalej ostrzem zębra — tu szerokość — terenem lodowo-skalno-śnieżnym (śnieg nie związany z podłożem) na grań pn. i na wierzchołek.

J. Michalski

Miżirgi (4927 m)

I wejście środkiem pn. ściany wschodniego wierzchołka przez tzw. Bałajkę: Eugeniusz Chrobak, Tadeusz Łaukajtys, Jerzy Michalski i Jerzy Warteresiewicz, 28 VII–I VIII 1964. Droga w wielkim alpejskim stylu o różnorodnym charakterze, jedna z najwspanialszych w rejonie Bezingi. Klasyczne rozwiązanie ściany. Trudności 5B.

Północna ściana muru Miżirgi ma ok. 1800 m wysokości i jest w większości niedostępna ze względu na wiszące w niej lodowe seraki, aktywne już od wczesnych godzin rannych. Lewym ograniczeniem ściany zostały dotąd poprowadzone dwie drogi: jedna skalnym zębem zwróconym ostrzem na wsch. (droga leningradczyków z r. 1960), druga — znana pod nazwą „Zebra Plewina” — w odległości ok. 100 m w prawo, przebyta po raz pierwszy w r. 1952. Prawe ograniczenie ściany przechodzi inna droga leningradczyków, poprowadzona na Zachodnią Miżirgi — niezbyt logicznie, najpierw skalnym zębem, a następnie w prawo ścianą, ze względu na konieczność ominięcia seraków.

Środek pn. ściany przecięty jest skalnym zębem w kształcie bałajki, zatracającym się w połowie wysokości ściany. Ta charakterystyczna formacja wiedzie nasza droga. W całej jej długości można wyodrębnić 4 odmienne części: 1) Część śnieżno-lodową doprowadzającą do skalnego zębra „Bałajki” — chyba najbardziej niebezpieczną, gdyż obustronne seraki są niezwykle aktywne, a ich lawiny schodzą poprzez drogę ataku. Przebycie tego odcinka jest możliwe tylko nocą lub b. wcześnie rano. 2) Część skalną, posiadającą odcinki lodowe, w której wszystkie depresje, szczeliny i rysy są zalane twardym naciekowym lodem. 3) Pola lodowo-śnieżne poprowadzone barierami skalno-lodowymi. 4) Lodowa bariera seraków na wysokości ok. 4850 m, zagrażająca przejściu do grani szczytowej. Seraki te wyglądają niebezpiecznie, chociaż podobno obrywają się raz na kilka lat.

Z lodowca Kundium Miżirgi, z jego pierwszego spiętrzenia, w górę poprzez lawiniska. Jednowyciagową barierą skalną przechodzi się zaciełem biegnącym skośnie w prawo, wyprowadzającą na lodowe pole. Nim w górę, najpierw po śniegu, potem po lodzie ok. 6 wyciągów do widocznej wyspy skalnej. Omijając ową wyspę z prawej strony, półkiem lodowym w skalną część zębra. Półkiem najpierw 1 wyciąg po przecinającym je pas skał. Tutaj trawers 10 m w prawo i w górę 30 m do wyraźnego odstępnych bloków. Po blokach w prawo, zbliżając się nieco do pola lodowego biegnącego z prawej strony „Bałajki”. Z półki skosem w lewo w górę przez lite ścianki (1 wyciąg) i dalej z tym samym odchyleniem na lewy skraj zębra. Przekraczając wypełnione lodem rynnę w środkowej części zębra, do kruchych mocno splekanych skał.

ostrza zębra, poniżej pionowej jego części, b. lit. (ok. 6–7 wyciągów liny). Lite przewieszki omijamy trawersem w prawo (1 wyciąg) i dostajemy się pod krótki zalodzony kominek, osiągając górną część rysy, którą opuściliśmy niżej 10-metrowym trawersem. Kominkiem w górę i dalej łatwiejszym już ostrzem skalnym 70 m na pierwszą przełączkę, utworzoną przez spiętrzenie zębra. Tutaj pierwszy biwak — miejsce b. wygodne.

Nad przełączką wypiętrza się dalsza skalna część zębra, którą omija się z lewa, graniczącą między lodem i skałą (dobre chwytty w szczelinie). Następnie ok. 7 długości liny po lodzie. Lodowy trawers w prawo doprowadza znowu do ostrza zębra, którym 2 wyciągi w górę, do niewyraźnej śnieżnej przełączki (możliwość biwaku). Zalodzonymi skałami w górę 3 wyciągi, do miejsca, gdzie zaczyna się śnieżno-lodowa granka pierwszego pola lodowego. Tu drugi i trzeci biwak (zalamanie pogody) na platformie wyrąbanej w lodzie (ok. 3 godzin pracy).

Granka w górę 4 wyciągi pod spiętrzącą się barierę skalno-lodową, przez którą skośnie w prawo 2 wyciągi na drugie pole lodowe. Nim w górę z odchyleniem w lewo przez lodowy żlebek, oddzielający pole drugie od trzeciego. Tym ostatnim w górę z odchyleniem w prawo, kierując się ku najwęższej części spiętrzenia seraków. (Drugie pole lodowe ma ok. 10 długości liny, trzecie ok. 7). Barierę seraków pokonujemy w jej środkowej partii dwoma wyciągami, a następnie wydostajemy się na podszczytową gran, którą 45 min. na wierzchołek. Na grani IV biwak.

Sprzet: liny zjazdowe austriackie po 70 m. 2 repsnury po 40 m. 4 czekany, 3 miotki, 30 karabinków, 30 haków skalnych, 8 igieł lodowych radzieckich, 6 „śrub“ austriackich, 2 francuskie igły „U“, raki, kaski, 5 par okularów, 4 nogi słonia i kurtki puchowe, namiot „pamirka“, maszyna butanova z 8 zapasami paliwa, żywność na 7 dni.

J. Michalski

Dych-tau (5204 m)

I wejście prawym zębem pn.-wsch. filara pn. ściany: Jolanta Jarecka, Marek Jarecki, Piotr Młotecki, Wojciech Popławski i Andrzej Sobolewski, 19–23 VII 1964. Droga z przewagą trudności skalnych, wysokość filaru ok. 2400 m, średnie nachylenie 60–70°. Trudności 5B.

Pn. ściana Dych-tau jest od zach. ograniczona filarem o charakterze lodowo-skalnym, którym prowadzi droga Abalakowa (5B). Wsch. część ściany zamyka wybitny filar pn.-wsch. W jego środkowej partii wyodrębniają się dwa zębra, z których prawe tworzy właściwy filar, wyprowadzając na gran szczytową. Lewe zębro ztraca się w ok. 2/3 wysokości ściany w lodowo-śnieżnych polach. Prawa część filara, którą dokonano przejścia, w dolnej i środkowej partii (ok. 70% drogi) jest skalna o trudnościach V–VI, pozostały odcinek, łącznie ze wsch. granią szczytową ma charakter lodowo-śnieżny (w zasadzie łatwo). W r. 1951 grupa alpinistów radzieckich dokonała jedynego przejścia tej części ściany, wytrawersowując lewym zębem na pola lodowo-śnieżne i kończąc nimi drogę.

Wejście w ścianę nieco na lewo od wylotu dużego kruchego kuluaru, opadającego z lewej strony filara (cieknie nim woda i spadają kamienie). Skosem w prawo w kierunku dna kuluaru, którym nieco w górę, a następnie na prawa ścianę blisko dna pod przewieszki (4 wyciągi III–IV). Pod przewieszkami trawers 4 m w lewo (VI z pomocą haków) i dalej łatwiej dnem na lewą ścianę (krucho). Lewą ścianą wprost w górę do małego pola śnieżnego, którym do wielkiego kamienia. Za kamieniem rozciąga się półka ograniczona wybitnym uskokiem (od przewieszek 3 wyciągi III–IV). Uskok obchodzimy stromym zachodnikiem, biegnącym od półki skośnie w lewo (kilka metrów V) aż po pogołego zacięcia. Nim

kilkanaście metrów w górę, po czym ukośny trawers po płytach w kierunku kuluaru do wygodnej półki (od kamienia 3 wyciągi III–V). Dalej kuluar skręca w prawo, tworząc uskoki. Lodowo-skalnym uskokiem w górę 40 m pod przewieszoną lewą ścianą, skąd obniżenie wahałdem po mokrych płytach w prawo na prawą ścianę. Dalej w tym samym kierunku zachodem na krawędź filara (III–IV), którą wprost w górę do półki z blokiem, a następnie na kazalniskę u podnóża zaśnięzonego zlebu (40 m IV–V, obramowanego zębami. (Biwak).

Śnieżna granka do zlebu i jego prawą stroną 150 m po skałach i śniegu blisko ściany (kamienie) dość stromo w górę. W miejscu rozszerzenia trawers skośnie w prawo na kant zębra, którym łatwo pod 20-metrowe pole lodowe o nachyleniu ok. 50°. Polem i dalej zalodzonymi skałami i śniegiem do krawędzi tarasu (od pola 100 m. V). Od lewej krawędzi tarasu wybiega w górę zacięcie, którym 15 m na półeczkę pod okapami. Z niej trawers 5 m w prawo i dalej w górę 60 m na półkę zasłaną blokami pod szczytem kazalnisk (IV–V, miejsce VI). Biwak.

Z lewej krawędzi półki w górę i po ok. 15 m trawers w prawo na śnieżną gran w filarze (2 wyciągi IV–V). Niał pod 90-metrowy uskoki, którym przez przewieszki (krucho) na jego szczyt. Jest to kluczowe miejsce drogi — 2 wyciągi VI. Dalej ostrzem filara prosto do góry ok. 300 m przez skały i pola śnieżne do pola lodowo-śnieżnego. (Biwak). Z miejsca biwaku 250 m ostrzem filara do wybitnej turni, przez którą wprost i dalej do stromej skalno-lodowej grani. Niał do uskoku Dych-tau pokonywanego wprost (ok. 60 m IV), a potem wsch. granią ok. 2 godz. na wierzchołek.

Warunki. Co dnia w godz. 13–14 słonecznie, następnie mgła, opady śniegu, deszczu ze śniegiem i spadki temperatury do zera i niżej. Wieczorem i w nocy silne wiatry. Śnieg do godz. 10 zmrożony, później, po stopieniu się warstwy zewnętrznej, kopny i słabo związany z podłożem. W ciągu dnia wzrastające niebezpieczeństwo spadających kamieni i lawin. Trudności w lodzie stosunkowo niewielkie, w skałę — wybitne, zwiększa w środkowej części ściany. Większość odcinków skalnych o dużej stromości, skała w 70% krucha.

Andrzej Sobolewski

Północno-wschodni filar Dych-tau. Linia przerywaną oznaczono drogę gruzińską (1951).

Fot. Andrzej Sobolewski



Dnia 16 marca 1965 r. (w trakcie druku niniejszego numeru „Taternika”) zmarł w Warszawie w wieku lat 55

JUSTYN T. WOJSZNIS

członek honorowy i zasłużony działacz Klubu Wysokogórskiego, uczestnik wypraw w Wysoki Atlas, Kaukaz i Andy, zdobywca drugiego szczytu Ameryki — Nevado Ojos del Salado, członek Komitetu Redakcyjnego i opiekun „Taternika”. Cześć Jego pamięci!

Zarząd Główny Klubu Wysokogórskiego
Wydawnictwo „Sport i Turystyka”
Redakcja „Taternika”

Z życia Klubu Wysokogórskiego

KW w cyfrach

W „Biuletynie Informacyjnym GKKFiT” nr 11/1964 ukazał się obszerny materiał S. Grzybowski pt. „Analiza statystyczna organizacji sportowych i w.f. w latach 1961—63”. Wśród 33 związków sportowych omówiony jest również Klub Wysokogórski. W latach 1962 i 1963 miał on 14 kół i liczył kolejno 1191 i 1277 członków. Pod względem liczebności zajmuje w tabeli miejsce 5 od końca (najliczebniej jest PZ Piłki Nożnej — 201 077 osób, najmniejszy PZ Jeździecki — 584). Kadra instruktorska KW składa się w r. 1962 ze 145 osób, w 1963 — ze 108. Na całej liście Klub Wysokogórski jest jedynym związkiem nie posiadającym sekcji sportowych i jednym z dwóch (obok PZ Motorowodnego) bez kadry trenerskiej.

W r. 1964 Klub liczył 15 kół i — ilość z końca marca — 1346 członków.

Obóz Koła Gliwickiego

W sierpniu 1964 odbył się w rejonie Morskiego Oka obóz sportowo-szkoleniowy Koła Gliwickiego, którym kierował Tadeusz Kozubek. Mimo b. złych warunków atmosferycznych dokonano kilku interesujących wejść, m. in. środkiem pn. ściany Mieguszwieckiej.

go Szczytu, środkiem pn. ściany Zabiej Turni Mieguszwieckiej. Wariantem R na Mnichu (dwukrotnie). Tragicznie zakończył się krótki wypad K. Lipczyńskiej i H. Horaka w Tatrzy Słowackiej. W nocy z 9 na 10 VIII na skutek nagłego załamania pogody zmarli oni w czasie biwaku u końca drogi Studniński na Galerii Gankowej. Drugi — szczęśliwie zakończony — wypadek miał miejsce na Zabiej Turni. S. Cholewa i S. Wójcik wyszli o godz. 11³⁰ bez wiedzy kierownictwa obozu z zamiarem przejścia środka pn. ściany tego szczytu. W czasie deszczu jeden z wspinających się odpadł, a podczas wycofania mało doświadczony zespół nie potrafił sobie poradzić z zaklinowaną liną i musiał wzywać pomocy.

Poznaniacy na Polanie pod Wysoką

W lecie 1964 ZG KW zorganizował kilka centralnych obozów sportowych na obszarze Tatr Słowackich. Jeden z nich, kierowany przez Antoniego Gąsiorowskiego, miał bazę na Polanie pod Wysoką. Uczestnicy (wszyscy z Poznania): Jan Dobrogowski, Jan Bartoszewicz, Bożena Gąsiorowska, Krzysztof Łęcki, Zbigniew Stephan, Wojciech Wróż, Irena Długiewicz, Piotr Kintopf, Hen-

ryk Kuźmiński, Krystyna Nowicka i Ryszard Zenker. I tutaj warunki atmosferyczne były niekorzystne, przebyto jednak w sumie 15 dróg wspinaczkowych, z tego 7 nadzwyczaj trudnych i 4 skrajnie trudne. Do najlepszych należała droga Łapińskiego-Paszuchy i Orłowskiego na Galerii Gankowej (Gąsiorowski i Wróż). W dniach 10 i 11 VIII uczestnicy obozu brali udział w akcji ratunkowej na Galerii. Ze względu na niekorzystne położenie miejsca obozowania (brak kontaktu głosowego i wzrokowego z terenem wspinaczkę) zachodziła konieczność wyznaczania posterunków obserwacyjnych pod ścianami, co powodowało nieco mniejszą, niż możliwa, aktywność wspinaczkową poszczególnych zespołów, było jednak konieczne dla zapewnienia minimum bezpieczeństwa.

Obóz szczeciński

Bardzo dobre wyniki osiągnął również obóz centralny KW w rejonie Doliny Wielickiej, prowadzony przez Tadeusza Rewaję. Uczestniczyli w nim: Barbara Wóycicka, Maria Rewaj, Anna Rubczewska, Mirosław Bądryński, Andrzej Frankowski, Tadeusz Piotrowski i Zdzisław Prusisz (z wyjątkiem Frankowskiego wszyscy ze Szczecina). Łącznie dokonano kilkunastu przejść, w tym jednego pierwszego i ok. 3

pierwszych polskich. Najbardziej wartościowymi osiągnięciami są niewątpliwie: droga Barona na pd. ścianie Wschodnich Żelaznych Wrót (WHP 1461), pd. ściana Batorywieckiego Szczytu na lewo od drogi Kutty, Wielicka Ściana (zob. Nowe drogi w Tatrach). W ramach obozu M. Bądryński dokonał — częściowo samotnie — przejścia głównej grani Tatr (zob. Itineraria tatrzańskie).

Przed Walnym Zjazdem KW

Dnia 11 X 1964 odbyło się w Warszawie jesienne zebranie plenarne ZG KW, poświęcone głównie przygotowaniom do Walnego Zjazdu Klubu, którego termin wstępnie ustalono na luty 1965. Przewodniczącym zebrania był prezes KW, Leszek Łacki.

Po długiej dyskusji Plenum wyraziło sugestie, by obrady zjazdu toczyły się w dwóch płaszczyznach: obrad plenarnych i prac w komisjach roboczych. Obok stałych punktów porządku zjazdu przewidziano także dwa referaty kierunkowe: „Stan aktualny i możliwości rozwoju taternictwa” oraz „Problemy etyki i bezpieczeństwa we współczesnym taternictwie”. W celu odpowiedniego pokierowania pracami przygotowawczymi wybrano Komisję Programową Zjazdu, której przewodnictwo powierzono P. Żółtowskiemu.

W toku dalszych obrad Plenum J. Jagodziński omówił osiągnięcia sezonu letniego 1964, zaś skarbnik ZG, A. Janik — sytuację finansową Klubu, dość trudną z powodu pozaplanowanych obciążeń za wypadki w Alpach i Dolomitach.

Hanna Wiktorowska

Narada w GKKFiT

W dniu 5 XII 1964 przewodniczący GKKFiT, Włodzimierz Reczek przyjął przedstawicieli Klubu Wysokogórskiego — prezesa, Leszka Łackiego, wiceprezesa, Władysława Bieńkowskiego, i sekretarza, Jana Kowalczyka. Tematem nara-

dy były sprawy bieżące Klubu: wyjazdy zagraniczne, obozy na Słowacji, zaopatrzenie w sprzęt i wydawanie „Taternika”. Poruszono też problem właściwego ustawienia organizacyjnego KW w ramach GKKFiT. Szczególnie ważną wydaje nam się aprobatą przez przewodniczącego W. Reczka wniosku o dodatkową dotację na zorganizowanie w Zakopanem wypożyczalni sprzętu sportowego dla taterników (zob. niżej). W nadziei uczestniczył też wicedyr. Departamentu Sportu GKKFiT Jerzy Łysakowski.

Koło Sudeckie

Dzięki okolicznym górą i własnym terenom treningowym, Koło Sudeckie ma doskonałe warunki do rozwoju, jest jednak niezbyt liczebne (aktualnie 41 członków) i nie cierpi na nadmiar kandydatów. Słusznie więc podchwyciło cenny pomysł Koła Szczecińskiego i zaplanowało na lato 1965 kurs wysokokwalifikowanej turystyki górskiej, który ma spopularyzować ten piękny sport wśród pod-sudeckiej młodzieży i wyłonić chętnych do uczestnictwa w kursie taternickim sensu stricto. W ostatnich tygodniach otworzyły się też widoki na wydanie drukiem cennej z punktu widzenia dalszej ekspansji Koła pracy dra J. Kolankowskiego „Skałki sudeckie”, którą zainteresowało się wydawnictwo „Sport i Turystyka” przeprowadzając konsultacje z ZG KW.

Koło Warszawskie

Jest ono najsilniejszym liczebnie kołem KW. W listopadzie 1964 r. liczyło 335 członków, w tym 8 honorowych, 88 zwyczajnych, 120 uczestników i 97 sympatyków. Co do zaszerzowania 23 osób Koło nie miało jasnego rozeznania, gdyż ich deklaracje zaginęły. Na zebraniu wyborczym w dniu 10 XII 1964 prezesem Koła został Andrzej Zawada, wiceprezesem — Ryszard Karpiński. Se-

kretarzem jest Andrzej Smora-wiński. Cotygodniowe spotkania członków — przeważnie połączone z odczytami lub pogadankami — odbywają się w czwartki. Uczestniczy w nich każdorazowo ok. 30–60 osób.

Prace Komisji Sprzętowej

Trudna do załatwienia sprawa sprzętu wspinaczkowego zdaje się ruszać z martwego punktu. Działalność Komisji Sprzętowej ZG prowadzona jest w zasadzie w trzech kierunkach. Pierwszy, to budzenie zainteresowania wytwórców produkcją sprzętu. W tej chwili sklepy sportowe na terenie całego kraju mogą już przyjmować zamówienia na liny sztalowe i z tworzyw sztucznych, czekany, młotki i haki żelazne. W najbliższej przyszłości można się spodziewać na rynku lekkich raków i haków z blachy stalowej, podobnych do „simondowskich”. W toku są pertraktacje nad produkcją karabinków. Drugi kierunek, to gromadzenie w centralnym magazynie ZG KW sprzętu najwyższej jakości przeznaczzonego na wyprawy i obozy w górach lodowcowych. W ciągu ostatnich 2 lat otrzymaliśmy na ten cel ok. 150 000 zł z funduszy „Toto-Lotka”. Dalsze zamówienia importowe, na sumę ok. 50 000 zł są w realizacji. Trzeci wreszcie kierunek, to prace nad zorganizowaniem centralnej wypożyczalni zaopatrzonej w sprzęt podstawowy przeznaczony do działalności tatrzańskiej. Przewodniczący GKKFiT przychylnie rozpatrzył nasze skierowane w tej sprawie pismo i istnieje duże prawdopodobieństwo otwarcia takiej placówki już w lecie 1965 r. Mieścił się ona ma w Zakopanem, a prowadzona ma być przez Państwowe przedsiębiorstwo Imprez Sportowych. Preliminowana na r. 1965 suma opiewa na 250 000 zł. Szczegóły, po uzgodnieniu ich między PPIS, GKKFiT oraz Klubem, podane zostaną kołom w specjalnych komunikatach.

A.P.

Sprawy UIAA

Posiedzenie Komisji Programowej

Przed plenarnym posiedzeniem Międzynarodowej Unii Towarzystw Alpinistycznych (UIAA) odbytym w Monachium w czerwcu 1964 r. Klub Wysokogórski złożył wniosek w sprawie aktywizacji prac Unii. W oparciu o ten wniosek, Komitet Wykonawczy powołał do życia Komisję Programową UIAA, której przewodnictwo powierzono przedstawicielowi Polski. Zadaniem nowej komisji było wypracowanie programu prac Unii na najbliższą kadencję jej nowego zarządu, z uwzględnieniem potrzeb i postulatów ekspansji nowoczesnego alpinizmu światowego. Ko-

misja przedstawiła Komitetowi Wykonawczemu zarówno zadania do wykonania, jak i środki ich realizacji. Dzięki uzyskaniu przewodnictwa Komisji, Polska otrzymała możliwość kontynuowania swej inicjatywy. Należy dodać, że w skład Komisji weszli, poza Polską, wyłącznie przedstawiciele organizacji wysokogórskich krajów alpejskich, zrzeszających w sumie 800 000 członków.

W dniach 14 i 15 listopada 1964 r. odbyło się w Chamonix posiedzenie Komisji Programowej, w którym udział wzięli: dr H. von Neuhauser (Austria), J. Franco (Francja), J. Marić (Jugosławia), dr H. von Bomhard (Niemcy Zachodnie), dr E. Wyss-Dunant

(Szwajcaria, obecny przewodniczący UIAA), i G. Tonella (Włochy). Obradom przewodniczył doc. dr Paweł Czartoryski, przewodniczący Komisji Programowej, wiceprezes KW.

Przedstawiciele poszczególnych organizacji wchodzących w skład Komisji złożyli uprzednio na ręce jej przewodniczącego referaty, stanowiące podstawę dyskusji. W toku dwudniowych obrad Komisja rozpatrzyła szereg konkretnych problemów i omówiła sposoby realizacji wysuniętych postulatów. Uchwały obejmują m. in. następujące zagadnienia:

1. *Sprawy młodzieżowe i szkoleniowe.* Należy rozszerzać akcję międzynarodowych obozów szkoleniowych oraz wyciągać z nich większe korzyści, ze względu na znaczenie tego rodzaju spotkań. W tym celu zaleca się: a) opracowywanie co roku międzynarodowego kalendarza imprez młodzieżowych; b) zalecanie uczestnikom obozów młodzieżowych jak najpełniejszego wykorzystywania zdobytych doświadczeń dla dobra własnych organizacji macierzystych; c) informowanie o spotkaniach w Biuletynie Unii; d) wezwanie krajów niealpejskich do jak najszerzej współpracy z Komisją Młodzieżową Unii.

2. *Wyprawy, fizjologia na dużych wysokościach.* Poleca się a) opracowanie bibliografii prac na temat fizjologii na dużych wysokościach oraz zastosowania aparatów tlenowych w alpinizmie; b) przygotowanie pracy streszczającej ogół doświadczeń w tych dziedzinach, a przeznaczanej dla alpinistów niebędących fachowcami z tego zakresu.

3. *Ochrona przyrody.* Uznając szczególną wagę zagadnień ochrony przyrody górskiej, Komisja postanawia: a) zaproponować objęcie przewodnictwem Komisji Ochrony Przyrody Unii prof. dr Waleremu Goetlowi, który jest wybitnym specjalistą w tym zakresie i członkiem analogicznych komisji międzynarodowych; b) zorganizować kongres poświęcony ochronie przyrody z okazji jednego z najbliższych posiedzeń plenarnych Unii.

4. *Służba ratownicza.* Komisja wyraża życzenie, by IKAR (ostatnio samodzielna organizacja krajów alpejskich zajmująca się sprawami ratownictwa górskiego) powróciła do Unii Towarzystw Alpinistycznych. Unia winna od razu zająć się kolportażem publikacji IKAR-u oraz wymianą wszelkich innych publikacji organizacji członkowskich na tematy ratownictwa.

5. *Biuletyn Unii — wymiana informacji.* Komisja podkreśla znaczenie regularnej wymiany informacji między Unią i jej członkami. Zaleca przeto: a) nadanie biuletynowi Unii charakteru organu przynoszącego regularnie informacje pożyteczne i ciekawe dla wszystkich organizacji alpinistycznych; b) zainicjowanie serii wydawnictw Unii zawierających w pierwszym rzędzie rezultaty prac poszczególnych jej komisji; c) powołanie

przez przewodniczącego Unii odpowiedniego redaktora jej biuletynu (wskazuje się osobę G. Tonelli).

Wyniki konferencji Komisji Programowej UIAA należy ocenić z jednej strony w świetle dotychczasowej działalności tej organizacji, z drugiej zaś w świetle aktualnych potrzeb międzynarodowych alpinizmu. Z pierwszego punktu widzenia konferencja jest poniekąd przełomowa, gdyż po raz pierwszy został wytyczony dla Unii konkretny program działania, co więcej — wydaje się, że zdolano zaktywizować szereg poważnych organizacji i kierujących nimi ludzi do wspólnego i pożytecznego wysiłku. Z drugiego punktu widzenia można by się spodziewać znacznie większych wyników (program przedłożony przez Klub Wysokogórski był też szerszy), jednakże przy obecnych możliwościach personalnych Unii starano się uniknąć programu deklaratywnego, bez szans realizacji.

Wreszcie podkreślić należy aktywną rolę Klubu Wysokogórskiego w pracach nad aktywizacją Unii. Polska wchodząc do Komitetu Wykonawczego, przewodnicząc Komisji Programowej, i — gdyż prof. dr Walery Goetel przyjął już wysuniętą propozycję — również Komisji Ochrony Przyrody Górskiej UIAA, będzie miała pełną możliwość kontynuowania swych wysiłków i czuwania nad realizacją obecnych uchwał, a także podejmowania dalszych inicjatyw w przyszłości.

Paweł Czartoryski

Nowy prezes UIAA

Z rokiem 1965 obejmuje prezesurę UIAA Szwajcar dr Edouard Wyss-Dunant. Urodzony w r. 1897, od czasu studiów przemierza on we wszystkich kierunkach Alpy, wędrował też po górach Afryki, Meksyku, Grendanii i Azji, gdzie m. in. kierował szwajcarską wyprawą na Mount Everest, zbierając obserwacje i doświadczenia, które później w znacznym stopniu przyczynić się miały do sukcesu Anglików. Polskę i nasze Tatry poznał w lecie 1964 r. (zob. s. 130). Świetnym talentem organizatorskim wykazał się dr Wyss-Dunant na stanowisku prezesa Club Alpin Suisse, gdzie zajął obecnie jego miejsce A. Egger.

Ustępujący obecnie prezes UIAA, C. Egmond d'Arcis, pełnił swój urząd nieprzerwanie od założenia Unii w r. 1932.

Następny numer „Taternika“ — 1/2 r. 1965 — będzie poświęcony polskim wyprawom w Hindukusz.

Karta żałobna



Andrzej Stanoch

Andrzej Stanoch już jako kilkunastoletni chłopiec zaczął uprawiać turystykę. Z powodu młodego wieku przyjęty w drodze wyjątku do Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego wydeptuje szlaki Beskidów i Tatr przez pierwsze powojenne lata. Szybko jednak powszednieją mu znakowane ścieżki. Wtedy zaczyna się wspinać i wstępuje do Klubu Wysokogórskiego (ówczesnej Sekcji Alpinizmu ZG PTTK).

Rozpoczyna ożywioną działalność taternicką. W latach pięćdziesiątych przechodzi szereg wysoko wówczas notowanych ścian w Tatrach Polskich i Słowackich — zarówno zimą, jak i latem. Mimo sukcesów pozostaje wierny turystyce i często można go spotkać w Gorcach, Bieszczadach czy Babiej Górze...

Zimą oprócz taternictwa uprawia intensywnie narciarstwo i to nie tylko na ubitych trasach Kasprowego Wierchu ale także i w Beskidach. Jego zainteresowania górami mają charakter wszechstronny. Gromadzi pokaźną biblioteczkę o tematyce górskiej, fotografuje i pokazuje swe prace na wystawach. Kilkakrotnie członek Zarządu Koła Krakowskiego KW, wyróżnia się w pracy organizacyjnej sumiennością i pracowitością. W Zarządzie Głównym pracuje jako członek Komisji Szkoleniowej, a ostatnio jako jej przewodniczący, wnosząc niemały wkład w działalność dydaktyczną Klubu. Długoletni instruktor, szkolił

adeptów na wielu kursach skałkowych i tatrzańskich, pełni funkcję kierownika kursów, obozów.

Jako kolega bezpośredni, poważny a przecież pełen humoru w najprzekrzeszszych sytuacjach zachowuje równowagę i spokój oraz umiejętność współżycia i współpracy. Intensywna działalność górską nie przeszkadzała mu w osiągnięciu wyników w pracy zawodowej na stanowisku starszego asystenta Wyższej Szkoły Rolniczej, gdzie był również lubianym kolegą i współpracownikiem.

Ukoronowaniem jego działalności górskiej były wyjazdy w Kaukaz (1958), Piryn (1959), Alp Julijskie (1961) i Alpy Szwajcarskie (1962 i 1963). Miał tam szereg osiągnięć sportowych, jak chociażby wejście środkowym filarem północnej ściany Piz Palù w r. 1962 („Taternik” 1-2/63, s. 53). W lecie 1963 uczestniczył w próbie przejścia północno-wschodniej ściany Piz Badile („Taternik” 1—2/64, s. 61).

Nie zapomniał przy tym o Tatrach. Corocznie uczestniczył w obozach Klubu dokonując wartościowych powtórzeń wielu dróg (np. pierwsze polskie przejście prawej połaci zach. ściany Łomnicy zimą 1961). Problemów szukał wszędzie, czego ilustracją może być uczestnictwo w pierwszym przejściu filara Sokolicy w Pieninach w 1960, („Taternik” 1/61, s. 46), nie licząc wielu nowych dróg w Skałkach Podkrakowskich. Na lato 1964 projektował i przygotowywał wyjazd w Alpy. Cieszył się na ten wyjazd mówił o ponownym spotkaniu z Piz Badile i urzekających go ścianach i szczytami.

Ciężko ranny w wypadku motocyklowym w centrum Krakowa w dniu 27 V 1964, zmarł nazajutrz. Zył lat 29, z czego tyle spędził w górach z nami — dobry kolega, wartościowy człowiek i trudny do zastąpienia przyjaciel.

Stanisław Urbański

Janusz Olszewski

Urodził się 25 VII 1941. Studia, które rozpoczął w 1958, były bardzo ściśle powiązane z jego górkimi zainteresowaniami. Ukończył je jako pierwszy student swego roku i uzyskał tytuł magistra inżyniera na wydziale geologicznym AGH w Krakowie.

Posiadał wielkie zdolności muzyczne. Grał na wielu instrumentach a nawet komponował. Osobna dziedzina jego działalności to fotografia. Przede wszystkim górską, prócz tego krajobraz i portret. W tydzień po jego śmierci w zakopiańskim Klubie MPiK została otwarta interesująca wystawa jego górskich fotografii. Od kilku lat pisał. Ostatnio były to już dojrzałe opowiadania o bar-



dzo szerokiej tematyce. Od gór począwszy, poprzez wspomnienia z praktyk geologicznych, aż po nadrealizm i fantazję naukową. Pisał również scenariusze filmowe. Interesował się żywo psychologią i filozofią, miał duże zdolności matematyczne i lingwistyczne...

Na pierwszym planie były jednak zawsze góry. Zetknął się z nimi już jako mały chłopiec. W wieku lat 14 poszedł pod opieką starszych na pierwszą w życiu wspinaczkę. Kiedy ukończył 18 lat, zapisał się na kurs skałkowy. W 1959 został członkiem uczestnikiem Klubu Wysokogórskiego a w 1961 członkiem zwyczajnym. Umiejętności taternicze przyswajał sobie stosunkowo wolno, ale odznaczał się nieprzeciętnym uporem w zdobywaniu coraz to trudniejszych dróg tatrzańskich. Ostatecznie doszedł do bardzo dobrych wyników i Koło Krakowskie umieściło go na liście wytypowanych na wyjazdy zagraniczne. W ciągu paru lat swej działalności przeszedł wiele pięknych i długich dróg w Tatrach, takich jak prawy filar wschodniej ściany Rysów czy środek ściany Kazalnicy. Najlepsze osiągnięcia, to przebyty w ostatnim sezonie letnim lewy filar Kazalnicy i nowa droga na teźle ścianie, wiodąca na lewo od znanej drogi Długosza i Momatiuka — skrajnie trudna, z miejscami H4. Prócz tego przejście słynnego „wariantu R” na Mnichu, drogi Łapińskiego i Paszuchy na teźle ścianie, wschodniej ściany Mniszka, filara Mięguszwieckiego Szczytu, północnej ściany Zabiego Konia i wielu innych. Zimą przeszedł m. in. filar Kopy Spadowej, północno-zachod-

nią ścianę Niżnich Rysów i ostatnią swą drogę — lewy filar północno-wschodniej ściany Cubryny.

Studiował bardzo dokładnie topografię i przyrodę Tatr. Był czynnym członkiem Straży Ochrony Przyrody. Wspinał się chętnie z początkującymi kolegami. Najbardziej lubił przesiadywać w Morskim Oku. Zналиśmy go ze schroniska i z gór, przeważnie pod imieniem „Fafique”. Zginął tragicznie 17 kwietnia 1964 schodząc z Cubryny zachodem Abgarowicza. Przedwczesna śmierć nie pozwoliła na pełne rozwinięcie jego nieprzeciętnych zdolności w wielu kierunkach. Nie pozwoliła mu również osiągnąć wyników w górach wyższych niż Tatry, o których zawsze marzył. Żył tylko 22 lata. Tym, którzy go dobrze znali, nic nie zastąpi wielogodzinnych dyskusji z nim i nie wypełni pustki w górach jaka po nim pozostała.

Barbara Srebro



Wojciech Biederman

Życie nie szczędziło mu trudności. Mimo długotrwałej choroby nóg, zmuszającej go do posługiwania się przez jakiś czas kulami, Wojciech Biederman już w latach szkolnych, wkrótce po wyzdrowieniu, próbował sił w samotnych wspinaczkach na skałach Przrądek w pobliżu Odrzykonka. Tak zaczęła się jego bogata lecz niestety krótka, działalność górską.

Urodzony 10 VII 1942 r. w Chodorowie (pow. Bóbrka), ukończywszy Liceum Ogólnokształcące w Krośnie, przeniósł się do Wrocławia, gdzie przez niespełna rok pracował jako laborant w Przemysłowym Instytucie Elektroniki, mieszkając razem z bratem Jerzym, podówczas jednym z najlepszych taterników. Niewątpliwie też pod wpływem górskiej śmierci brata w grudniu 1959 r. („Taternik” 2/1960) Wojtek postanowił — w miarę możliwości — swój wolny czas poświęcić taternictwu. Od wiosny 1960 począł więc, mimo trudności finansowych, systematycznie wyjeżdżać w Góry Sokole, by początkowo poznawać, a rychło doskonalić umiejętności wspinaczkowe. Tu właśnie w Skałkach Janowickich, ujawnił się jego wielki talent wspinaczkowy, gdy Wojtek klasycznie pokonywał wiele dróg przechodzonych dawniej z użyciem sztucznych ułatwień. Tu ujawniło się jego duże wyczucie skały, wielka efektywność i efektywność stylu. W lecie 1960 po raz pierwszy wspiął się w Tatrach, przechodząc m. in. południowy filar Ostrego Szczytu, uskok Spągi, oraz grań od Małego Kościoła po Żółtą Ławkę. Stopniując trudności, w lutym 1962 zwrócił się ku taternictwu zimowemu, zdobywając środek północno-wschodniej ściany Cubryny. Jednocześnie odkrył dla siebie nowy świat — Tatr podziemnych, uczestnicząc w odkrywczej wyprawie Klubu Turystycznego z Wrocławia do Jaskini Czarnej, do której wrócił jeszcze, oddając wielkie usługi jako doskonały wspinacz skalny. Lato 1962 przyniosło Wojtkowi kolejne podwyższe stopnia taternickich kwalifikacji. Przeszedł wtedy m. in. środek ściany Kazałnicy Mięguszwieckiej, filar Mięguszwieckiego Szczytu, najtrudniejsze drogi na Zadnim Mnichu, wschodnią ścianę Mniszka, kant hakowy Mnicha oraz drogę wiodącą środkiem północnej ściany Zabiego Szczytu Wyżniego.

W 1963 r. zaatakował ściany o najwyższym już stopniu trudności. Początkiem tego było jednodniowe przejście direttissimi Mięguszwieckiego Szczytu 16 lutego 1963. W tym samym sezonie zimowym przeszedł jeszcze północno-zachodnią ścianę Niżnich Rysów i filar Mięguszwieckiego Szczytu (również w jeden dzień). W lecie 1963 poznał wszystkie drogi na Zamarłej Turni, wariant „R” oraz drogę Łapińskiego na Mnichu, środką północnych ścian Wołowej Turni i Zabiej Turni Mięguszwieckiej. Z kolei zima 1964 przyniosła mu nowy sukces: w dniach 22 i 23 lutego dokonał pierwszego wejścia zimowego lewą połączoną wschodniej ściany Mnicha. W lecie zaś tego roku stał się m. in. współautorem pierwszego wejścia środkiem wschodniej ściany Młynarczyka (s. 113). 4 IX 1964 zginął wskutek odpadnięcia podczas wspinaczki drogą Orłowskiego na Galerię Gankową, tuż przed zakończeniem obozu, którego był uczestnikiem.

Był człowiekiem o ogromnej wrażliwości i głębokiej dobroci. Zadziwiał skromnością i uczynnością, znana była jego życzliwość dla kolegów, których zjednywał sobie bezinteresownością i naturalnością postępowania. Skrupulatny i sumienny, w doskonały sposób wywijał się z zadań, jakie nakładała nań przynależność do zarządu Koła Wrocławskiego KW. A przecież czas przede wszystkim poświęcał studiom na Wydz. Mechanicznym Politechniki Wrocławskiej, godząc z tym aktywną działalność w Studenckim Stowarzyszeniu Naukowym oraz dorywczą pracę zarobkową.

Był świetnym taternikiem. To, co początkowo, w r. 1960, było — jak się wydaje — kwestią jedynie ambicjonalną, stało się z czasem pasją jego życia. „W tej pasji wyzwalały się najlepsze cechy jego charakteru: wierność, odwaga, ofiarność i prostota. Ale za wielkie pasje płaci się życiem...”

jkq

Film górski

Chińskie filmy alpinistyczne

W sporej produkcji chińskich filmów dokumentalnych i oświatowych można znaleźć niekiedy tematykę związaną z rejonami góorskimi tego wielkiego kraju — głównie Tybetem i Turkiestanem Wschodnim. Obraz gór jest w tych filmach najczęściej elementem przypadkowym, tłem relacji o sprawach gospodarczych, inwestycyjnych czy folklorze. Czasami jednak udaje się uważnemu obserwatorowi wyłuskać filmy w całości lub części związane z coraz to silniejszą ekspansją chińskiego alpinizmu, wyrażającą się w takich

sukcesach, jak zdobycie Everestu od północy, pokonanie ostatniego szczytu ośmiotysięcznego, Shisha Pangma, czy też kilku już zdobytych w masywach Pamiru Kaszgarskiego i Kueń Łuń.

Dwuaktowy film „Na szczycie świata”, który znalazł się jako dodatek w repertuarze polskich kin, relacjonuje na barwnej taśmie zorganizowaną w gigantycznej skali wyprawę na Everest od północy. Większość wykorzystanych w filmie materiałów przedstawia raczej partie niższe — życie w bazie na lodowcu Rongbuk, codzienną zaprawę alpinistów. Nieliczne zdjęcia z partii szczytowych (na

wierzchołku kamera się nie znalazła), filmowane zapewne z obozu na wysokości 8500 m, wydają się nawet dramaturgicznym dysonansem, a film w całości budzi raczej uczucie zawodu. Okazja zaprezentowania fascynującego i budzącego sprzeczne opinie wydarzenia, została wykorzystana w sposób niedbały i nie ciekawy.

W innym chińskim filmie dokumentalnym — „Podniebne kobiety” (They are high in the sky), który brał udział w I Międzynarodowym Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Krakowie (czerwiec 1964), wśród przedstawicielek kilku niebezpiecznych profesji dostrzegamy także grupę alpinistek na skłonach Mustagh Ata. Tu, w krótkim parominutowym fragmencie, zawarty został ciekawszy nieco materiał wizualny, operujący różnicowanymi planami, choć również poza przeciętny poziom tradycyjnego dokumentu nie wykraczający.

„Spotkanie odważnych”

Na wymienionym wyżej festiwalu, wśród kilku zgłoszonych filmów bułgarskich znalazła się także barwna relacja o zlocie alpinistów w miejscowości Vratsa. W „Spotkaniu odważnych” (reżyser Mirczo Manolow) zwraca uwagę konsekwentnie podjęta tematyka ściśle wspinaczkowa. Obserwujemy wspinaczkę zespołu trójkowego na ścianie zbliżonej charakterem do urwisk Dolomitów. Wspinacze, wśród nich kobieta, objuczeni sporą ilością sprzętu właściwego drogom modernistycznym, na ujęciach filmowych poruszają się z reguły klasycznie. W filmie obserwujemy także kilka innych, drobnych zresztą, potknięć natury fachowej. W sumie jednak obraz zadowala, przypominając miejscami najlepsze osiągnięcia Sprudina w zakresie omijania praw ciężenia i wyobraźni wizualno-montażowej. Brak komentarza, de-

cydujący o stylistycznej czystości tego wspinaczkowego filmu, nie sprzyjał jednak wprowadzeniu widza w program i osiągnięcia zlotu koło Vratsa.

Aleksander Kwiatkowski

Europejski zespół

„Eine Europäische Seilschaft”. Reżyseria i zdjęcia: Lothar Brandler. Taśma 35 mm, 370 mb, 13 min. Ferranicolor. München 1964.

Około trzech tygodni trwały w lecie 1964 r. prace nad nakręceniem tego pięknego filmu, obrazującego przejście jednej z najtrudniejszych dróg wspinaczkowych Europy — di-rettissimi północnej ściany Cima Grande di Lavaredo. Zespół linowy składa się z trzech alpinistów: Francuza (Pierre Mazeaud), Niemca (Winfried Ender) i Włocha (Roberto Sorgato). Do zespołu aktorskiego trzeba wliczyć oprócz nich także fotogeniczne urwisko, którego szarżoite jednostajne piony stanowią efektowne tło dla ewolucji kolorowo ubranych wspinaczy. Fabuła jest prościutka: spotkanie Francuza z Niemcem w schronisku, potem obu u początku drogi z samotnym Włochem. Podczas wspinaczki „europejska tróika” biwakuje, a w górze przeżywa groźne załamanie pogody. Kamrę prowadzi pewna ręką Lothar Brandler, sam doskonale akrobata skalny, uczestnik I przejścia drogi w r. 1957. Warstwa słowna ogranicza się w zasadzie do komend i prostego „dziękuję” na szczycie. Film został przez znawców oceniony bardzo wysoko, czego wyrazem jest chociażby zaszczytna I nagroda na XIII Międzynarodowym Festiwalu Filmów Górskich w Trento* (27 IX — 3 X 1964).

Józef Nyka

* Polskę reprezentowała na tym Festiwalu „Zamaria Turnia” S. Sprudina („Taternik” 3-4/63 s. 135). Bułgarię — m. in. omówione powyżej „Spotkanie odważnych”.

Wystawy

Bezingi-64

13 listopada 1964 r. w salonie warszawskiego Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki otwarta została II wystawa fotografii kaukaskiej Zbigniewa Staszyszyna, członka Koła Fotograficznego Klubu Turystów Górskich i fotoreportera CAF. Otwarcia dokonał sekretarz CRZZ, Wiesław Kos, opiekujący się z ramienia Związków Zawodowych kulturą fizyczną i turystyką.

Tym razem prace Z. Staszyszyna pochodzą z jednego wyjazdu w góry wysokie i stanowią jak gdyby jeden wielki zestaw reportażowy. Pokazują one piękno i ogrom gór w zestawieniu z małością człowieka, który po-

jawia się niemal na każdym fotogramie. Jest on często zmordowany do ostateczności, nieraz ledwo widoczny w olbrzymich płaszczyznach i przestrzeniach, wciąż jednak dąży do pokonania niedostępnych ścian i szczytów. Fotogramy Staszyszyna poza dużym autentyzmem posiadają wybitne walory artystyczne, stawiające młodego autora w rzędzie fotografików wysokogórskich europejskiej klasy.

Wszystkie wystawione prace, w liczbie około 50, pochodzą z tegorocznego wyjazdu w Kaukaz, zorganizowanego w ramach obchodów XX-lecia PRL przez Sekcję Alpinizmu KTG oraz Klub Wysokogórski.

Paweł Myśliborski

Popularyzacja turystyki górskiej

W lokalu oddziału PTTK w Żyrardowie czynna była jesienią 1964 r. wystawa poświęcona popularyzacji turystyki górskiej zorganizowana staraniem Okręgowej Komisji Turystyki Górskiej i Narciarskiej Okręgu Mazowieckiego. Na ekspozycję składały się zdjęcia z biwaków i wędrowek w Tatrach, Sudetach i Kaukazie, wydawnictwa górskie, a także sprzęt turystyczny i wspinaczkowy, wypożyczony z Koła Warszawskiego KW (czekan, raki, liny, haki itp.). Wystawiono

też kilka pamiątek po tragicznie zmarłym w Dolomitach J. Krajskim. Na zakończenie wystawy urządzono wieczorek z górką zgaduj-zgadulą, filmem „Zamiec” i pogadanką taternicką B. Uchmańskiego.

Wystawę zorganizowano w ramach „Tygodnia Popularyzacji Turystyki Górskiej” na Mazowszu, który miał na celu zaznajomienie społeczeństwa tego regionu z pięknem wędrowek i wspinaczek po górach, jednocześnie także z niebezpieczeństwami jakie się w nich kryją.

Mieczysław Banaczyk

Z piśmiennictwa

Jerzy Hajdukiewicz: Dhaulagiri zdobyty. Wiedza Powszechna, Warszawa 1963; s. 207 + tablica i mapka. Cena zł 36.

„Dhaulagiri zdobyty”, druga już książka Jerzego Hajdukiewicza poświęcona dziejom zmagani, jakie toczyli alpinści kilku narodowości z wielką Białą Górą, jest — jak to już sam tytuł sugeruje — opowieścią o zwycięstwie. Opowieść to dynamiczna, a jednocześnie precyzyjna, dająca piękny w swej dokładności obraz tego, co działo się na stokach Dhaulagiri w czasie od 28 marca do 30 maja 1960 roku, ukazująca dzieje prac, poprzedzających sukces z dnia 13 maja.

Pewna niespodzianką sprawioną przez autora czytelnikowi jest fakt zupełnego niepowoływania się na wydana przezeń poprzednio „Himal Cu-cu-ra”. Ale niespodzianka to przyjemna, wskazująca jednocześnie na przyjęcie odmiennej, niż poprzednia, koncepcji w konstrukcji relacji z wyprawy zwycięskiej. Jest więc „Dhaulagiri zdobyty” odrębną zupełnie i samodzielną (w sensie wartości treściowej) książką, w całości poświęconą wyprawie himalańskiej. Ta koncentracja treści wokół jednego zagadnienia wychodzi dziełu Hajdukiewicza zdecydowanie na korzyść, zwraca bowiem uwagę odbiorcy na problem, któremu na imię Zdobywca Szczytu. A tak przecie być powinno.

Swobodna, lecz przy tym dokładna (by nie rzec: pedantyczna w swej drobiazgowości, zawsze zresztą celowej) narracja, podana jest stylem nie tylko poprawnym, lecz i lekkim, sugestywnym, a zarazem i efektywnym w swej prostocie. Trudno jednak, mówiąc o tych rzeczach, powstrzymać się od pewnej uwagi: zbytnio autor deklektuje się niektórymi terminami medycznymi — taka np. „tkliwość brzucha”, prócz tego, że przypomina pewne nie najlep-

szej konduity współczesne wierszydła, mieści w sobie ładunek nie zamierzony chyba przez autora komizmu. Wytkniemy jeszcze redaktorom drobny błąd ortograficzny (!) na s. 81, by uporać się z zarzutami i przejść do oceny tego, co w dziele Hajdukiewicza prawdziwie wartościowe.

Podoba się w Dhaulagiri zdobytym dbałość o uchwycenie detali, podobają się ciekawe spostrzeżenia psychologiczne. Hajdukiewicz nie był na szczycie, lecz jego dążność do oddania obrazu wyprawy możliwie najbardziej pełnego, uratowała dla czytelnika i owe sceny szczytowe, w których sam nie uczestniczył. A trzeba dodać, że podane zostały one szczególnie ciekawie. Jest to wynikiem nie tylko samej dramatycznej wartości zdarzeń, lecz także i formy, w jakiej zostały przedstawione. Jednocześnie jednak zauważyć należy, że zgubił się tu gdzieś trochę „mechanizm działania wyprawy”. Liczne fakty ukazane zostały w sposób nie zawsze należycie powiązany, utrudniający zorientowanie się, kto, co, gdzie i kiedy robił. Dążność do ścisłości relacji okazała się bronią obosieczną... Szczęściem, na końcu książki pomieścił autor itinerarium, wiele czytelnikowi wyjaśniające.

Dzieje zdobywania Dhaulagiri w wyprawie roku 1960 były bogate w dramatyczne wydarzenia. Hajdukiewicz w swoim opowiadaniu nie dążył do wyeksponowania momentów sensacyjnych, akcentując przede wszystkim treści humanistyczne. W efekcie takiego postępowania otrzymaliśmy opowieść o trudnym życiu ludzi w górach, o łączących ich więzach przyjaźni, scementowanej jeszcze bardziej dążnością do wspólnego celu. Dzięki temu jednak, że Hajdukiewicz treści dramatycznych nie zabiegateliżował. „Dhaulagiri zdobyty” nie jest tylko książką alpinistyczną, lecz również i przygodową, odsłaniającą tajniki trudów wysokogórskiego. Dążył autor do

prostoty relacji — i w tym też trzeba upatrywać zalet jego pracy. W obecnej bowiem chwili, gdy coraz częściej podnoszą się głosy wskazujące na brak dobrej przygodowej literatury dla młodzieży, „Dhaulagiri zdobyty” wychodzi niemal naprzeciw zamówieniu społecznemu.

I wreszcie, w ramach końcowych już uwag, powitamy z zadowoleniem przystępnie napisany dodatek „Z fizjologii wysokośćowej” oraz cenną tablicę przeglądową „Szczyty ośmiotysięczne w kolejności ich zdobycia”. Na oddzielne wyróżnienie zasługuje dobra strona graficzna książki ozdobiona zdjęciami o wysokich walorach estetycznych (ciekawe krajobrazy, dobre portrety wykonane przez autora oraz N. G. Dyhrenfurtha). Szkoda tylko — niech mi będzie wolno powtórzyć te słowa — że omawianej książki nie wzbogacił autor bibliografią dotyczącą Dhaulagiri. Przygotowanie jej przyszkodził mu bez trudu, a znacznie zwiększyłaby ona wartość poznawczą książki.

Jacek Kolbuszewski

Félix Germain: Sommets. Wyd. B. Arthaud, Paris 1959; s. 266.

Książka Germaina dotarła do Polski ze znacznym opóźnieniem. Szkoda, gdyż ta efektywnie wydana pozycja, ozdobiona setką artystycznych zdjęć, jest — jak to sam autor we wstępie zaznacza — antologią odbiegającą od tradycyjnego schematu wyboru tekstów literackich na pewien temat. O oryginalności „Sommets” decyduje nie tylko fakt, że jest to antologia literatury alpinistycznej, ale i rola, jaką spełniają w niej doskonałe dobrane fotografie, mające stanowić dopełnienie wymowy tekstu literackiego. Nie jest to wprawdzie zabieg nowy — zna go i nasza tradycja artystyczna, ale w

dziele Germaina fotografie role im wyznaczoną spełniają z pełnym powodzeniem, przez to zaś ma ono wszelkie szanse na dotarcie do czytelnika nawet takiego, któremu obca jest problematyka alpinistyczna.

W zakres antologii wchodzi pisarze francuscy, niemieccy, włoscy i angielscy piszący o Alpach. Najpełniej przedstawia się oczywiście literatura francuska: na kartach „Sommets” odnajdujemy „alpejskie” teksty takich autorów, jak Baudelaire, Chateaubriand, Colette, Sw. Franciszek Salezy, A. Gide, Giono, V. Hugo, Lamartine, Michelet, Rabalais, Rousseau, Saint-Amant, Saint-Exupéry, Senancour. Interesujący jest wybór pisarzy włoskich: D’Annunzio, Dante, G. Pascoli, Petrarca, Leonardo da Vinci. Podobnie za trafny uznać trzeba zestaw pisarzy angielskich, z których znajdujemy tu zupełnie w Polsce nie znanego J. Bunyona (1678), Byrona, Coleridge’a, Shelleya, Tennysona, Tyndalla, Younga i Wordswortha. Najmniejszą orientację daje omawiana antologia w klasyce niemieckiej: z ważniejszych nazwisk odnajdujemy tu tylko Goethego, Nietzschego i H. Hesse. Obok wymienionych pisarzy figurują na kartach „Sommets” plejada znakomitych alpinistów, od De Saussure’a począwszy, poprzez Whympera, Mummery’ego, Coronę, Reya, Lammera, po Comiciego, Gervasutiego i Samivela.

O ile trudno mieć zastrzeżenia do wyboru tekstów z literatury „klasycznej” — choć uderza np. brak Montaigne’a, dającego przecieć w swych „Próbach” znakomitą analizę psychologiczną leku przestrzeni — o tyle zdumienie budzi fakt pominięcia tekstów współczesnych alpinistów-pisarzy takich, jak G. Rebuffat, G. Magnone czy Sylvia d’Albertas, nie mówiąc już o szeregu innych, nie mniej sprawnie wiążących piórem.

Mimo tych niedostatków antologia Germaina posiada rozliczne wartości. Daje ona bowiem znakomity obraz ewolucji artystycznego kształtowania obrazu gór w literaturach europejskich, a przedstawiając teksty typowe dla poszczególnych faz w rozwoju sposobu pojmowania gór, zaznacza zarazem z rozwojem ideologii alpinizmu, ukazując typowe tendencje kierunków klasycznego i modernistycznego. Jest to więc książka przydatna i dla historyka kultury, i dla historyka literatury: znajdzie też bez wątpienia zastosowanie w pracy badacza dziejów taternictwa i literatury tatrzańskiej, dla którego zgromadziła cenny materiał porównawczy. Jej duża wartość uprzątnięcia też, że od chwili wydania tatrzańskiej antologii Kantora — mało wartościowej i dziś niedostępnej, minęło lat 55 i że dzieje obrazu Tatr w literaturze polskiej ciągle jeszcze czekają na opracowanie, że o polskiej literaturze taternickiej i alpinistycznej

wiemy bardzo mało! Stąd zaś wynika postulat wszczęcia jak najrychlej starań o nadrobienie owych zaległości.

Jacek Kolbuszewski

W. I. Smirnow: W mirie wiecznego mra. Wyd. I.S.E. „Mysl”, Moskwa 1964; s. 109. Cena 25 kop.

Książka „W krainie wiecznych ciemności” jest bodaj pierwszą pozycją napisaną o jaskiniach przez radzieckiego autora i przeznaczoną nie dla naukowców i specjalistów, lecz dla szerszego grona „niewtajemniczonych” odbiorców.

Autor, młody dziennikarz, trafił dość przypadkowo w środowisko ludzi zajmujących się badaniem jaskiń, brał udział w wyprawach i z pasją opowiada o ich emocjach i trudach. Książka poświęcona jest głównie kompleksowej ekspedycji naukowej zorganizowanej w lecie 1960 r. przez Ukraińską Akademię Nauk, pod kierownictwem W. N. Dublanskiego.

Teren działalności ekspedycji stanowi obszar krasowy „górnego” Krymu, jeden z najciekawszych tego rodzaju rejonów w Związku Radzieckim. Prowadzone tam na szeroka skalę badania eksploracyjne i naukowe mają nader ważne znaczenie praktyczne, polegające na wyszukiwaniu podziemnych przepływów i zbiorników wody, której powierzchnia tych obszarów jest prawie zupełnie pozbawiona. Oprócz przystępnie podanych wiadomości dotyczących zawiłych nieraz zagadnień naukowych, wyraźnie zarysowany jest w książce sportowy charakter wypraw, a także silna więź łącząca grotolazów radzieckich z alpinistami.

Autor opowiada w bardzo interesujący sposób o sensorycznych niekiedy odkryciach speleologicznych i wyczynach sportowych. Dużo emocji przeżywa się zwłaszcza czytając historię zdobycia Jaskini Kaskadowej („Kaskadnaja”), która w owym czasie była największą jaskinią Związku Radzieckiego (—260 m).

Książka wydatnie poszerza wiedzę o speleologii radzieckiej i zainteresuje niewątpliwie wszystkich naszych grotolazów.

Ryszard Rodziński

Wastl Mariner: Neuzeitliche Bergrettungstechnik. Herausgeber Oesterr. Alpenvereine, Innsbruck 1964; s. 208.

Wastl Mariner jest światowej rangi specjalistą w dziedzinie ratownictwa alpejskiego, znanym z niezmordowanych prac nad doskonaleniem sprzętu i metod niesienia pomocy ofiarom wypadków górskich. Jego podręcznik ukazał się w r. 1948 i — po raz drugi

— w 1959. Trzecie wydanie wyszło jesienią 1964 w kilku wersjach językowych: swoim „Imprimatur” opatrzyła je Międzynarodowa Komisja Ratownictwa Alpejskiego (IKAR). W stosunku do dwu pierwszych wydań tekst został gruntownie przerobiony i zaktualizowany, tak iż książka stanowi naprawdę ostatnie słowo w dziedzinie, która omawia. Autor przedstawia kolejno sposoby wydobycia poszkodowanych ze ścian, szczeliny lodowcowych, lawin itp., opisuje metody transportu w trudnym górskim terenie. Oprócz skomplikowanych przyrządów mechanicznych demonstrowe również środki prowizoryczne, jakimi może dysponować każdy zespół wspinaczkowy znajdujący się w niebezpieczeństwie. Przejrzystość pracy podnosi podawanie informacji według jednolitego schematu, a korzystanie z niej ułatwia dodatkowo przeszło 100 instruktywnych rysunków i tablic. Cennym dodatkiem jest tabelaryczne zestawienie zasad pierwszej pomocy w górach, nowo opracowane przez prezesa IKAR, dra med. R. Campella.

W sumie: książka dla ratownika górskiego niezbędna, dla taternika — jak najbardziej godna polecenia.

Józef Nyka

Taterniczek. Kraków. Roczniki 1963 i 1964, numery 1—6. Powielaczowe pismo wewnętrzne Koła Krakowskiego.

Kiedy przed którymś zebraniem Prezydium ZG KW znalazł się przypadkowo na stole ostatni numer „Taterniczka”, wyciągnęły się ku niemu na raz wszystkie ręce. Jest to niewątpliwie jakimś miernikiem zainteresowania, jakie to skromne lecz ambitne i żywo redagowane pismo budzi także poza środowiskiem, dla którego jest w pierwszym rzędzie przeznaczone. Wychodzi ono po kilka razy do roku w nakładzie nie przekraczającym 100 egzemplarzy i objętości ok. 25 stron powielonego maszynopisu. Zespół redakcyjny stanowią: J. Potocki (redaktor naczelny), E. Śledzińska, M. Bała, P. Banachowicz, S. Urbański i A. Bednarz.

Na urozmaiconą treść składają się artykuły, omówienia sezonów, opowiadania, wywiady, wiersze. Jest dział recenzji, są notatki z życia koła, jest nawet kronika towarzyska, trochę niepoważna, ale w piśmie tego typu chyba nieodzowna. Wiele materiałów ma trwałą wartość dokumentalną i z tego względu należałoby się za troszczyć, by zielone zeszyty „Taterniczka” docierały nie tylko do rąk bezpośrednio zainteresowanych osób, ale także trafiały na półki bibliotek — Górskiej w Krakowie, Centralnej PTTK w Warszawie i Muzeum Tatrzańskiego w Zakopanem. Dla celów bibliograficznych nie od rzeczy będzie odnotować tutaj kilka ciekawych pozycji. Tak więc w nu-

merze 3 (listopad 1963) uwagę zwracają artykuły J. Potockiego o obozie KW w Alpach francuskich. A. Heinricha o obozie w Dolomitach, a także wywiad z wiceprezesa KW, P. Czartoryskim. Nr 4 (duty 1964) zawiera m. in. relację E. Chrobaka z I zimowego przejścia srodka ściany Małego Młynarza, notatki R. Zawadzkiego z I przejścia filara Mont Maudit oraz omówienie przebiegu Łódzkiej Wyprawy w Hindukusz. pióra J. Michalskiego. W zeszytach 5 (czerwiec 1964) A. Mróz pisze o przejściu zimowym ściany Rumanowego a R. Rodziński o wypadku na Cima Ovest di Lavaredo. Bogaty jest także numer ostatni (listopad 1964). M. Jarecki omawia w nim sukcesy polskiej ekipy w Kaukazie w r. 1964. R. Kozioł pisze o przejściach głównej grani Tatr, zaś J. Potocki przeprowadza interesujące wywiady z J. Nowosielskim i A. Pietschem na temat „góry i plastyka”. Drugi z kolei zeszyt „Taterniczka” (lipiec 1963) wypełniono w całości materiałami o J. Długoszu, któremu i „Taternik” winien jest specjalny numer...

Pisemka wydawane nakładem kół zawsze spełniały pożyteczną rolę, zdarzało się nawet, że w okresach biedy zastępowały główny organ KW, „Taternika”. Mają one tę dodatnią stronę, że wychodzą z aktualnym i świeżym materiałem, i tę ujemną, że wiążą się przeważnie z określoną grupą osób i przestają istnieć z chwilą, kiedy niewdzięczna praca edytorska dostatecznie obrzydnie wydawcom. Krakowski „Taterniczek” dobiega szczęśliwie do 7 numeru, a ponieważ jego zespół redakcyjny składa się z ludzi trwale związanych z taternictwem i Klubem Wysokogórskim — można mu bez obawy wróżyć dalszą owocną działalność.

Józef Nyka

Wiercica. Warszawa. Powielany biuletyn Speleoklubu Warszawskiego. Objętość numeru ok. 20 stron.

„Wiercica” — to nazwa pierwszej jaskini odkrytej i zbadanej przez Speleoklub, w r. 1954. Pismo „Wiercica” wychodzi od grudnia 1963 r. przeciętnie co trzy miesiące. Zawiera ono artykuły informacyjne o wyprawach organizowanych przez Klub (m. in. sprawozdanie z wypraw eksploracyjnych do jaskiń Miętusiej i Śnieżnej), o akcjach innych polskich zrzeszeń speleologicznych i o wydarzeniach w speleologii zagranicznej. Jeden z numerów został poświęcony twórcy polskiej speleologii, do dziś czynnie działającemu na polu naukowym i eksploracyjnym — Stefanowi Zwolińskiemu. Ostatnio „Wiercica” rozpoczęła też druk artykułów polemicznych (aktualny temat: rodzaje i organizacja wypraw) oraz streszczeń seminariów wewnątrzklubowych (np. „Możli-

wości eksploracyjne w jaskiniach tatrzańskich” Jana Rudnickiego). Oprócz artykułów sprawozdawczych i polemicznych pismo zamieszcza również osobiste relacje i wspomnienia członków wypraw.

Oddzielny dział stanowi „twórczość” satyryczna, starająca się w dowcipny sposób ujmować różne śmieszności z życia Klubu. Na końcu każdego numeru znajduje się kronika, notująca chronologicznie aktualne wydarzenia klubowe, poczynając od akcji jaskiniowych Klubu i osiągnięć taternickich jego członków, a kończąc na zawartych ostatnio małżeństwach. Zespół redakcyjny dąży do tego, by „Wiercica” mogła się przydać wszystkim, których interesuje speleologia.

Mirosława Kropiwnicka

Wierchy. Rocznik poświęcony górcom. Rok 32 (1963). Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Kraków 1964. S. 350. Cena zł 60.

32 tom „Wierchów” (rocznik 1963), którego wydanie zbiegło się z 90-leciem turystyki górskiej w Polsce — ściślej: rocznica założenia „protoplasty” Klubu Wysokogórskiego, Towarzystwa Tatrzańskiego — stoi pod znakiem relacji z szeregu osiągnięć alpinistycznych dużej klasy. Są to przede wszystkim sprawozdania z naszej działalności górskiej w Hindukusz i Dolomitach.

Rocznik otwiera obszerny artykuł R. W. Schramma „Hindukusz 1962”. Szkicuje on dotychczasową krótką (od 1950 r.) historię podboju tego pasma górskiego, następnie zaś — omówiwszy pokrótce wyniki pierwszej naszej wyprawy (1960) — zdaje obszerną relację z dorobku II Wyprawy w Hindukusz w r. 1962, uwieńczonej zdobyciem aż dwóch szczytów przekraczających wysokość 7000 m. Omówienie to uzupełniają materiały kartograficzne w opracowaniu M. Bały, S. Biela i J. Wali. Drugą interesującą dla taterników pozycją jest artykuł R. Zawadzkiego „W urwiskach Dolomitów” — żywo i zajmująco napisana relacja z pierwszego po wojnie polskiego wyjazdu alpinistycznego w tę grupę górską (1962), po wieloletniej przerwie. Jak pamiętamy, był to bardzo udany występ, który przyniósł przejście szeregu dróg skalnych, poważnie liczących się w świecie.

Wśród materiałów historycznych najważniejszym z naszego punktu widzenia jest artykuł B. Chwaścickiego pt. „Mont Blanc — zdobycie szczytu” — najbardziej szczegółowe w naszej literaturze opracowanie dziejów zdobywania tej najsłynniejszej góry Europy. W wyniku żmudnych studiów i poszukiwań archiwalnych autor prostuje szereg błędnych informacji o pierwszych wejściach i dokonuje nowych odkrywczych ustaleń. Pointą jest zachęta do po-



Rys. S. Skierski

szukiwań za danymi o drugim polskim zdobywcy, którym — być może — okaże się K. F. Hoppen, aptekarz i malarz z Radomia. Z innych opracowań historycznych uwagę zwraca szkic J. Reychnmana pt. „Karola Brzozowskiego wejście w r. 1869 na Pir Omar Gudrun (2588 m)” w Kurdystanie. W części artykułowej znajdujemy ponadto pracę J. A. Szczepańskiego „Góry w twórczości Juliana Przybosa” oraz obszerny materiał A. Zygi „Kraśzewski w górach i o górach”. W dalszej części rocznika trzeba zwrócić uwagę na bodaj pierwsze całościowe opracowanie „Karpaty w kampanii wrześniowej 1939 r.” pióra J. Andrusikiewicza oraz obszerny artykuł A. Kwiatkowskiego „Polski film górski”.

Jak zawsze bogata kronika przynosi wśród innych cennych materiałów także sprawozdania z dokonanych sezonów tatrzańskich (zima 1962/63 i lato 1963). Opracował je A. Paczkowski, nie będą więc chyba — jak to się dotąd zdarzało — wymagały sprostowań. W dziale recenzji omawia szereg „Taternika” za r. 1961 J. A. Szczepański, wytykając nam opóźnianie numerów. Szczęście zarysowały się ostatnio pewne perspektywy, które pozwalają mieć nadzieję, że już wkrótce będziemy wydawali nasze pismo również regularnie, jak ukazywa się zawsze nam bliskie „Wierchy”.

Adam Chowański

Notatki

Kieszonkowe CO

Bierze się łydgi konopi i spala pod ziemią bez dostępu powietrza. Tak powstaje węgiel, który — jeśli trzeba — rozdrabnia się na proszek. Z kolei przygotowuje się tulejkę z mocnego papieru, średnicy ok. 2 a długości 10 cm. Napełnioną węglem, zawiązuje się ją na obu końcach jak kielbasę. Tak przygotowany materiał palny zostaje następnie umieszczony w pudełku metalowym rozmiarów niedużej konserwy rybnej. Ma ono pełnić rolę pieca. Przy użyciu kielbasę zapala się na jednym końcu, pudełko zaś owija tkaniną. Węgiel żarzy się przez parę godzin, rozgrzewając „piec”. Można przyłożyć do niego ręce, lub wsunąć go za pazuchę bez obawy zapalenia ubrania, podczas snu.

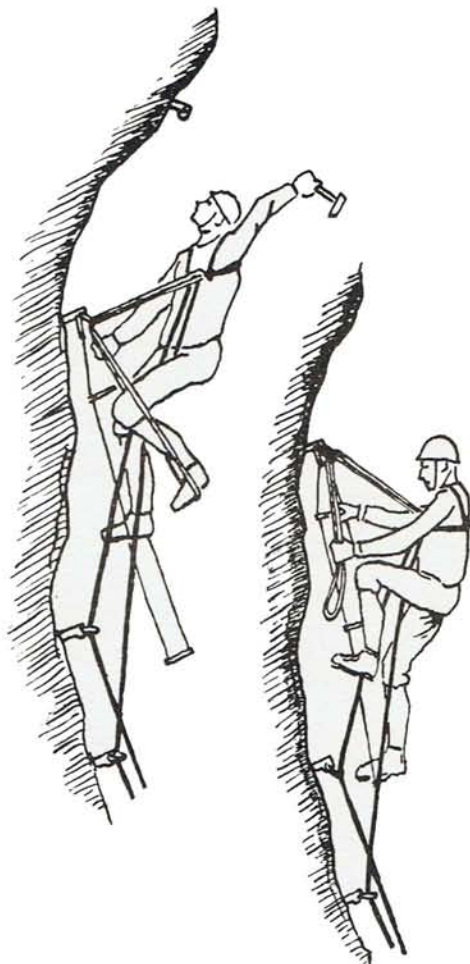
Takie kieszonkowe centralne ogrzewanie znane jest od stuleci w Japonii, gdzie nosi nazwę „kairo”. Sceptycy uśmiechną się zapewne („kto by miał czas zajmować się podobnymi głupstwami podczas wspinaczki?”), lecz osoby o zamiłowaniu do majsterkowania zechcą może uczynić próbę, posilając się ew. innym paliwem. Czy warto próbować? Wiadomo, czym jest każda kaloria na przymusowym biwaku zimą, — a dodajmy, że takie właśnie małe, lekkie i nieskomplikowane urządzenie zabierają alpinści japońscy, wyruszając na wspinaczkę w Himalaje.

A. Chowański

Pętla do siedzenia

W ostatnich latach upowszechniła się w Tatrach — wymyślona bodaj na tutejszym gruncie, chociaż znana już gdzie indziej — pętla do siedzenia, używana m. in. celem zwiększenia wysięgu ręki na drogach hakowych. Pętla ta ma różny kształt — najodpowiedniejsza wydaje się „ósemka” zakładana wysoko na uda. Stosując ją od dawna, doszedłem do wniosku, że dobrze jest przywiązywać ją dodatkową pętlą do jednej z lin służących do podciągu, 5–10 cm powyżej węzła na piersiach. Sposób ten ma dwie zalety: zapobiega zsuwaniu się „ósemki”, a jednocześnie stanowi zabezpieczenie na wypadek odpadnięcia. Przenosi wówczas na uda część szarpnięcia, chroniąc od poważniejszych obrażeń klatkę piersiową i zapobiegając duszeniu się. Podczas mojego wypadku na wsch. ścianie Mniha w dniu 6 IV 1964 r. tak założona pętla doskonale zdała egzamin i z 40-metrowego „lotu” pozwoliła mi wyjść cało, tylko z sińcami na nogach.

K. Głazek



Podciągamy się sami

Inne ciekawe udogodnienie techniczne dla amatorów dróg hakowych przynosi pismo „Alpinismus” w numerze 6/1964. Chodzi mianowicie o pętlę, przy pomocy której prowadzący w zespole nawet w mocno przewieszonym terenie może się z niewielkim wysiłkiem poruszać bez współudziału partnera. Pętlę tę przymocowuje się na piersiach do liny okalającej klatkę piersiową. Winna ona zwiśać tak nisko, by można w nią było ciasno wsunąć stopę. Na wspinaczkę koniec pętli przewleka się przez karabinek wpięty w górny hak i podciąga z jej pomocą do ławeczki zawieszanej na drugim karabinku. Wbijając hak ponad sobą, pętlę używa się jako strzemienia, regulując nogą kąt odchylenia tułowia od skały.

Stosowanie autopodciągu, zwłaszcza w kombinacji z pętlą do siedzenia, wydatnie ułatwia wspinaczkę techniką hakową. Nad dotychczasowymi sposobami system ten góruje także i pod tym względem, że częściowo odciąża drugiego w zespole od manipulacji podciągowych i pozwala mu skupić się li tylko na asekuracji.

Kobieta na północnej ścianie Eigeru

W dniach 1—4 IX 1964 młoda alpinistka z Monachium, Daisy Voog, przeszła jako pierwsza kobieta północną ścianę Eigeru. Towarzyszem jej był 23-letni Werner Bittner, znany z pierwszego przejścia „superdirettissimi” na Cima Grande di Lavaredo. Dwójka ta pokonała ścianę właściwie w ciągu trzech dni, gdyż ostatni biwak wypadł 50 m poniżej wierzchołka. Daisy Voog, z zawodu sekretarka, uprawia alpinizm zaledwie od 3 lat, a w jego arkanach została wprowadzona przez jednego z najsłynniejszych wspinaczy lat ostatnich, T. Hiebelera. Na spotkanie schodzącego ze szczytu zespołu preceptor Daisy wszedł wysoko na zachodnią flankę Eigeru. Nie trzeba chyba zaznaczać, że przejście wywołało w Grindelwaldzie wielką sensację. Daisy stwierdziła po powrocie, że czuje się dobrze i zadowalająco zniosła trudności drogi. Bittner w oświadczeniu złożonym dziennikarzom zaanonsował się jako kolejny kandydat do ataku na direttissimę północnej ściany Eigeru.

a.p.

Nowa droga „Wiewiórek”

W połowie czerwca 1964 r. pięciu alpinistów z Cortiny d’Ampezzo, zrzeszonych w klubie „Wiewiórek”, dokonało pierwszego przejścia północno-zachodniego filara Rocchetta Alta di Bosconero (2412 m) w Dolomitach.

Rocchetta Alta jest jednym z najwybitniejszych szczytów mało znanej alpinistom grupy Bosconero, wznoszącej się ok. 30 km na południe od Cortiny. W grupie tej zostały dokonane jedynie wejścia szczytowe. Wspaniałe 500 — 700-metrowe ściany czekają na nowe drogi, które swoją klasą nie ustąpią prawdopodobnie najsłynniejszym przejściom na ścianach Tre Cime czy Civetty.

Jak wszystkie drogi grupy „Scoiattoli”, tak i ostatnia jest bardzo logicznie poprowadzona i charakteryzuje się dużym nagromadzeniem trudności. Sklasyfikowano ją w kategorii „VI° superiore”. Na całej drodze wbito ok. 100 haków, 2 nity i 3 kołki. Pierwsze przejście trwało 2 dni (14—15 VI).

Przejścia dokonał zespół Lorenzo Lorenzi, Sergio Lorenzi, Bruno Menardi, Luciano Da Pazzo i Giusto Zardini. Szósty uczestnik, Claudio Zardini, musiał się wycofać pierwszego dnia wspinaczki. Dla uczczenia zmarłego niedawno tragicznie alpinisty należącego do grupy „Scoiattoli” — Albina Michieli-Strobla, filar z nową drogą otrzymał nazwę „Spigolo Strobel”.

Ryszard Rodziński

Książki górskie w „Iskrach”

Wydawnictwo „Iskry”, a szczególnie jego świetnie prowadzona biblioteczka „Naokoło Świata”, ma niemałe zasługi dla popularyzacji alpinizmu w naszym kraju. W serii tej wyszły m. in. takie pozycje, jak „Zdobycie Mount Everestu” Hunta (1956), „Annapurna” Herzoga (1960), czy „Komin Pokutników” Długosza (1964). Tematyka alpinistyczna nadal żywo „Iskry” interesuje. Jak nas informuje redaktor Franciszek Król, w r. 1965 ukaże się w tej samej edycji „Biała Góra” Adama Skoczylasa — piękny reportaż literacki z wyprawy na Dhaulagiri, który wskutek przykrych, niezależnych od autora i wydawnictwa perypetii, kilka lat przeleżał w maszynopiśmie i dopiero niedawno wszedł w fazę prac drukarskich. W r. 1966 seria „Naokoło Świata” wzbogaci nasze księgozbiory o dwie nowe alpinistyczne pozycje: W. Bonattiego „Moje góry” (tytuł roboczy) oraz W. Ostrowskiego wspomnienia z wędrówek po Patagonii.

j.n.

Rocchetta Alta z nową drogą „Wiewiórek”.



Z Himalajów

W artykule „Echa z Alp” piszemy o bogatym sezonie letnim w Alpach. Nie mniej interesujący był tegoroczny sezon himalański. Niepełne zestawienie sporządzone przez A. Bolindera i zamieszczone na łamach poczytnego pisma „Alpinismus” (10/64) zawiera dane o przeszło 30 wyprawach, w tym także w Pamir, Karakorum i Hindukusz. Najwięcej inicjatywy wykazują Niemcy (przeszło 10 wypraw), na drugim miejscu znajdują się Japonia i India. Z Pamiru Radzieckiego tabela podaje tylko jedną ekspedycję, z Chin — również tylko jedną, za to z najpoważniejszą zdobyczą: Shisha Pangma, ostatnim niezdobytym dotąd szczytem 8-tysięcznym (zob. „Taternik” 1—2/64 s. 62 oraz artykuł L. Wróblewskiego w „Poznaj Świat” 9/64 s. 35). Kilka wypraw wybrało dla swej działalności okres pomonsonowy.

Alpiniści szwajcarscy w Polsce

Na zaproszenie Klubu Wysokogórskiego przybyła na 10-dniowy pobyt do Polski 26-osobowa grupa alpinistów zrzeszonych w Sekcji Genewskiej Club Alpin Suisse. Wśród uczestników znajdował się również dr E. Wyss-Dunant, prezes CAS a obecnie prezes UIAA (zob. „Sprawy UIAA”). W Tatrach Szwajcarzy spędzili 6 dni, wspinając się w rejonie Morskiego Oka i Doliny Pięciu Sta-

wów (m. in. łatwiejsze drogi na Mnichu i Mięguszwieckim Szczycie Pośrednim). Nasze góry bardzo im się podobały, zadowolili ich też w zupełności standard wyżywienia i pobytu w schroniskach. Na lato 1965 r. analogiczną wyprawę przygotowuje Sekcja Lozańska CAS. Przyjazd gości i ich pobyt w Polsce z ramienia KW zorganizował Antoni Janik, ze strony szwajcarskiej organizatorem i kierownikiem był Armand Pachoud. Po powrocie do Szwajcarii uczestnicy wyprawy zebrali swe wspomnienia z Polski i wydali w broszurze pt. „Pologne 1964 — Les Tatra”. W Polsce bawili od 31 VII do 9 VIII 1964.

Sylwester 1964

Święta grudniowe i Nowy Rok są zawsze okresem masowej koncentracji taterników w górach. W r. 1964 przed Bożym Narodzeniem warunki wspinaczkowe były b. dobre, jednak już w dniach 25—26 XII spadł na zmrzzone podłoże duży opad śniegu, który uniemożliwił jakąkolwiek działalność wysokogórską. Ta zmiana warunków (duże niebezpieczeństwo lawin) stała się przyczyną kilku wypadków o charakterze turystycznym.

Jedynym ciekawszym dokonaniem taterników tego okresu było I przejście zimowe drogi J. Łackiego i J. Woszczerowicza wiodącej na lewo od Mniszka (K. Bańkowski, M. Grochowski i A. Skłodowski, 22 XII).

Sprostowania i uzupełnienia

Les Droites

W związku z wiadomością w „Taterniku” nr 1—2/63, s. 53, o polskich wejściach (VI i VII) na Les Droites w r. 1962, od p. Lucien Deviesa (redaktora „La Montagne & Alpinisme”) otrzymałem list, w którym prosi o dane o piątym wejściu, gdyż według posiadanych przez niego wiadomości, przed wejściami polskimi były jedynie cztery (2 w 1937, 1 w 1942 i 1 w 1946 r.).

Ponieważ na s. 47 wspomnianego numeru „Taternika” Warteresiewicz pisze, iż jego wejście było prawdopodobnie siódme (z czego wynika, że polscy alpinści nie byli pewni ilości poprzednich wejść), a na s. 53 Gryczyński i Michalski piszą, że droga nie była powtarzana od 16 lat (tj. od r. 1946), należy chyba przyjąć, że zaszła omyłka i że polskie wejścia z r. 1962 są w rzeczywistości piątym i szóstym (a nie szóstym i siódmym).

W. H. Paryski

(W numerze 3—4/63 s. 93 poprawka ta była już uwzględniona — Red.)

KOP w Tatrach

Jakże pamięć ludzka jest zawodna. W doskonałym i pełnym dramatycznego napięcia wspomnieniu Zdzisława Dziedziłowicza z pierwszego przejścia urwiska Zawratowej Turni „Droga przez Matkę Boską” dokonanego przez niego wraz z Stanisławem Wrześniakiem dnia 1 IX 1939 r. („Taternik” 3—4/63) — znajduje się błąd, który, sądząc, gwoździści historycznej należy sprostować.

Autor pisze „...nawet żołnierze KOP przepadli gdzieś bez śladu”. Korpus Ochrony Pogranicza (KOP) nie pełnił nigdy służby w Tatrach. Południowa i zachodnia granica Polski były przed wojną patrolowane jedynie przez Straż Graniczną, która tak jak i Służba Celna podlegała Ministerstwu Skarbu.

Bolesław Chwaścinski

Errata

W numerze 3—4/63 „Taternika” na s. 138 błędnie podaliśmy nazwisko autora zdjęcia, którym jest Tadeusz Kozubek. Jak po długich debatach ustalili uczestnicy I przejścia drogi Momatiuka na Kazalnicy, zdjęcie zamieszczone na s. 98 tego samego numeru wykonał nie Zbigniew Jurkowski, lecz Adam Szurek. Na mapie w środku zeszytu 1—2/64 „Taternika” prosimy poprawić nazwę przełęczy Kluchowskiej (prawa strona). Błąd zakreślił się również do nekrologu na s. 53, który zawiera informację, że Jerzy Krajski przeszedł lewy filar Kazalnicy. W rzeczywistości wybierał się na niego, niestety planu tego nie zdążył już zrealizować.

A gripping route

Drobny błąd wkraśli się do świetnego zresztą — artykułu J. Kurczaba pt. „Hats off to Philipp!” („Taternik” 1-2/1964, s. 17). W zdaniu „A gripping route — hats off to Philipp!” winno być „gripping” przez jedno „p”, co należy tłumaczyć „mocna droga”. W obecnej pisowni znaczy to „droga grypo- wa” (gripe = grypa, influenza. Oxford Dictionary 1951). O ile mi wiadomo, nikt się na tej drodze grypy nie nabawił...

Jerzy Kolankowski

Taternik

Organ of the Polish Mountaineering Club
Revue du Club Polonais de Haute Montagne
Organ des Polnischen Bergsteigerklubs

Volume }
Jahrgang } LX (1964), No. 3-4 (184—185)
TOM }

Редактор }
Editor } J. Nyka, Warszawa 36, ul. Nowosielecka 20 m. 18 (Pologne) Tel. 410787
Rédacteur }
Schriftleiter }

The journal „Taternik” is published four times a year by the Polish Mountaineering Club (Klub Wysokogórski). The journal is sent in exchange for mountaineering, tourist, speleological or geographical publications.

La revue trimestrielle „Taternik” est une publication du Club Polonais de Haute Montagne (Klub Wysokogórski). La revue „Taternik” vous sera expédiée en échange contre les publications du domaine de l'alpinisme, du tourisme, de la spéléologie et de la géographie.

Die Zeitschrift „Taternik” erscheint vierteljährlich, herausgegeben vom Polnischen Bergsteigerklub (Klub Wysokogórski). Die Zeitschrift „Taternik” wird gegen alpinistische, touristische, speleologische oder geographische Publikationen ausgetauscht.

Журнал „Татерник” выходит 4 раза в год и издается Польским Высокогорным клубом
Журнал „Татерник” охотно высылается в обмен на альпинистские, спелеологические и географические издательства.

СОДЕРЖАНИЕ

АЛЬПИНИЗМ В МОНГОЛЬСКОЙ НАРОДНОЙ РЕСПУБЛИКЕ — А. Пауло	65	ТОПОГРАФИЧЕСКИЕ НАЗВАНИЯ КАВКАЗА — М. Попко	88
МУНХ ХАЙРХАН (4362 м). 3. восхождение на высшую вершину Монголии — А. Скупински	69	ПОДГОТОВКА К СКАЛОЛАЗАНИЮ В ЛЕСУ — А. Пачковский	92
ПОЛЬСКИЕ АЛЬПИНИСТЫ В ДОЛОМИТАХ В 1963 Г. — П. Ныка	73	„JASKINIA ŚNIEŻNA” — НАГЛУБШАЯ ПЕЩЕРА В ПОЛЬШЕ (—640 м) — Б. Ухмански	94
ЛЕТНИЙ СЕЗОН 1964 Г. В ПОЛЬСКИХ ТАТРАХ	77	НЕСЧАСТНЫЕ СЛУЧАИ В ПОЛЬСКИХ ГОРАХ — П. Ныка	102
В СТЕНЕ КАЗАЛЬНИЦЫ —	80	ИЗ АЛЬП — М. Кубальска-Пачковска	107
ПОЛЬСКИЕ АЛЬПИНИСТЫ В БЕЗЕНГЕ В 1964 Г. Первые восхождения по сев. стенам Мижерги, Коштан-тау и Дых-тау. — Е. Михальски и П. Млотэцки	83	Исторические приложения — с. 110. Новые пути в Татрах — с. 110. Новые пути в Кавказе — с. 116. Вопросы Высокогорного Клуба — с. 118. Вопросы У.Н.А.А. — с. 119. Траурный листок — с. 121. Высокогорный фильм — с. 123. Из литературы — с. 125. Записки — с. 128. Приложения — с. 130.	
МИЖЕРГИ ПО КОНТРОФОРСУ „БАЛАТАН-КИ” — Э. Хробак	87		

SUMMARY

	Page		Page
MOUNTAINS AND MOUNTAINEERING IN MONGOLIA (A. Paulo)	65	JERZY MIERZEJEWSKI — THE ALPINIST AND THE CONSTRUCTOR (K. Blauth)	90
MUNCH CHAIRCHAN (4362 m). Report of the third ascent of Mongolia's highest peak. (A. Skupieński)	69	CLIMBING PRACTISING IN A OAK-FOREST (A. Paczkowski)	92
CROWD OR ORGANIZATION? (ape)	71	„JASKINIA ŚNIEŻNA“ — THE DEEPEST CAVE OF POLAND. Discovering and exploring to a depth of 640 meters. (B. Uchmański)	94
POLISH CLIMBS IN THE DOLOMITES. 1963 (J. Nyka)	73	LET US CLIMB MORE CAREFULLY. Mountain accidents of the Polish climbers in 1909—1964. (J. Nyka)	102
THE SUMMER SEASON 1964 IN THE POLISH TATRAS	77	WITH THE TEACHER TO THE TATRAS (A. Górny)	106
SIR JOHN HUNT IN POLAND (1964)	79	NEWS FROM THE ALPS (M. Kubalska-Paczkowska)	107
IN THE NORTH EAST FACE OF THE „KOCIOŁ KAZALNICZY“. A new route. (A. Skłodowski)	80	Historical Notes — p. 109. New Routes in the Tatras — p. 110. Itineraries — p. 115. New Routes in the Caucasus — p. 116. Club Chronicle — p. 118. Activities of the UIAA — p. 119. Obituary — p. 121. Mountain Film — p. 123. Expositions — p. 124. Book Reviews — p. 125. Miscellanea — p. 128. Corrections — p. 130.	
POLISH CLIMBERS IN THE CAUCASUS. 1964. First ascents in the Bezingi Region. (J. Michalski and Piotr Młotecki)	83		
THE NORTH FACE OF THE EAST MISHIRGI. The first ascent by the „Balalaika“ rib. (E. Chrobak)	87		

SOMMAIRE

	Page		Page
L'ALPINISME DANS L'ALTAI MONGOLIQUE (A. Paulo)	65	MICHIRGI. SOMMET EST. Première ascension par l'éperon „Balalaika“. (E. Chrobak)	87
VOYAGE AU MUNCH CHAIRCHAN (4362 m). Troisième ascension — par une nouvelle voie. (A. Skupieński)	69	JERZY MIERZEJEWSKI — UN ALPINISTE ET UN CONSTRUCTEUR (K. Blauth)	90
DOLOMITES. 1963. Des répétitions polonaises les plus marquantes: Civetta — voie Solleder et dièdre Philipp. Cima Grande — la directe nord et la voie des Saxons. Cima Ovest — directissime suisse et l'arête nord-ouest. (J. Nyka)	73	ÉCOLE D'ESCALADE DANS UNE FORÊT (A. Paczkowski)	92
L'ÉTÉ 1964 DANS LES TATRA POLONAISES	77	„JASKINIA ŚNIEŻNA“ — LE GOUFFRE LE PLUS PROFONDE DE LA POLOGNE (—640 m). Récit d'exploration souterraine 1959—1964. (B. Uchmański)	94
SIR JOHN HUNT DANS LES TATRA	79	ANNIVERSAIRE DU „SCOIATTOLI“ (R. Rodziński)	101
„KOCIOŁ KAZALNICZY“ FACE NORD-EST. Première montée intégrale directe. (A. Skłodowski)	80	LES ACCIDENTS DE MONTAGNE EN POLOGNE 1909—1964 (J. Nyka)	102
BEZINGI. 1964. Les succès polonais dans le Caucase — premiers sur Dych Taou. Kochtan taou et Michirgi. (J. Michalski et P. Młotecki)	83	LA CHRONIQUE ALPINE 1964 (M. Kubalska-Paczkowska)	107
		Notes historiques — p. 109. Nouveaux itinéraires dans les Tatras — p. 110. Nouveaux voies dans le Caucase — p. 116. Activités du Club Polonais de Haute Montagne — p. 118. Activités de UIAA — p. 119. Nécrologie — p. 121. Films de montagne — p. 123. Les livres nouveaux — p. 125. Notes diverses — p. 128. Corrections — p. 130.	

INHALTSVERZEICHNIS

	Seite		Seite
BERGE UND BERGSTEIGER IN MONGOLIEN (A. Paulo)	65	MISCHIRGI - OSTGIPFEL - NODRWAND (E. Chrobak)	87
MUNCH CHAIRCHAN (4362 m). Dritte Besteigung der höchsten Spitze Mongoliens. (A. Skupieński)	69	ÜBER EINIGE BERGNAMEN IM KAVKASUS (M. Popko)	88
POLNISCHE BERGSTEIGER IN DEN DOLOMITEN (1963). Begehungen im Civetta-Massiv und der Zinnen-Gruppe (u. a. Solleder-Führe Philipp-Flamm-Führe. Grosse Zinne Direktissima und Sachsenweg. Westliche Zinne Schweizerweg und Nordwestkante) (J. Nyka)	73	KLETTERGARTEN IM EICHENWAND (A. Paczkowski)	92
SOMMERTOUREN 1964 IN DER POLNISCHEN TATRA	77	JASKINIA ŚNIEŻNA (SCHNEEHÖHLE) — DAS TIEFSTE HÖHLENSYSTEM POLENS. Entdeckung und Forschungen in den Jahren 1959—1964. Höhenunterschied — 640 m. (B. Uchmański)	94
SIR JOHN HUNT IN POLEN	79	25 JAHRE „SCOIATTOLI“ AUS CORTINA D'AMPEZZO	101
KOCIOŁ KAZALNICZY — DIREKTE NORDOSTWAND (A. Skłodowski)	80	BERGSTEIGER — AUFPASSEN! Alpine Unfälle in Polen in den Jahren 1909—1964. (J. Nyka)	102
POLEN IM BESENGI-GEBIET. 1964. Drei Erstbegehungen in grossem alpinem Stil (Kochtan-Tau - Nordwestwand. Mischirgi-Ostgipfel-Nordwand. Dych-Tau-Nordpfeller). (J. Michalski und P. Młotecki)	83	AUS DEN ALPEN (M. Kubalska-Paczkowska)	107
		Geschichtliches — S. 109. Neue Bergfahrten in der Tatras — S. 110. Neue Bergfahrten im Kaukasus — S. 116. Aus dem Klubsleben — S. 118. Aus der UIAA — S. 119. Nekrologe — S. 121. Bergfilme — S. 123. Schriftensschau — S. 125. Informationen — S. 128. Nachträge — S. 130.	

TATERNIK

Rok założenia 1907

Organ Klubu Wysokogórskiego

Czasopismo poświęcone sprawom taternictwa, alpinizmu i speleologii

Redaktor: Józef Nyka, Warszawa 36, ul. Nowosielecka 20 m. 18
Zastępca redaktora: Jan Staszek, Warszawa, ul. Franciszkańska 14a m. 7
Komitet Redakcyjny: Ryszard Gradziński, Władysław Manduk, Ryszard W. Schramm, Jan Alfred Szczepański, Justyn W. Wojsznis, Piotr Zóltowski

Adres Redakcji: Warszawa 36, ul. Nowosielecka 20 m. 18. Tel. 410787
Adres Administracji: Zarząd Główny Klubu Wysokogórskiego, Warszawa, ul. Sienkiewicza 12/439, tel. 266956

Prenumerata:

„Taternik” ukazuje się w 4 zeszytach rocznie. Członkowie Klubu Wysokogórskiego otrzymują pismo w ramach składek członkowskich poprzez koła terenowe.

Prenumeratę na kraj przyjmują urzędy pocztowe, listonosze oraz oddziały i delegatury „Ruch”. Można również dokonywać wpłat na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch”, Warszawa ul. Wronia 23. Prenumeraty przyjmowane są do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Cena prenumeraty: półrocznie — zł 20, rocznie — zł 40.

Prenumeratę na zagranicę, która jest o 40% droższa, przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23, tel. 204-688, konto PKO Nr 1-6-100024. Egzemplarze numerów archiwalnych można nabywać (zamawiać) w Administracji „Taternika” lub w Punkcie Wysyłkowym Prasy Archiwalnej „Ruch”, Warszawa, ul. Srebrna 12, konto PKO Nr 114-6-700041 VII O M Warszawa.

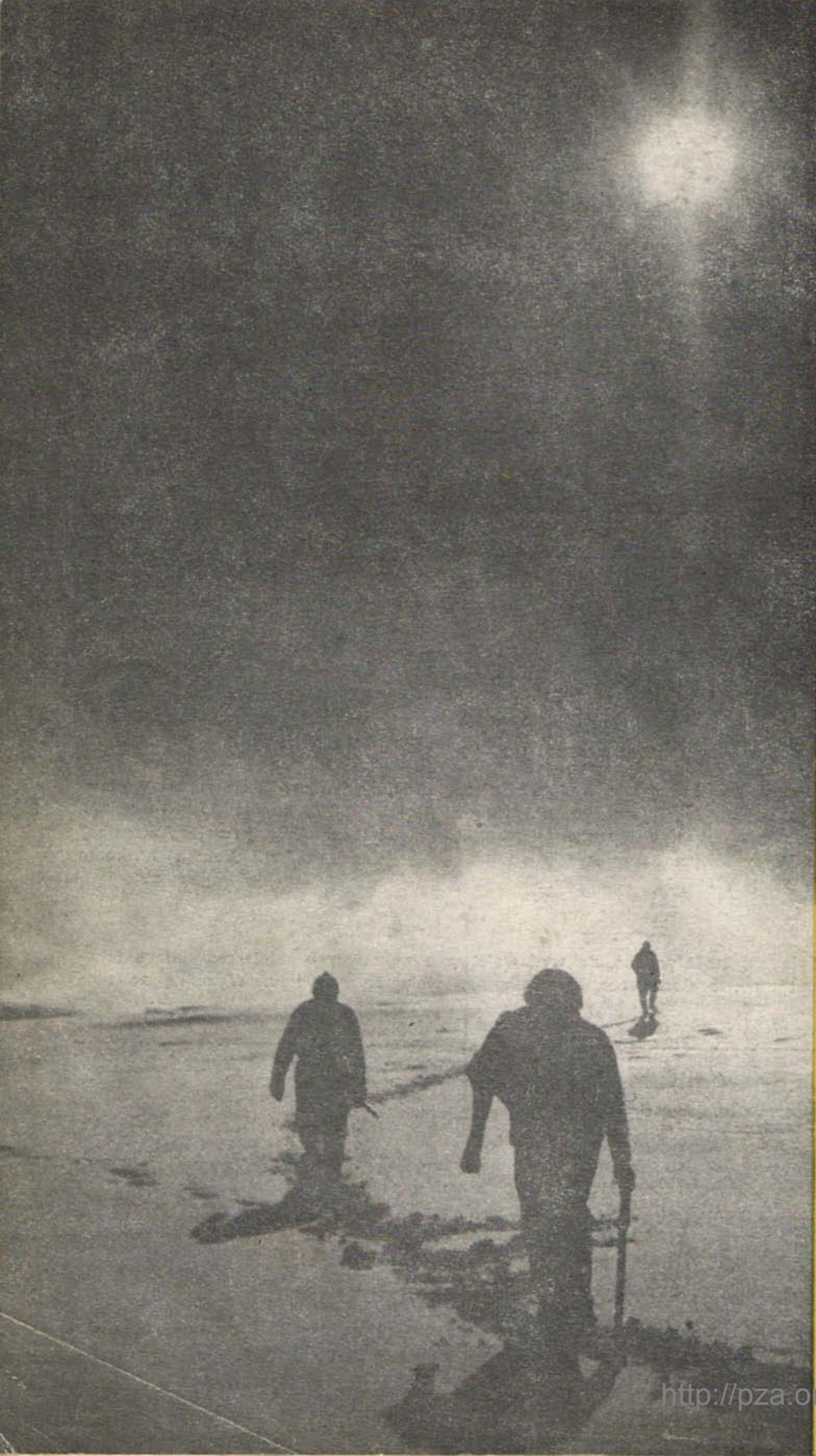
Wymiana:

„Taternika” wysyła się na wymianę za wydawnictwa o pokrewnych zainteresowaniach (alpinistyczne, turystyczne, krajoznawcze, geograficzne, speleologiczne itp.). Wymianę załatwia redakcja pisma.

Wydawca: Zarząd Główny Klubu Wysokogórskiego, Warszawa, ul. Sienkiewicza 12/439, tel. 266956.

Realizacja: Wydawnictwo „Sport i Turystyka”, Warszawa, ul. Rutkowskiego 7/9, tel. 262451.

Druk: Technikum Poligraficzne, Warszawa, ul. Konwiktorska 2, tel. 313652. Zam. 522/64. E-55.



WYDAWNICTWO »SPORT I TURYSTYKA«

Cena zł 20